Ks. Mirosław Maliński

PALCEM PO WODZIE

2RYBY.PL

ks. Mirosław Maliński

PALCEM PO WODZIE

Wrocław 2022

Palcem po wodzie

Autor: ks. Mirosław Maliński

Redakcja: Hanna Miera
Korekta: Magdalena Król
Projekt okładki i rysunki: Dominika Gruszka
Skład i łamanie: Veronika Zhuk

Fragmenty Biblii:
Biblia Tysiąclecia Online, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań, rok 2003.

ISBN 978-83-960305-6-6
Wydanie I

Wydawca:
Fundacja Mathesianum
pl. bp. Nankiera 17a
50-140 Wrocław

e-mail: wydawnictwo@2ryby.pl

www.2ryby.pl
www.sklep.2ryby.pl

Copyright © by Wydawnictwo 2RYBY.PL, Fundacja Mathesianum, Wrocław 2022
Copyright © by ks. Mirosław Maliński

SPIS TREŚCI

Sielanka 13
Niczego nie masz, czegoś nie otrzymał 15
Egoistka spotyka Chrystusa 18
Badanie opinii 20
Co mamy czynić? 22
Istna komedia 24
Uniesiony gniewem 27
Bez trwogi 31
Czułość 34
Moje życie opowieścią o przyjaźni 36
Kto jest winny? 39
Niezależność jest „be”! 42
Strefa bezpieczeństwa 44
Prosto i klarownie 46
Co robi diabeł, co robi anioł? 48
Słodkie jarzmo osobowości 50
Uszy do słuchania 53
Nie wyrywaj 55
Powołanie według Salomona 57
Wypluty – umiłowanym 59
O tym, co podeptał królestwo zła 61
Zgorszenie 64
Szczerość rodzi szczerość 67
Nagroda jest jedna 69
Obfitość i niedostatek 72
Istotne i drugorzędne 74
Oczyszczeni w białych szatach 77

Jak to tak? 80
Prezes korporacji? 83
Co mogę dla ciebie zrobić? 86
Odwiedziny 89
Ojciec 92
Zadośćuczynienie 95
Wydarzenia przygotowujące 97
Ani panika, ani tryumf 99
Miejsce dla światła 103
Pusta cysterna 105
Potęgowanie 107
Szanse 109
Wiem, że nie wiem 111
W codzienności Go spotkacie 113
Pocieszenie – akty czystego dobra 116
O niestosowności cudu 119
Gdy Biblia przemówi, będziesz góry przenosić 121
Zobaczyli Jego plecy 124
Masz się bać! 127
Opowiadanie z podtekstem 131
Drzewo zasadzone nad płynącą wodą 134
Przekraczanie 137
Mortw się o się i o swoje... 140
Wąsko czy szeroko? 143
Mam na imię...
Jestem zbawiony przez Jezusa Chrystusa 146
„Owocność” 148

Dieta duchowa 150
Osiołek 152
Dobrze zacząć 155
Wsparcie w samotności 158
Grupa przyjaciół 160
Pył z nóg 163
Powszechny, czyli różnorodny 166
Inkulturacja 169
Odwaga radości 173
Teofil 175
Obcy też zrozumie 177
Nie do wyobrażenia 179
Jedni drugim... 182
Integracja paradoksów 185
Ciesz się, a kości twoje nabiorą świeżości 187
Psu na budę teoria bez praktyki 189
Gościnność 192
Braterstwo w piekiełku 194
Reszta 197
Paragrafem po łapach 200
Dobra impreza 202
Proporcje 205
Urwana opowieść 207
Nie dziękować? 210
Bukiecik konwalii 212
Dwie skrajne postawy 215
Kara mi się należy 217

Stanie się na końcu czasów 220
Po co? 222
Niecała prawda o modlitwie 225
Znak markowy 229
Treść i forma 231
Najkrótsze kazanie 234
Niejedno ucho 236
Profesjonalizm 238
Współczesny trąd 241
Bez koturnów 243
Mityczny potop 246
Słabość wielkiego pielgrzyma 248
Z niewoli do wolności 251
Łaską zbawieni 253
Znak rozpoznawczy 255
Czy znajdzie wiarę? 257
Otworzył mi ucho 260
Ewangelia w czasach nowoczesności 262
Daleko posunięta idealizacja? 264
Świadkowie Zmartwychwstania 267
Życie nie jest najważniejsze 269
Adoptowani 272
Tak powinno być 274
Katecheza a Dzieje Apostolskie 276
Od Sasa do Lasa 278
Wiara całego Kościoła 280
Wartość czekania 283

Kwiaty pustyni 285
Po co ten spacerek? 287
Szerokości 289
Oścień 291
Kochałbym cię, gdybyś był inny 293
Na zdrowy rozum 296
Pasterz 298
Wielkie kwantyfikatory 300
Twardy „tyłek” 302
Brudne ręce Dawida 305
Ufność 308

WSTĘP

Książka ta jest wynikiem trzyletniej współpracy autora z wydawanym w Poznaniu „Przewodnikiem Katolickim". Umieszczane tam cotygodniowe komentarze do niedzielnych czytań mszalnych cieszyły się dużą popularnością. Lekkość, a także jasne i wyraźne przesłanie tekstów skłoniły nas do zebrania ich w jeden na nowo zredagowany zbiór. Krótkie rozważania rozświetlają sferę codzienności biblijnym światłem, w którym czytelnik może odkrywać, jak wielkie nosi w sobie pokłady dobroci, bezinteresowności i empatii. Refleksje te skrzą się świeżością i prostotą, są odległe od doniesień o sensacyjnych objawieniach czy wiejących nudą „pobożnościowych" wywodów, mogą być więc świetnym wprowadzeniem do codziennej krótkiej medytacji. W samodzielnym rozmyślaniu pomagają postawione na końcu każdego rozdziału pytania. Życzymy wielu fascynujących chwil w czasie lektury.

Redakcja

SIELANKA

Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwach. Bojaźń ogarniała każdego, gdyż Apostołowie czynili wiele znaków i cudów. Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby. Codziennie trwali jednomyślnie w świątyni, a łamiąc chleb po domach, przyjmowali posiłek z radością i prostotą serca. Wielbili Boga, a cały lud odnosił się do nich życzliwie. Pan zaś przymnażał im codziennie tych, którzy dostępowali zbawienia (Dz 2, 42-47).

Tęsknota, tęsknota, tęsknota... Myślę, że wielu z nas tęskni za obrazem pierwotnego Kościoła, jaki wyłania się z powyższych zdań Dziejów Apostolskich. Och, żeby tak móc trwać we wspólnocie eucharystycznej, przebywać razem, spożywać wspólne posiłki po mszach św., swobodnie ze sobą rozmawiać, padać sobie w objęcia! Znakami i cudami też byśmy nie pogardzili – akurat ta zdolność pierwotnego Kościoła jest całkiem praktyczna. Boża Bojaźń również by się zdała, oj zdała. No, a chyba najbardziej jako chrześcijanie tęsknimy za tym, by cały lud odnosił się do nas życzliwie. By nie oskarżano nas, że przejawiamy dziwaczne potrzeby religijne i duchowe, które nawet w czasach koronawirusa – choć bardzo wychudłe – wołają i domagają się wykarmienia. Oj, gdyby inni mieli dla nas nieco więcej wyrozumiałości. Właściwie nie muszą się nawet wykazywać życzliwością, wystarczy brak pretensji. Nie mamy też nic przeciwko przymnażaniu liczby tych, którzy dostępują zbawienia, tym bardziej gdyby to

rozumieć jako powiększanie się grona osób znajdujących w Bogu oparcie i pokrzepienie.

A za jakim fragmentem sielanki z Dziejów Apostolskich raczej nam nie tęskno? „[...] wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby". Tu od razu rodzą się wątpliwości. Czy ten fragment należy rozumieć dosłownie? Czy należy to naśladować w tak odmiennych warunkach społeczno-gospodarczych, w jakich obecnie żyjemy. Zatem w tym aspekcie niekoniecznie jest nam po drodze z pierwszymi chrześcijanami. A gdybyśmy nawet chcieli pójść w ich ślady, to na pewno nie aż tak radykalnie...

Obawiam się jednak, że sielanka z Dziejów Apostolskich występuje tylko w pakiecie z czymś, co uwiera jak kamień w bucie. Wszystko albo nic – jedynie tak to przebiega. Tymczasem tylko to, co uda nam się przejąć z wizji pierwotnego Kościoła, będzie nasze, może z przyćmioną aurą tamtej idylli, ale przecież warto.

Co w życiu pierwotnego Kościoła najbardziej mnie porusza? Jak mogę to zrealizować w swoim otoczeniu?

NICZEGO NIE MASZ, CZEGOŚ NIE OTRZYMAŁ

Pan Bóg Mnie obdarzył
językiem wymownym,
bym umiał przyjść z pomocą
strudzonemu, przez słowo krzepiące.
Każdego rana pobudza me ucho,
bym słuchał jak uczniowie.
Pan Bóg otworzył Mi ucho,
a Ja się nie oparłem
ani się cofnąłem.
Podałem grzbiet mój bijącym
i policzki moje rwącym Mi brodę.
Nie zasłoniłem mojej twarzy
przed zniewagami i opluciem.
Pan Bóg Mnie wspomaga,
dlatego jestem nieczuły na obelgi,
dlatego uczyniłem twarz moją jak głaz
i wiem, że wstydu nie doznam (Iz 50, 4-7).

W samo sedno, w dziesiątkę, celniej się nie da. Zdania napisane tysiące lat temu przez tajemniczych autorów konsekwentnie ukrywających się za postacią proroka Izajasza biegną do nas jak młodzieńcy, którzy się nie męczą i nie znają znużenia. Co więcej, te same sylaby układające się w prastare wypowiedzi nabierają mocy, aktualności i świeżości. To naprawdę słowo Boże pochodzące od Najwyższego, który jest ciągle żywy i obecny. Wypowiedziawszy je raz, nieustanie mówi na nowo. Słowo, wydawałoby się, jak każde inne, używane w różnych kontekstach,

czasami spokojne, czasami rozedrgane, bardziej lub mniej precyzyjne, ale zawsze będące narzędziem komunikacji, tu nagle wymyka się tym oczywistym zasadom i tętni własnym życiem, jakby było Osobą. Dotyka samego serca, drąży, przemienia, przelewa swą życiową siłę. I staje się już nie słowem, ale obecnością.

To dzieje się właśnie dziś – sam Bóg chce nas obdarzyć taką zdolnością posługiwania się codzienną mową, byśmy mogli pokrzepiać siebie nawzajem – strudzonych i umęczonych. Dzięki Niemu te same słowa, które znamy i których używamy na co dzień, będziemy umieli tak poskładać, aby dać sobie nawzajem to, co staje się cennym, poszukiwanym, deficytowym towarem – otuchę, umocnienie i wsparcie.

Po lapidarnym, klarownym wyznaniu proroka Izajasza o tym, jak został obdarzony umiejętnością podtrzymywania na duchu, dalej mówi on już tylko o źródle swej mocy, o uchu nastawionym na słuchanie i o gotowości poddania się woli Bożej, nawet jeśli jest ona niezrozumiała i boli.

Znajdziemy dla siebie nawzajem pokrzepiające słowa (jesteśmy sobie to winni), ale pod jednym pryncypialnym warunkiem, że pozwolimy, aby On nam wyostrzył zmysły i przygotował do percepcji, że każdego ranka będzie mógł pobudzać nasze uszy do słuchania, byśmy byli jak uczniowie. Sami nie mamy pocieszenia i na próżno go szukamy w sobie. Pociecha przychodzi od Pana wraz z Jego słowem, a gdy dostaje się do serca, to choć sami nie wiemy, jak to się dzieje, rozrasta się niczym dorodne drzewo, w którego cieniu wielu może znaleźć schronienie

i wytchnienie. Zatem każdego ranka bierzmy Pismo Święte do ręki, nadstawiajmy uszu i napełniajmy puste stągwie po brzegi.

Jak zorganizowałem sobie codzienny dostęp do słowa Bożego?

EGOISTKA SPOTYKA CHRYSTUSA

Potem Jezus odszedł stamtąd i podążył w stronę Tyru i Sydonu. A oto kobieta kananejska, wyszedłszy z tamtych okolic, wołała: „Ulituj się nade mną, Panie, Synu Dawida! Moja córka jest ciężko dręczona przez złego ducha". Lecz On nie odezwał się do niej ani słowem. Na to podeszli Jego uczniowie i prosili Go: „Odpraw ją, bo krzyczy za nami!". Lecz On odpowiedział: „Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela". A ona przyszła, upadła przed Nim i prosiła: „Panie, dopomóż mi!". On jednak odparł: „Niedobrze jest zabrać chleb dzieciom, a rzucić psom". A ona odrzekła: „Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą z okruszyn, które spadają ze stołów ich panów". Wtedy Jezus jej odpowiedział: „O niewiasto, wielka jest twoja wiara; niech ci się stanie, jak chcesz!". Od tej chwili jej córka była zdrowa (Mt 15, 21-28).

Był nią zachwycony! I to nie jedyna sytuacja opisana w Ewangeliach, gdy Chrystus zachwyca się wiarą ludzi. Weźmy więc pod lupę wypowiedź kobiety kananejskiej z 15 rozdziału Ewangelii według św. Mateusza. Jej córka jest nękana przez złego ducha – przynajmniej ta kobieta tak to interpretuje – a tymczasem prosi Jezusa, by ulitował się nie nad córką, ale nad nią. Nie trzeba być Matką Teresą, by podnieść brwi, dziwiąc się tym pokładom egoizmu. A w jeszcze większe zdumienie wprawia nas zachowanie Jezusa, udającego, że tego nie widzi – On, który wzrokiem prześwietlał ludzi, zaglądał do serca i to na samo dno. A tu co? Nie dostrzega słabości tej kobiety? Może nie chodzi o to, by zaraz coś jej wytykać, ale jakaś dyskretna uwaga byłaby na miejscu. Kobieta nalega, nastaje, błaga

na kolanach, ale nie rezygnuje z wersji egoistycznej: „Pomóż mi". O córce ani słowa. Jezus zaś wykorzystuje obrazowe przysłowie, które ma wyjaśnić kobiecie, że nie wpisuje się w Jego docelową grupę odbiorców: „Niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniętom". Brzmi to trochę jak: „Przepraszamy, ale tych klientów nie obsługujemy". Kobieta zaś świetnie wchodzi w konwencję: „Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu ich panów". Obraz za obraz, scenka za scenkę. I wtedy Chrystus pełen podziwu zmienia zdanie (nie pierwszy raz). On nie jest nieustępliwy. W tej „namolnej", egoistycznie nastawionej kobiecie dostrzega kogoś niezwykłego, z poruszającą intuicją wiary.

O czym to wszystko świadczy? Otóż widać jak na dłoni, że Chrystus prowadzi autentyczny dialog, którego paliwem jest niesłychana ciekawość rozmówcy. Nie dokonuje ocen, osądów, ale pozwala, aby akcja się rozwijała. Nie zraża się na wstępie egoistyczną postawą petentki. Nie okopuje się w swym stanowisku. Krótko mówiąc, nie ma w nim cienia małostkowości, jest normalny. A jeśli nas to dziwi i zaskakuje, to sami sobie wystawiamy świadectwo, jaki obraz Boga mamy w głowie. Czym prędzej trzeba nam wyskakiwać z tych kolein i przestać się dziwić. Pozostawać zaś w zachwycie – aaa, to coś zupełnie innego.

Jak mogę kształtować swoje myślenie, by unikać małostkowości? W jakiej sytuacji do tej pory udało mi się tego dokonać?

BADANIE OPINII

Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?”. A oni odpowiedzieli: „Jedni za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, jeszcze inni za Jeremiasza albo za jednego z proroków”. Jezus zapytał ich: „A wy za kogo Mnie uważacie?”. Odpowiedział Szymon Piotr: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Na to Jezus mu rzekł: „Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie. Otóż i Ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie”. Wtedy surowo zabronił uczniom, aby nikomu nie mówili, że On jest Mesjaszem (Mt 16, 13-20).

Po co Chrystusowi badanie opinii publicznej? W ogóle, co to za pomysł, żeby się zajmować takimi sprawami? Dlaczego robi z uczniów ankieterów? Czy kieruje nim czysta ciekawość? A może dyplomatycznie buduje tło, na którym Piotr mógłby dobrze wypaść; taki sprytny sposób dowartościowania go? Ale czy sytuacja tego wymaga? Nie bardzo, bo Piotr strzela w dziesiątkę: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Nie można było lepiej. Chrystus jest głęboko poruszony i przekonany, że odpowiedź na tak intymne pytanie nie bierze się znikąd. Podejrzewa Piotra o bezpośrednie konszachty z Bogiem Ojcem. Tłumaczy mu, że jego rozeznanie i orientacja mogą być źródłem szczęścia i nie omieszka wyznać, jak

On widzi młodego apostoła i za kogo go uważa. Wypowiada słowa zdecydowane, ważne, twarde: „Jesteś opoką. Na tej opoce będę budował, a to, co zbuduję, będzie trwałe". Miód na serce każdego mężczyzny. Wyżej się nie da, głębiej nie sposób. Ocean i bezkres.

Ale, ale – wróćmy do tego, od czego zaczęliśmy, czyli zbierania informacji na swój własny temat. Może to dobra okazja, by zapytać siebie samego: kiedy ostatnio zainteresowałem się tym, co ludzie o mnie mówią, jak mnie widzą, jaka jest percepcja mojego zachowania, postaw, wypowiedzi. Po co mam to robić? Żeby wiedzieć, czy jest jakaś spójność między tym, jak jestem odbierany, a tym, jak siebie kreuję. Czy „czytelnik" jest w stanie trafnie zinterpretować, co też „poeta ma na myśli". Czy aby „nabywca dzieła" nie zawiesił obrazka do góry nogami, a jeśli nawet tak zrobił, to czy problem jest tylko po stronie ignoranta, czy może jednak artysta nie dość jasno wyraził i przelał na płótno swoją myśl.

Tyle tylko, że trzeba niezłej pokory, aby szczerze zapytać: „Jak mnie widzisz?", a już za chwilę wyłazi czarno na białym, że jeszcze więcej pokory, kultury i odwagi trzeba, aby odpowiedź uznać za interesującą, cenną i potrzebną, bez konieczności rozważania, czy jest słuszna.

Kiedyś pewien znajomy zabrał mnie na wystawę swoich prac. Dużych i małych obrazów. Zapytał, co o nich myślę. Zachęcony, pełen zapału szczerze odpowiedziałem. Odwrócił się nagle i rzucił mi prosto w twarz: „Żałuję, że zapytałem!".

Jak ludzie cię widzą? Co o tobie mówią? I co ty na to?

CO MAMY CZYNIĆ?

Wtedy stanął Piotr razem z Jedenastoma i przemówił do nich donośnym głosem: „Mężowie Judejczycy i wszyscy mieszkańcy Jerozolimy, przyjmijcie do wiadomości i posłuchajcie uważnie mych słów! Ci ludzie nie są pijani, jak przypuszczacie, bo jest dopiero trzecia godzina dnia. Niech więc cały dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem, i Mesjaszem". Gdy to usłyszeli, przejęli się do głębi serca: „Cóż mamy czynić, bracia?" – zapytali Piotra i pozostałych Apostołów. „Nawróćcie się – powiedział do nich Piotr – i niech każdy z was ochrzci się w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych, a weźmiecie w darze Ducha Świętego. Bo dla was jest obietnica i dla dzieci waszych, i dla wszystkich, którzy są daleko, a których powoła Pan Bóg nasz". W wielu też innych słowach dawał świadectwo i napominał: „Ratujcie się spośród tego przewrotnego pokolenia!". Ci więc, którzy przyjęli jego naukę, zostali ochrzczeni. I przyłączyło się owego dnia około trzech tysięcy dusz (Dz 2, 14-15.36-41).

W drugim rozdziale Dziejów Apostolskich Piotr wygłasza katechezę do tłumu. Jego słowa docierają do uszu odbiorców i do ich wnętrza, bo znajdują oparcie na solidnym fundamencie tęsknoty za Mesjaszem. Słuchający doświadczają głębokiego poruszenia serca, ale nie poprzestają na tym, tylko wyrażają gotowość do działania, do współpracy z Bogiem.

Przyglądając się scenie zesłania Ducha Świętego, dość często zatrzymujemy się na podziwianiu filologicznego fajerwerku – Żydzi ze wszystkich narodów

pod słońcem słyszą, jak apostołowie przemawiają w ich ojczystych językach. Tymczasem cud jest znacznie głębszy i składa się z wielu etapów.

Skupmy się więc na pierwszym. Wszyscy doskonale wiemy, jak trudno nam ze zgiełku i natłoku informacji wychwycić te najbardziej wartościowe i pewne. Z garści szklanych podróbek wyłuskać prawdziwe szlachetne kamienie. Zmęczeni wpatrywaniem się w blask świecidełek gubimy czujność pozwalającą wyłapać veritatis splendor – blask prawdy. Jeśli jednak nam się to uda, możemy wówczas przejść do etapu drugiego, czyli spróbować zarzucić kotwicę na dostatecznie wyrobionym w naszym umyśle gruncie wrażliwości. I gdy wreszcie nastąpi w nas głębokie poruszenie, pora na ostatni etap – gotowość do działania. Tylko, czy będziemy umieli się na nią zdobyć? Przypomina mi się pewien student, który pojawił się kiedyś na obiedzie w koszulce z napisem: „Bywają takie dni, gdy chce mi się tak bardzo, bardzo coś zrobić. Wtedy siadam sobie cichutko w kąciku i czekam, aż mi przejdzie".

Aby wydarzenia podobne do tych po przemówieniu Piotra mogły stać się naszym udziałem, niewątpliwie potrzebujemy wyraźnego działania Ducha Świętego, a i tak będzie to bieg z przeszkodami.

W jakiej konkretnej sytuacji treści biblijne, które mnie głęboko poruszyły, faktycznie wpłynęły na moją postawę, na moje działanie?

ISTNA KOMEDIA

Tego samego dnia dwaj z nich byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy. Rozmawiali oni z sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali z sobą, sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi. Lecz oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali. On zaś ich zapytał: „Cóż to za rozmowy prowadzicie z sobą w drodze?”. Zatrzymali się smutni. A jeden z nich, imieniem Kleofas, odpowiedział Mu: „Ty jesteś chyba jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało”. Zapytał ich: „Cóż takiego?”. Odpowiedzieli Mu: „To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali. A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela. Tak, a po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało. Nadto jeszcze niektóre z naszych kobiet przeraziły nas: były rano u grobu, a nie znalazłszy Jego ciała, wróciły i opowiedziały, że miały widzenie aniołów, którzy zapewniają, iż On żyje. Poszli niektórzy z naszych do grobu i zastali wszystko tak, jak kobiety opowiadały, ale Jego nie widzieli”. Na to On rzekł do nich: „O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?”. I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykładał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego. Tak przybliżyli się do wsi, do której zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: „Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił”. Wszedł więc, aby zostać z nimi. Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął

chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu. I mówili nawzajem do siebie: „Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?". W tej samej godzinie wybrali się i wrócili do Jerozolimy. Tam zastali zebranych Jedenastu i innych z nimi, którzy im oznajmili: „Pan rzeczywiście zmartwychwstał i ukazał się Szymonowi". Oni również opowiadali, co ich spotkało w drodze, i jak Go poznali przy łamaniu chleba (Łk 24, 13-35).

Opis uczniów idących do Emaus to jeden z najbardziej komicznych fragmentów Nowego Testamentu, jeśli nie całej Biblii. Apostołowie z wielkim smutkiem głoszą Zmartwychwstałemu dokładnie ten kerygmat, który Kościół będzie niósł przez wieki całemu światu. Przy czym, na domiar złego, potrafią z iście zegarmistrzowską precyzją wyjaśnić powód swej rozpaczy, czyli słynne: „A myśmy się spodziewali..." Oni po prostu mieli świetliste plany, wyreżyserowali świetny spektakl, w którym Chrystus miał odegrać całkiem znośną rolę pierwszoplanową. A tu wszystko wzięło w łeb, koszyk żuczków się rozsypał i każdy pognał w swoją stronę. Nie wiedzieli, co się dzieje, nie mogli się pozbierać, jednym słowem: rozpacz, żal i smutek. A na dodatek, by dopełnić komizmu, właśnie Jezusowi rzucają prosto w twarz: „Ty jesteś chyba jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało". No rzeczywiście, On jest jedynym niezorientowanym. Zatem dawaj wyjaśniać. Komedia.

Przyznam, że sam nieraz urządzałem taki kabaret, podejmując rozpaczliwe próby wyjaśnienia

Chrystusowi, co też się dzieje w moim życiu. Uznawałem Go za tego jedynego, który ma prawo nie wiedzieć i nie rozumieć niczego. Dopiero gdy udało mi się spojrzeć z pewnego dystansu na te groteskowe scenki, czasami wręcz wybuchałem śmiechem.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jeden detal, mający spore znaczenie społeczne. Ewangelia mówi, że idący do Emaus rozmawiali i rozprawiali ze sobą, ale w zasadzie mamy tu do czynienia z eufemizmem, pod którym ukryty jest ostry spór, ba! kłótnia, awantura. Oni się w drodze „pożarli". Z nami też tak czasem bywa, że w sytuacjach trudnych, krytycznych zaczynamy skakać sobie do oczu.

Apostołowie po prześmiesznej rozmowie z Chrystusem zgodnie zapraszają wędrowca i proszą, aby pozostał z nimi na noc. To jest poważna przemiana, pierwszy owoc spotkania ze Zmartwychwstałym.

Często toczymy ostre spory i awantury o sprawy może niezbyt istotne. Oby także dla nas pierwszym owocem spotkania Zmartwychwstałego była gotowość do zgodnego działania.

Jak obecność Zmartwychwstałego w moim życiu łagodzi konflikty i spory, czy pozwala na zgodne współdziałanie z adwersarzami?

UNIESIONY GNIEWEM

Wtedy Piotr zbliżył się do Niego i zapytał: „Panie, ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie? Czy aż siedem razy?". Jezus mu odrzekł: „Nie mówię ci, że aż siedem razy, lecz aż siedemdziesiąt siedem razy. Dlatego podobne jest królestwo niebieskie do króla, który chciał rozliczyć się ze swymi sługami. Gdy zaczął się rozliczać, przyprowadzono mu jednego, który mu był winien dziesięć tysięcy talentów. Ponieważ nie miał z czego ich oddać, pan kazał sprzedać go razem z żoną, dziećmi i całym jego mieniem, aby tak dług odzyskać. Wtedy sługa upadł przed nim i prosił go: «Panie, miej cierpliwość nade mną, a wszystko ci oddam». Pan ulitował się nad tym sługą, uwolnił go i dług mu darował. Lecz gdy sługa ów wyszedł, spotkał jednego ze współsług, który mu był winien sto denarów. Chwycił go i zaczął dusić, mówiąc: «Oddaj, coś winien!». Jego współsługa upadł przed nim i prosił go: «Miej cierpliwość nade mną, a oddam tobie». On jednak nie chciał, lecz poszedł i wtrącił go do więzienia, dopóki nie odda długu. Współsłudzy jego, widząc, co się działo, bardzo się zasmucili. Poszli i opowiedzieli swemu panu wszystko, co zaszło. Wtedy pan jego wezwał go przed siebie i rzekł mu: «Sługo niegodziwy! Darowałem ci cały ten dług, ponieważ mnie prosiłeś. Czyż więc i ty nie powinieneś był ulitować się nad swoim współsługą, jak ja ulitowałem się nad tobą?». I uniesiony gniewem pan jego kazał wydać go katom, dopóki mu całego długu nie odda. Podobnie uczyni wam Ojciec mój niebieski, jeżeli każdy z was nie przebaczy z serca swemu bratu" (Mt 18, 21-35).

Czytając Ewangelię, często staję przed nie lada problemem: o czym jest dana przypowieść, a o czym

nie jest. Próbowałem szukać rozwiązania u ojców Kościoła. Zajęcie to bogobojne i chwalebne, ale odnalezione odpowiedzi okazały się sprzeczne. Ad rem zatem, czyli do Ewangelii wspominającej nielitościwego sługę. Czy fakt, że pan uniósł się gniewem, gdy mu opowiedziano, jak uwolniony przez niego sługa potraktował swojego dłużnika, należy do treści przypowieści, czy jest tylko ozdobnikiem dla dodania pikanterii? Ów pan nie tylko przeżywa swe uczucia, ale nadto wydaje się, że działa pod ich wpływem. I nie jest to działanie „ech, takie tam". Ono rujnuje życie konkretnego człowieka. Owszem, przewinienia sługi są wielkie i obrzydliwe, głównie na skutek braku proporcji. Sam był winien niebotyczne kwoty i śmiał opowiadać swemu panu, że odda co do grosza, gdy tylko ten próbował odzyskać wielkie pieniądze, chcąc sprzedać dłużnika ze wszystkim, co miał. Odda co do grosza? Jestem ciekaw jak. Ale jego pan, zdjęty litością (i znów budowanie postawy na uczuciach), darował mu dług. A ten niewdzięcznik, wobec człowieka, który był mu winien nieporównanie mniejsze sumy, zachowuje się bezwzględnie. Oj nieładnie, nieładnie, widać gołym okiem. Zatem irytacja i oburzenie dobrego pana są uzasadnione i zrozumiałe, ale działania pod wpływem emocji? Sam nie wiem, co o tym myśleć. I dlaczego właściwie rozstrzygam takie kwestie? Co mi po tym? A jednak dla mnie, prostego chłopaka z Wielkopolski, sprawa jest superważna, gdyż dotyczy mnie bezpośrednio. Jak to mówią: bliska ciału koszula. Już spieszę z wyjaśnieniem. Pojechałem razem ze studentami na obóz w góry. Rankiem wszyscy poszli na wycieczki,

a ja, kontuzjowany, zostałem w domu sam. Po kilku godzinach odkryłem, że ktoś zostawił włączony warnik, ale bez wody, co oczywiście pachniało katastrofą. Na szczęście zdążyłem zareagować i wyłączyć urządzenie. Gdy studenci wrócili, próbowałem im wyjaśniać, że to błąd, że niefajnie, a ci oburzyli się, że nie są w stanie zapanować nad wszystkim. Uniesiony gniewem dla ich własnego bezpieczeństwa schowałem warnik, zabraniając im z niego korzystać. No i właśnie tu moje pytanie: czy mieszczę się w nurcie Ewangelii, czy naśladuję Chrystusa, czy jestem w wielkim błędzie? Może ktoś z czytających tę książkę mi pomoże?

Jak często buduję swe działania i postawy na emocjach? Jak godzę to z Ewangelią?

BEZ TRWOGI

Wówczas, gdy liczba uczniów wzrastała, zaczęli helleniści szemrać przeciwko Hebrajczykom, że przy codziennym rozdawaniu jałmużny zaniedbywano ich wdowy. „Nie jest rzeczą słuszną, abyśmy zaniedbywali słowo Boże, a obsługiwali stoły" – powiedziało Dwunastu, zwoławszy wszystkich uczniów. „Upatrzcież zatem, bracia, siedmiu mężów spośród siebie, cieszących się dobrą sławą, pełnych Ducha i mądrości! Im zlecimy to zadanie. My zaś oddamy się wyłącznie modlitwie i posłudze słowa". Spodobały się te słowa wszystkim zebranym i wybrali Szczepana, męża pełnego wiary i Ducha Świętego, Filipa, Prochora, Nikanora, Tymona, Parmenasa i Mikołaja, prozelitę z Antiochii. Przedstawili ich Apostołom, którzy modląc się, włożyli na nich ręce. A słowo Boże rozszerzało się, wzrastała też bardzo liczba uczniów w Jerozolimie, a nawet bardzo wielu kapłanów przyjmowało wiarę (Dz 6, 1-7).

„Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie! W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem. Znacie drogę, dokąd Ja idę". Odezwał się do Niego Tomasz: „Panie, nie wiemy, dokąd idziesz. Jak więc możemy znać drogę?". Odpowiedział mu Jezus: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie. Gdybyście Mnie poznali, znalibyście i mojego Ojca. Ale teraz już Go znacie i zobaczyliście". Rzekł do Niego Filip: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy". Odpowiedział mu Jezus: „Filipie, tak długo jestem z wami,

a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca. Dlaczego więc mówisz: «Pokaż nam Ojca?». Czy nie wierzysz, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie? Słów tych, które wam mówię, nie wypowiadam od siebie. Ojciec, który trwa we Mnie, On sam dokonuje tych dzieł. Wierzcie Mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie. Jeżeli zaś nie – wierzcie przynajmniej ze względu na same dzieła! Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, będzie także dokonywał tych dzieł, których Ja dokonuję, owszem, i większe od tych uczyni, bo Ja idę do Ojca" (J 14, 1-12).

Jak widać, życie pierwotnego Kościoła opisane w szóstym rozdziale Dziejów Apostolskich to nie wieczna sielanka, bezchmurne niebo i lekki wietrzyk łagodzący upał. Pojawiały się także ciemne chmury z błyskawicami oskarżeń, podejrzeń i pomówień. Ot, życie. To takie ludzkie. I jak reagują apostołowie? Zamiast się zgorszyć postawą współbraci i okazać im irytację, podjęli praktyczne rozwiązania. Przyznali wprost: „Jest problem. Znajdźmy rozwiązanie". Jasno zarysowany podział obowiązków oparty na wzajemnym zaufaniu przyniósł świetne owoce. Scena niczym filmik instruktażowy. Nic tylko rozsyłać po diecezjach i parafiach współczesnego Kościoła.

W 14 rozdziale Ewangelii według św. Jana Jezus wzywa nas: „Niech się nie trwoży serce wasze". I wezwanie to uzupełnia retorycznym pytaniem: „Wierzycie w Boga?". Wciąż nie mogę się nadziwić naszej reakcji na pandemię. Nie rzuciliśmy się do „histerycznej" modlitwy odziani w wory pokutne, wyrywając sobie włosy z głowy. Nie nawoływaliśmy całego świata do walenia w dzwony. Czyżbyśmy nie

wierzyli w Bożą wszechmoc? Może jednak przeważa w nas przekonanie, że owszem, Bóg ten świat stworzył, ale już nie bardzo nad nim czuwa. Zmajstrował zegarek, nakręcił go, ale ten tyka sobie już teraz bez Boskiej ingerencji. A może jest zupełnie odwrotnie. Nasze serca nie ulegają trwodze, bo choć nie rozumiemy tego, co się dzieje, głęboko wierzymy w Bożą obecność w historii naszej cywilizacji i spokojnie kroczymy jak baranki paschalne z głębokim przekonaniem, że jest w tym pochodzie jakiś sens. A przy okazji rozglądamy się ze zdziwieniem, jaką ulgę przynosi innym współmieszkańcom naszej planety wyhamowanie zwariowanego tempa rozwoju, a i nam samym może się to do czegoś przydać.

Jak łączę zmaganie z przeciwnościami losu i życiowymi kryzysami z wiarą w Bożą opiekę?

CZUŁOŚĆ

Pana zaś Chrystusa miejcie w sercach za Świętego i bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest. A z łagodnością i bojaźnią [Bożą] zachowujcie czyste sumienie, ażeby ci, którzy oczerniają wasze dobre postępowanie w Chrystusie, doznali zawstydzenia właśnie przez to, co wam oszczerczo zarzucają. Lepiej bowiem – jeżeli taka wola Boża – cierpieć, dobrze czyniąc, aniżeli czyniąc źle (1 P 3, 15-17).

Kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie". Rzekł do Niego Juda, ale nie Iskariota: „Panie, cóż się stało, że nam się masz objawić, a nie światu?". W odpowiedzi rzekł do niego Jezus: „Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać" (J 14, 21-23).

Kończąc przemówienie noblowskie, pani Olga Tokarczuk poruszyła temat czułości. Ten passus wystąpienia wzruszył mnie najbardziej. W pełni podzielam jej zachwyt nad tą „najskromniejszą odmianą miłości", która pozwala ze skupieniem zaglądać w drugi byt, by przejąć się „jego kruchością, niepowtarzalnością, jego nieodpornością na cierpienie i działanie czasu". Nie mogę jednak bez wyrażenia swego głębokiego powątpiewania przyjąć stwierdzenia, że czułość to ten rodzaj miłości, który nie pojawia się w pismach i Ewangeliach. Owszem, wiele zależy od sposobu przeprowadzenia egzegezy i nastawienia. Dotyczy to w zasadzie całego naszego

stosunku do świata, który każdy z nas widzi trochę po swojemu. Śmiem jednak twierdzić, że czułość płynąca z Pisma Świętego, a zwłaszcza z Nowego Testamentu, jest dość łatwa do wyśledzenia. Ukryta jest choćby w wezwaniu z trzeciego rozdziału Pierwszego Listu św. Piotra (1 P 3, 15-18): „z łagodnością i bojaźnią Bożą zachowujcie czyste sumienie [...], aby ci którzy was oczerniają, doznali zawstydzenia". W słowach tych odczytuję wezwanie do czułości nawet względem adwersarzy. Ta postawa wrażliwości bierze się z obserwacji zachowań Chrystusa, który nieraz wzrusza swoją czułością. Roni łzy po śmierci przyjaciela, co prowokuje komentarze postronnych na temat zażyłości, jaka ich łączyła. Przyjmuje pieszczoty i pocałunki prostytutki, a gdy budzi to zażenowanie biesiadników, wyjaśnia wprost, że kobieta ta rekompensuje brak czułości, gdyż gospodarz zapomniał o niej przy powitaniu. Do najczulszych słów, jakie zna literatura, zaliczyłbym to proste i bezpośrednie stwierdzenie z 14 rozdziału Ewangelii według św. Jana: „Nie zostawię was sierotami" (J 14, 15-21). Jest to rodzaj serdeczności, który zakłada wzajemność, a ta buduje więź: „Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował". Tylko człowiek przepojony czułością pozwala sobie mówić o miłości w sposób tak bezpośredni.

Jak na co dzień objawiam swoją czułość, szczególnie względem najbliższych?

MOJE ŻYCIE OPOWIEŚCIĄ O PRZYJAŹNI

Przeto i ja, usłyszawszy o waszej wierze w Pana Jezusa i o miłości względem wszystkich świętych, nie zaprzestaję dziękczynienia, wspominając was w moich modlitwach. [Proszę w nich], aby Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec chwały, dał wam ducha mądrości i objawienia w głębszym poznaniu Jego samego. [Niech da] wam światłe oczy serca tak, byście wiedzieli, czym jest nadzieja waszego powołania, czym bogactwo chwały Jego dziedzictwa wśród świętych i czym przemożny ogrom Jego mocy względem nas wierzących – na podstawie działania Jego potęgi i siły. Wykazał On je, gdy wskrzesił Go z martwych i posadził po swojej prawicy na wyżynach niebieskich, ponad wszelką Zwierzchnością i Władzą, i Mocą, i Panowaniem, i ponad wszelkim innym imieniem wzywanym nie tylko w tym wieku, ale i w przyszłym. I wszystko poddał pod Jego stopy, a Jego samego ustanowił nade wszystko Głową dla Kościoła, który jest Jego Ciałem, Pełnią Tego, który napełnia wszystko wszelkimi sposobami (Ef 1, 15-23).

Mam wrażenie, że nakaz Zmartwychwstałego z 28 rozdziału Ewangelii według św. Mateusza: „Uczcie je [narody] zachowywać wszystko, co wam przykazałem” (Mt 28, 20) sprowadzamy w dużej mierze, a może nawet w stu procentach, do sfery moralnej. Tymczasem, jak głosi św. Paweł w pierwszym rozdziale Listu do Efezjan, mamy otworzyć się na przyjęcie „ducha mądrości i objawienia w głębszym poznawaniu Jego samego”. I wydaje się, że tak naprawdę chodzi właśnie o poznanie, kim jest

Chrystus i co chce nam objawić. Warto zatem zadać sobie pytanie, co jest głównym przesłaniem nauczania Chrystusa. Widzę to w dwóch zasadniczych płaszczyznach. Pierwsza to objawienie światu Ojca, z którym jako Syn pozostaje w głębokiej i tajemniczej jedności. Cuda, które Jezus czyni, w zasadzie sprowadzają się do pełnego znaków nauczania o Pierwszej Osobie Boskiej. Wiele uzdrowień odbyło się poprzez westchnienie do Ojca, który zawsze wysłuchuje. Wszystkie ludzkie perypetie Chrystusa odsłaniają więź, jaka łączy Go z Ojcem, i objawiają Jego dobroć i mądrość.

Drugi nurt ma swój szczytowy moment w pełnym uniesienia wyznaniu: „Już was nie nazywam sługami, ale przyjaciółmi". Wyznanie to oparte jest na całkowitej szczerości. Przed przyjacielem nie ma się tajemnic, otwiera się całe serce. Dlatego Bóg objawia nam wszystko o sobie, by móc nazwać nas przyjaciółmi. Przyjaźń jest wzajemna, zatem i On jest dla nas przyjacielem. Naszym celem jako chrześcijan jest zanieść tę wiadomość światu. Każda ludzka istota jest związana więzami przyjaźni z Bogiem, który objawił się w Chrystusie Jezusie. Mamy więc zaświadczyć, że jest możliwe, aby każdy człowiek tę przyjaźń odnalazł, przedarł się, czasem nawet przez mrok różnych ludzkich zranień do tej jedynej, przyjaźni. Dzięki temu odkryjemy, jak Bóg jest nam bliski. I tak jak życie Chrystusa w jego ludzkim wymiarze jest opowieścią o wielkiej miłości i zażyłości z Ojcem, tak i nasze życie, życie każdego z nas, wraz z naszymi przyjaźniami i miłością małżeńską, ma się stać opowieścią o innej przyjaźni,

przekraczającej wymiar naszej ludzkiej egzystencji. O tym właśnie mamy nauczać wszystkie narody. A moralność? Ona jest wtórna. Przychodzi jako konsekwencja.

Co najistotniejszego odkrywam w osobie Jezusa Chrystusa? O czym z tego odkrycia chcę opowiedzieć światu?

KTO JEST WINNY?

Gdy Adam spożył z drzewa, Pan Bóg zawołał na niego i zapytał go: „Gdzie jesteś?". On odpowiedział: „Usłyszałem Twój głos w ogrodzie, przestraszyłem się, bo jestem nagi, i ukryłem się". Rzekł Bóg: „Któż ci powiedział, że jesteś nagi? Czy może zjadłeś z drzewa, z którego ci zakazałem jeść?". Mężczyzna odpowiedział: „Niewiasta, którą postawiłeś przy mnie, dała mi owoc z tego drzewa i zjadłem". Wtedy Pan Bóg rzekł do niewiasty: „Dlaczego to uczyniłaś?". Niewiasta odpowiedziała: „Wąż mnie zwiódł i zjadłam". Wtedy Pan Bóg rzekł do węża: „Ponieważ to uczyniłeś, bądź przeklęty wśród wszystkich zwierząt domowych i dzikich; na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni twego istnienia. Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono ugodzi cię w głowę, a ty ugodzisz je w piętę" (Rdz 3, 9-15).

Zamieszczona w trzecim rozdziale Księgi Rodzaju dramatyczna scena z rajskiego ogrodu należy, moim zdaniem, do najbardziej frapujących obrazów biblijnych. Istna poezja, w której każde słowo jest na swoim miejscu i niesie wiele informacji. Poruszamy się oczywiście w świecie alegorii i przypowieści, więc możemy się dopatrywać najrozmaitszych znaczeń. Chowający się Adam jest archetypem człowieka, który zrobił coś złego i kryje się przed Bogiem. Myślę, że każdy z nas świetnie wie, o czym mowa. Jakże często, gdy nabroję – dopuszczę się jakichś występków, świństewek czy też kogoś skrzywdzę – zaszywam się gdzieś, byle tylko zejść Bogu z oczu. A Ten, z podziwu godnym uporem, za każdym razem mnie szuka

i próbuje rozpocząć rozmowę. Ja się od niej wykręcam, wiję jak piskorz, a On brnie i chce prostoty i szczerości. Nazywa rzeczy po imieniu, ja natomiast próbuję zrzucić na kogoś winę i od tej kategorii winy nie potrafię się oderwać. Tymczasem Bóg stawia pytania, które mają pomóc mi zrozumieć sytuację, dostrzec jej przyczynę. „Dlaczego tak zrobiłeś? – pyta ze spokojem. – Porozmawiajmy o tym. Spróbujmy coś wyjaśnić".

Oczywiście na tę scenę możemy też spojrzeć jako na dramat, który rozgrywa się między kobietą a mężczyzną, między ukochanymi. Anselm Grün upatruje w tym opisie biblijnym archetyp lęku mężczyzny względem kobiety, która z jednej strony pociąga go i fascynuje, a z drugiej budzi obawy. Mężczyzna pragnie bliskości i więzi z nią, ale jednocześnie nosi w sobie podświadomy lęk, którego natury i źródła sam często nie rozumie. Przeżywa napięcie między fascynacją a niepokojem, strachem, trwogą, że ją skrzywdzi, oskarżając jednocześnie o zło, którego sam się dopuścił. Lęka się, że przed Bogiem zrzuci na nią winę, a przy tym oberwie się i Bogu, bo to niewiasta, którą On przy nim postawił, dała mu ten nieszczęsny owoc. My mężczyźni nosimy w sobie lęk, że będziemy wciąż oskarżać i szukać winnych.

Jakie sposoby wypracowałem, by wychodzić na spotkanie z Bogiem, gdy już nagrzeszę?

NIEZALEŻNOŚĆ JEST „BE”!

Otóż zapewniam was, że nikt, pozostając pod natchnieniem Ducha Bożego, nie może mówić: „Niech Jezus będzie przeklęty!”. Nikt też nie może powiedzieć bez pomocy Ducha Świętego: „Panem jest Jezus”. Różne są dary łaski, lecz ten sam Duch; różne też są rodzaje posługiwania, ale jeden Pan; różne są wreszcie działania, lecz ten sam Bóg, sprawca wszystkiego we wszystkich. Wszystkim zaś objawia się Duch dla [wspólnego] dobra. Podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem. Wszyscyśmy bowiem w jednym Duchu zostali ochrzczeni, [aby stanowić] jedno Ciało: czy to Żydzi, czy Grecy, czy to niewolnicy, czy wolni. Wszyscyśmy też zostali napojeni jednym Duchem (1 Kor 12, 3-7.12-13).

„Masz być kobietą niezależną, która sama zapracuje na siebie i nikogo o nic nie będzie musiała prosić”. Albo: „Najważniejsze w życiu to nie oglądać się na nikogo. W pełni zależeć tylko od siebie, by realizować swoje własne plany”. Oto rzucone dla przykładu hasła wychowawcze, którymi niektórzy rodzice karmią swoje dzieci. Nie dość, że niezbyt realne, to jeszcze wątpliwej wartości, a już z pewnością odległe od myśli chrześcijańskiej.

W 12 rozdziale Pierwszego Listu do Koryntian św. Paweł z właściwą sobie precyzją wyjaśnia, że powiązany z działaniem Ducha Świętego Kościół tworzy splot wzajemnych zależności. Bo różne są dary łaski, różne są posługiwania, a wszystko ma służyć wspólnemu dobru. Oj biada, gdyby któryś z członków Kościoła

uparcie zaczął brnąć w niezależność i zamiast szukać spowiednika, sam siebie rozgrzeszał, zamiast słuchać kazania, sam je sobie głosił, i zamiast zbierać tacę, sam wrzucał pieniądze do koszyczka.

Kościół jest organizmem w pełni od siebie zależnych ludzi, a to buduje – jak ładnie nazwał ten stan ks. Krzysztof Grzywocz – dar wzajemności. On właśnie stanowi najlepszą pożywkę, istną próchnicę w wilgotnej glebie, gdzie miłość wzajemna może zapuścić korzenie i ugruntować się na dobre. Oczywiście wszystko to dzieje się w Duchu Świętym.

Niesamowita, wprost zapierająca dech w piersiach jest samodzielność powstającego Kościoła. W żaden sposób nie przypomina on marionetki w ręku Boga, który pociąga za wszystkie sznureczki, a martwa kukiełka skacze. Jan Ewangelista w 20 rozdziale przywołuje słowa Jezusa: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane" (J 20, 22-23). Koniec kropka. Żadnych instrukcji, tabel pełnych wskazówek, które grzechy odpuszczać, które zatrzymywać. Bez wykładu o okolicznościach łagodzących. Nic z tych rzeczy. Sami sobie poradzicie. Pełne zaufanie. Samodzielność i niezależność to dwa różne światy. Bóg chce, abyśmy pozostali nawzajem od siebie zależni, ale zachęca i wychowuje nas do pełnej samodzielności. Może, wychowując swoje pociechy, warto wziąć to pod uwagę i odróżnić niezależność od samodzielności.

W jaki sposób czerpię siły życiowe ze swej zależności od innych ludzi? Jak doceniam ich obecność w moim życiu?

STREFA BEZPIECZEŃSTWA

Mojżesz wyciosał dwie tablice kamienne jak pierwsze, a wstawszy rano wstąpił na górę, jak mu nakazał Pan, i wziął do rąk tablice kamienne. A Pan zstąpił w obłoku, i [Mojżesz] zatrzymał się koło Niego, i wypowiedział imię Jahwe. Przeszedł Pan przed jego oczyma i wołał: „Jahwe, Jahwe, Bóg miłosierny i litościwy, cierpliwy, bogaty w łaskę i wierność". I natychmiast skłonił się Mojżesz aż do ziemi i oddał pokłon, mówiąc: „Jeśli darzysz mnie życzliwością, Panie, [to proszę], niech pójdzie Pan w pośród nas. Jest to wprawdzie lud o twardym karku, ale przebaczysz winy nasze i grzechy nasze i uczynisz nas swoim dziedzictwem" (Wj 34, 5b-6.8-9).

Mojżesz – prawodawca – otrzymuje przykazania skatalogowane, dokładnie policzone i wyryte w kamieniu. Jak napisał Jan Wołek w Bożej piąstce: „Boga z ludźmi twardy dialog. To Dekalog". Gołym okiem widać ogromny ciężar podarunku, który ludzkość otrzymała z rąk proroka. Bez wątpienia niejednemu ta kamienna tablica wypadnie z ręki i przygniecie nogę i może ów nieborak już nigdy nie pójdzie przez życie w podskokach. Jak zatem z tymi twardymi tablicami połączyć często niezauważany, a równie wyrazisty obraz Boga przechadzającego się przed oczyma Mojżesza z gromkim okrzykiem: „Pan, Pan, Bóg miłosierny i łagodny, nieskory do gniewu, bogaty w łaskę i wierność"? Czyżby kamień miał jednak oznaczać trwałość, a nie twardość i ciężar? Może, tak jak pies, który wychodzi z rzeki i kilkoma sprytnymi ruchami otrząsa się z wody, tak i my powinniśmy zrzucić z siebie ponure widzenie Dekalogu

jako ogrodzenia z drutu kolczastego pod wysokim napięciem? Trzeba nam popatrzeć na przykazania jak na delikatną kreskę, czasami ledwie widoczną, którą z łatwością można przekroczyć. Linia ta wyznacza sporą przestrzeń wolności i bezpieczeństwa. Jest to obszar, w którym można swobodnie żyć, biegać, bawić się, fikać koziołki, chodzić na rękach, bez najmniejszej obawy, że komuś lub sobie wyrządzimy krzywdę. W tej przestrzeni znajduje się też strefa pełnej radości, opisywana przez św. Pawła w drugim rozdziale Drugiego Listu do Koryntian (2 Kor 13, 11-13): „Bracia, radujcie się, dążcie do doskonałości, pokrzepiajcie się na duchu, bądźcie jednomyślni, pokój zachowujcie, a Bóg miłości i pokoju będzie z wami". Sielanka, sporo czułości, ludzie pozdrawiają się „świętym pocałunkiem". Proponuję na chwilę zamknąć oczy, wyobrazić sobie taki świat... No tak. Tu sielanka, a co z tymi, którzy powędrowali poza granice wyznaczonej strefy bezpieczeństwa w najróżniejsze życiowe krzaki? Czy czeka ich ogień, dym i siarka? Potępienie? Jezus w trzecim rozdziale Ewangelii według św. Jana wyraża się bardzo jasno: „Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony" (J 3, 17). Owszem, potrafimy napsocić, krzywdzić, ale do nas wszystkich, „upapranych" po łokcie w grzechu i złu został posłany Specjalista od wybawienia.

Kiedy ostatnio autentycznie ucieszyłem się z przykazań Bożych? Na ile zdaję sobie sprawę, że dzięki nim wiem, jak nie krzywdzić?

PROSTO I KLAROWNIE

Tych to Dwunastu wysłał Jezus, dając im następujące wskazania: „Nie idźcie do pogan i nie wstępujcie do żadnego miasta samarytańskiego! Idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela. Idźcie i głoście: «Bliskie już jest królestwo niebieskie». Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypędzajcie złe duchy! Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie! (Mt 9, 36-10, 8).

Gdy zakładałem portal 2ryby.pl, radziłem się różnych specjalistów od działań marketingowych, czy to, co wymyśliłem, jest cokolwiek warte. Krótkie filmiki zamieszczane w Internecie, których sens można streścić w prostym haśle: „W trzy i pół minuty o ważnych sprawach". Specjaliści kiwali głowami i odpowiadali: „Super". Gdy zaskoczony ich oceną pytałem: „Dlaczego super?" wszyscy zwracali uwagę na jasność i prostotę pomysłu oraz to, że potrafię go streścić w jednym zdaniu. Faktycznie – udało się. Portal działa.

Chrystus posyłający uczniów na misje wzbudziłby w specjalistach od marketingu jeszcze większy zachwyt. Wszystko dzieje się dwa tysiące lat temu, nie ma jeszcze zalążków badań nad komunikacją społeczną, a mimo to nauczyciel z Nazaretu swobodnie posługuje się wiedzą, której nie powstydziłby się współczesny PR-owiec. Treść przesłania to krótkie, wyraziste, łatwe do zapamiętania stwierdzenia („Bliskie już jest Królestwo Niebieskie"). Prosty przekaz werbalny, jasne, czytelne gesty („Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypędzajcie złe duchy...") i dosyć

precyzyjnie określona grupa docelowa („Idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela"). Jednoznaczna uwaga o bezinteresowności całej akcji. Wyraźnie określona dynamika: „Idźcie". Nie czekajcie, aż ktoś podejdzie do was, wy idźcie. Kryształowa przejrzystość, precyzja i jasność. Żadnych: „ale", „gdyby", „ponieważ".

Myślę, że tej nowoczesności, którą w głoszeniu Ewangelii miał Chrystus, obecnie szalenie nam brakuje. Toniemy w różnych dokumentach o konieczności ewangelizacji, czasami nudnych jak flaki z olejem, pełnych ogólnych stwierdzeń i oczywistości, wspartych analizami bieżącej sytuacji, które – gdy już ujrzą światło dzienne – przestają być aktualne, gdyż świat pędzi w zastraszającym tempie. Do tego jeszcze nieprecyzyjne określenie „grupy docelowej" – najlepiej do wszystkich i na cały świat.

A gdyby tak uprościć. Kilka stwierdzeń i skupienie uwagi na ich realizacji. „Idźcie do sąsiadów w Imię Chrystusa i żyjcie z nimi jak bracia". Przesadziłem? W takim razie przepraszam, ale jestem tylko prostym chłopakiem z Wielkopolski.

Jak w kilku słowach mogę opisać misję powierzoną mi przez Chrystusa?

CO ROBI DIABEŁ, CO ROBI ANIOŁ?

Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który Mnie posłał. Kto przyjmuje proroka, jako proroka, nagrodę proroka otrzyma. Kto przyjmuje sprawiedliwego, jako sprawiedliwego, nagrodę sprawiedliwego otrzyma. Kto poda kubek świeżej wody do picia jednemu z tych najmniejszych, dlatego że jest uczniem, zaprawdę powiadam wam, nie utraci swojej nagrody (Mt 10, 37-42).

Jednym z bohaterów powieści Fiodora Dostojewskiego *Bracia Karamazow* jest starzec Zosima. Niektórzy widzą w nim świętego męża, który swą łagodnością, wyrozumiałością i mądrością przypomina samego Chrystusa, a inni wręcz przeciwnie – zarzucają mu zupełny brak ascezy, schlebianie własnym zachciankom, popijanie herbatek z konfiturą i nieodczuwanie bojaźni Bożej. Pierwsi mogą pełnymi garściami czerpać z jego natchnienia i duchowości, drugim jedyne, co przypada w udziale, to zgorszenie i złość przeżywana z zaciśniętymi zębami, dopóki starzec nie umrze. A gdy tylko zamknie oczy, wykrzyczą swą wściekłość całemu światu. Jezus w dziesiątym rozdziale Ewangelii według św. Mateusza wyraża niezwykle lapidarnie: „Kto przyjmuje proroka jako proroka, nagrodę proroka otrzyma". Tak wiele zależy od naszego osobistego, subiektywnego

nastawienia. Nawet od Chrystusa niewiele możemy przyjąć, jeśli nie widzimy w nim naszego osobistego Zbawiciela.

Dorzucę jeszcze w ramach krótkiej dygresji opowiastkę o (rzekomych) walorach wychowawczych: Z polecenia Boga samego w kościele na wysokim gzymsie siedział anioł i przyglądał się wiernym. Gdy tylko ktoś się zaśmiał czy – nie daj Boże! – ku nieszczęściu sąsiadów puścił bąka, anioł zaraz wpisywał grzech do wielkiej księgi, coby Pan Bóg wiedział o każdym wszystko, jak należy. Dykteryjka w zamysłach autora miała podnosić morale i zbawiennie wpływać na dobre sprawowanie w czasie liturgii – tyle tylko, że jest ona błędna i niechrześcijańska. Jeśli już ktoś jest zainteresowany kościelnymi grzeszkami, to nie kto inny, jak diabeł rogaty ze skórą garbowaną i czarnym węglem w ręce. I dla swego pryncypała spisuje wszelkie ludzkie świństwa, żeby ten miał o co ludzkość oskarżać. Boga interesuje zupełnie coś innego i do czego innego posyła swe anioły. Otóż mają one śledzić, czy aby czasami ktoś nie podaje kubka wody swemu bratu, bo mimo że to nic wielkiego, ot kubek zimnej wody, to jednak zasługuje na uwagę i musi być odnotowany, zapamiętany i wpisany w Boży rejestr. Diabeł oskarża, Chrystus broni. Ot co. Kto przyjmuje obrońcę jako swego obrońcę, w nagrodę obronę otrzyma.

Jak w praktyce, w moim codziennym życiu wyglądają proste gesty miłości? Kiedy ostatnio nakarmiłem głodnego, ubrałem zziębniętego, pocieszyłem strapionego...?

SŁODKIE JARZMO OSOBOWOŚCI

W owym czasie Jezus przemówił tymi słowami: „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je prostaczkom. Tak, Ojcze, gdyż takie było Twoje upodobanie. Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić. Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, aJa was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemię lekkie" (Mt 11, 25-30).

W 11 rozdziale Ewangelii według św. Mateusza Chrystus ani słowem nie wyjaśnia, jakie brzemię jest lekkie, a jarzmo słodkie. Może dla każdego są one inne, w pełni spersonalizowane i dopasowane do cech indywidualnych: zdolności, słabych stron, temperamentu, wychowania, zamożności, a nawet płci. Ich ciężar nie wynika ze specyfiki tego, co Chrystus na nas nakłada, ale raczej z naszej poranionej natury. Każdy choleryk musi założyć uzdę na agresywny rys swej osobowości, mocno ściągnąć lejce i powtarzać sobie do znudzenia: „Daj żyć wszelkim ofermom, popaprańcom i innym niedorajdom. Dla nich też jest miejsce pod wielkim dachem nieba". Ten, kto odkrywa w sobie cechy flegmatyczne, musi nieustannie zachęcać się do wszelkiej aktywności, pozwolić sobie choćby na odrobinę fascynacji, a pragnienie życia w zgodzie ze wszystkimi ludźmi raz

po raz przełamywać wyrażaniem własnego zdania, potrzeb i pragnień. Żyjący pod jarzmem melancholizmu skazani są na nieustanną rezygnację z naturalnych u nich podejrzeń, supozycji i posądzeń innych ludzi, w tym często najbliższych, o złą wolę, wrogie działania, a przynajmniej takie zamiary. Sangwinicy, którzy zawsze chcą być fascynujący, błyszczeć w każdym towarzystwie i stanowić jego centrum, ciągle muszą odcinać smokowi swego wielkiego ego odrastające głowy samouwielbienia. Ich wysiłek, ich jarzmo, to zejść ze środka sceny i zrobić miejsce innym, pozwolić zaistnieć komuś, kogo uważają za nudnego, a prócz tego każdego dnia odnaleźć to wszystko, co zgubili lub nie wiedzą, gdzie pozostawili (a może to być nawet własny samochód).

Do tego dochodzi jarzmo, które nam zgotowało dzieciństwo (każde dzieciństwo) – szkolne traumy, porażki miłosne i perypetie zawodowe. Wszystkie te bagaże winniśmy zarzucić na plecy i ruszyć drogą Ewangelii – z całym obciążeniem, utrudzeniem i nieradzeniem sobie z sobą samym – przyjść do Chrystusa, a On nas pokrzepi. I znajdziemy ukojenie. Okaże się, że wspólnie dźwigane brzemię nie jest wcale takie ciężkie, a nawet staje się słodkie.

Jakie cechy mojej osobowości są moim największym brzemieniem? Jak w ich dźwiganiu korzystam ze wsparcia Chrystusa?

USZY DO SŁUCHANIA

Owego dnia Jezus wyszedł z domu i usiadł nad jeziorem. Wnet zebrały się koło Niego tłumy tak wielkie, że wszedł do łodzi i usiadł, a cały lud stał na brzegu. I mówił im wiele w przypowieściach tymi słowami: „Oto siewca wyszedł siać. A gdy siał, niektóre [ziarna] padły na drogę, nadleciały ptaki i wydziobały je. Inne padły na miejsca skaliste, gdzie niewiele miały ziemi; i wnet powschodziły, bo gleba nie była głęboka. Lecz gdy słońce wzeszło, przypaliły się i uschły, bo nie miały korzenia. Inne znowu padły między ciernie, a ciernie wybujały i zagłuszyły je. Inne w końcu padły na ziemię żyzną i plon wydały, jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny. Kto ma uszy, niechaj słucha!" (Mt 13, 1-23).

Sam fakt posiadania uszu nie rozwiązuje problemu słuchania, nawet jeśli już wiemy, że nie służą one jedynie do zawieszania na nich okularów czy kolczyków. Mimo dobrej i przemyślnej budowy tej jakże przydatnej części ciała i gotowości naszego organizmu do wykorzystywania jej zgodnie z przeznaczeniem problem słuchania pozostaje i wykracza poza fizyczną zdolność, wchodząc w przestrzenie psychologiczną i duchową. Na pierwszy rzut oka zachęta Chrystusa z 13 rozdziału Ewangelii Mateuszowej, aby kto ma uszy do słuchania – słuchał, może brzmieć tautologicznie. Chodzi jednak nie tylko o wysiłek wyłapywania dźwięków i odpowiedniego ich przetwarzania oraz asymilowania, ale nade wszystko o zgodę, aby wpuszczone treści pracowały, kształtując osobowość i serce. Nie wystarczy, że ziarno pada. Owszem, ma ono w sobie gigantyczny potencjał

wzrostu, nieokiełznaną energię życiową, niewiarygodny dynamizm rozwoju, ale niebagatelną rolę odgrywa też żyzność ziemi. Są momenty, gdy stajemy się niezwykle podatni na działanie słowa, a są okresy zamknięcia, zatrzaśniętych drzwi, rygli i zasuw. Wówczas nic do nas nie dociera. Jesteśmy ziemią jałową, wysuszoną, twardą jak skała. Co więcej, możemy w jednej chwili znaleźć się w każdej z barwnie, choć niezwykle syntetycznie przedstawionych przez Chrystusa sytuacji. Droga, cierń, skała, ziemia żyzna, uprawna, zroszona. Jedne słowa przyjmujemy z rozkoszną życzliwością, inne odbijają się od irytującej niemocy – choć niewidocznej, to jednak skutecznie odgradzającej nas od napływających idei, myśli, konceptów. Czy możliwe jest zarządzanie tą wewnętrzną przestrzenią niczym lotniskiem? Czy możemy swobodnie z wieży kontroli odblokowywać kolejne lądowiska, by treści mogły bezpiecznie w nas wylądować? O tym przypowieść nie mówi. Daje tylko ogólny obraz, naświetla sytuację. Pozostawia nas samych z naszą biedą? Raczej pociesza nas, że mimo rozlicznych trudności zawsze trafi się jakiś kawałek żyznej gleby i zawsze coś jednak wzejdzie, wydając owoc: jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny.

Jak staram się zarządzać swoją gotowością do słuchania?

NIE WYRYWAJ

Inną przypowieść im przedłożył: „Królestwo niebieskie podobne jest do człowieka, który posiał dobre nasienie na swej roli. Lecz gdy ludzie spali, przyszedł jego nieprzyjaciel, nasiał chwastu między pszenicę i odszedł. A gdy zboże wyrosło i wypuściło kłosy, wtedy pojawił się i chwast. Słudzy gospodarza przyszli i zapytali go: «Panie, czy nie posiałeś dobrego nasienia na swej roli? Skąd więc wziął się na niej chwast?». Odpowiedział im: «Nieprzyjazny człowiek to sprawił». Rzekli mu słudzy: «Chcesz więc, żebyśmy poszli i zebrali go?». A on im odrzekł: «Nie, byście, zbierając chwast, nie wyrwali razem z nim i pszenicy. Pozwólcie obojgu róść aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żeńcom: Zbierzcie najpierw chwast i powiążcie go w snopki na spalenie; pszenicę zaś zwieźcie do mego spichlerza»" (Mt 13, 24-43).

Odwieczne pytanie: „Skąd się wzięło zło?" gnębi nas i przygniata, a złamani cierpieniem gotowi jesteśmy o jego autorstwo posądzać samego Boga. Chrystus wyprzedza jednak nasze dywagacje przypowieścią o wyrastającym zbożu i chwaście. Oto „Bóg, w którym nie ma idei zła", jak pisze francuski dominikanin Jean-Miguel Garrigues w tytule swojej książki, a skoro tak, to rodzi się też pytanie: „Co Bóg czyni wobec zła?". I tu możemy być zaskoczeni, zniesmaczeni, a nawet zbuntować się. Gdyż On, Bóg z przypowieści, nie ruguje, niczego nie wyrywa, nie pali – jego atrybutami w walce ze złem nie są ogień, dym i siarka – ale, ku naszemu osłupieniu, pozwolenie, aby prawe ziarno i chwast rosły razem. I to ma być dobry Bóg? Ale, ale, zanim rzucimy w Niego

kamieniem, zważmy na Jego motywacje. Otóż, zdaniem Boga, pojawia się realne niebezpieczeństwo, że z zapałem należnym tak wielkiej sprawie, wyrywając zło i rugując je do ostatniej nitki korzenia, moglibyśmy (i to nawet zupełnie niechcący) usunąć niczemu niewinne prawe roślinki wyrastające z Boskich ziaren. I co? Podczas usuwania zła, dzieje się krzywda, dzieje się kolejne zło.

Przychodzi mi na myśl słynna sprawa Jacquesa Fescha, hulaki, który w czasie napadu na kantor zamordował policjanta. Przebywając w więzieniu La Santé, pod wpływem rozmów ze swym adwokatem – człowiekiem żywej wiary – przeżył głębokie nawrócenie, które miało silny wpływ na współosadzonych. W 1957 roku sąd skazał Fescha na śmierć przez gilotynę. Prezydent Francji René Coty, choć był poruszony przemianą młodego chłopaka, nie skorzystał z prawa łaski, by nie dawać złego przykładu bandytom. Wyrok został więc wykonany. Przez ostatnie dwa miesiące życia więzień pisał dziennik dla swojej sześcioletniej córki Weroniki. Został on wydany pod znamiennym tytułem: *Za pięć godzin zobaczę Jezusa*. W 2011 roku zakończył się etap diecezjalny procesu beatyfikacyjnego Jacquesa Fescha. Myślę, że jego adwokat bardzo uważnie przeczytał ową przypowieść Jezusa o tym, skąd się bierze zło na świecie i jak Bóg je traktuje.

W jaki sposób przypowieść Jezusa o wzrastających razem zbożu i chwaście pozwala mi zrozumieć koegzystencję dobra i zła w świecie?

POWOŁANIE WEDŁUG SALOMONA

W Gibeonie Pan ukazał się Salomonowi w nocy, we śnie. Wtedy rzekł Bóg: „Proś o to, co mam ci dać". A Salomon odrzekł: „Tyś okazywał Twemu słudze Dawidowi, memu ojcu, wielką łaskę, bo postępował wobec Ciebie szczerze, sprawiedliwie i w prostocie serca. Ponadto zachowałeś dla niego tę wielką łaskę, że dałeś mu syna, zasiadającego na jego tronie po dziś dzień. Teraz więc, o Panie, Boże mój, Tyś ustanowił królem Twego sługę w miejsce Dawida, mego ojca, a ja jestem bardzo młody. Brak mi doświadczenia! Ponadto Twój sługa jest pośród Twego ludu, któryś wybrał, ludu mnogiego, którego nie da się zliczyć ani też spisać, z powodu jego mnóstwa. Racz więc dać Twemu słudze serce pełne rozsądku do sądzenia Twego ludu i rozróżniania dobra od zła, bo któż zdoła sądzić ten lud Twój tak liczny?". Spodobało się Panu, że właśnie o to Salomon poprosił. Bóg więc mu powiedział: „Ponieważ poprosiłeś o to, a nie poprosiłeś dla siebie o długie życie ani też o bogactwa, i nie poprosiłeś o zgubę twoich nieprzyjaciół, ale poprosiłeś dla siebie o umiejętność rozstrzygania spraw sądowych, więc spełniam twoje pragnienie i daję ci serce mądre i rozsądne, takie, że podobnego tobie przed tobą nie było i po tobie nie będzie" (1 Krl 3, 5-12).

„Jak mogę być przydatny innym ludziom?" – to w zasadzie jedno z najważniejszych pytań, jakie każdy z nas mógłby sobie postawić. Odpowiedź na nie jest jak skarb znaleziony w ziemi – warto sprzedać wiele, by go pozyskać. A dlaczego? To proste – ustawia całe życie w należytej perspektywie. Nikt z nas nie żyje dla siebie, jak zauważył już św. Paweł w Liście do Rzymian (Rz 8, 28-30). Sam fakt, że możemy żyć dla kogoś, nadaje naszemu życiu głęboki sens.

Młodziutki Salomon mimo swego braku doświadczenia rozumie życie całkiem nieźle, a w zasadzie wie to, co najważniejsze. Może dostać od Boga wszystko, a prosi o coś, co będzie użyteczne dla innych ludzi. Bóg jest nim oczarowany. Na tym polega odczytywanie naszego powołania. Każdy, kto szuka swego miejsca w świecie, na początek niech zacznie od rozglądania się wokół siebie. Gdy nauczy się patrzeć z fascynacją, miłością, troską i czułością na to, jak dynamicznie zmienia się rzeczywistość, łatwiej mu będzie wyśledzić potrzeby ludzkości, więcej zrozumie, a świat odsłoni mu się i szczerze wyjawi swoje czułe punkty, pięty Achillesa, słabości, a nawet ropiejące rany. Wtedy człowiek ten może użalić się i zapłakać nad bolączkami świata, ale zapewne zaświta mu też myśl: „Przecież w swym życiowym plecaku mam trochę oliwy, którą można by zalać i opatrzyć czyjeś rany". I zrozumie, że posiada takie zdolności, talenty, predyspozycje genetyczne, wiedzę, a może nawet zamożność, że mógłby sprostać właśnie tej bolączce, którą odkrywa. I tak oto odnajduje, do czego jest powołany. Rozumie, że bez jego zaangażowania szkolnictwo w powiecie będzie dużo słabsze, a może nawet zejdzie na psy, planowanie przestrzenne gminy stanie się koszmarem, albo opieka zdrowotna zamieni się w dozór medyczny. A może bez niego ta Kasia o błękitnych oczętach nie rozkwitnie jako niezwykła kobieta, którą będą wspominały prawnuki. I już jest na swoim miejscu.

Do czego jestem powołany, czyli w jaki sposób mogę być przydatny innym ludziom?

WYPLUTY – UMIŁOWANYM

Gdy Jezus to usłyszał, oddalił się stamtąd w łodzi na miejsce pustynne, osobno. Lecz tłumy zwiedziały się o tym i z miast poszły za Nim pieszo. Gdy wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi i uzdrowił ich chorych. A gdy nastał wieczór, przystąpili do Niego uczniowie i rzekli: „Miejsce to jest puste i pora już spóźniona. Każ więc rozejść się tłumom: niech idą do wsi i zakupią sobie żywności!". Lecz Jezus im odpowiedział: „Nie potrzebują odchodzić; wy dajcie im jeść!" Odpowiedzieli Mu: „Nie mamy tu nic prócz pięciu chlebów i dwóch ryb". On rzekł: „Przynieście Mi je tutaj!". Kazał tłumom usiąść na trawie, następnie wziąwszy pięć chlebów i dwie ryby, spojrzał w niebo, odmówił błogosławieństwo i połamawszy chleby dał je uczniom, uczniowie zaś tłumom. Jedli wszyscy do sytości, i zebrano z tego, co pozostało, dwanaście pełnych koszy ułomków. Tych zaś, którzy jedli, było około pięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci (Mt 14, 13-21).

Prorok Izajasz wzywa: „[...] dalejże, kupujcie bez pieniędzy i bez płacenia..." (Iz 55, 1), nie ma tu jednak mowy o rozdawaniu, ale o kupowaniu. Jeśli bez pieniędzy, to czym się płaci na tym dziwnym rynku? Otóż walutą jest pragnienie. Kiedy podążymy za najgłębszym pragnieniem słowa, okazuje się, że dusza już wydaje się ukontentowana i zaczyna ożywiać wszystko. A co z naszym nędznym osiołkiem – ciałem, czy musi przyzwyczaić się do pustego brzuszka? O tym znajdziemy coś w 14 rozdziale Ewangelii według św. Mateusza. Widzimy tam tłumy ludzi spragnionych słowa. Zwiedziały się i wyszły Jezusowi na spotkanie, a gdy zbliżał się zmierzch, uczniowie

zachowali zdrowy rozsądek i próbowali zareagować, zanim doszłoby do katastrofy. Ba, podali nawet roztropne rozwiązanie. Chrystus jednak przedstawił alternatywne. Szalenie lubię ten opis ze względu na detale. Wezwanie: „Wy dajcie im jeść" brzmi jak zaczepka albo kpina. A jednak. Szybko okazuje się, że pięć chlebków i dwie rybki wystarczą. Chrystus tłumaczy: nie skupiajcie się na tym, czego nie ma, na brakach, ale dostrzeżcie to, co macie. Podobną sytuację przeżyłem osobiście. Nie mieliśmy nic, gdy zakładaliśmy portal 2ryby.pl, a przynajmniej niewiele. Jedynie pomysł i zapał. Pojawili się też ludzie z „kilkoma chlebami". Obecnie nasze filmiki *3,5 minuty o ważnych sprawach* mają miliony wyświetleń. Jak widać, historia się powtarza.

Wzruszające jest to, jak Chrystus każe ludziom rozsiąść się w grupach na zielonej trawie. Tu nie chodzi tylko o napchanie chlebem brzucha, ale też o spotkanie przy posiłku. Jedzenie jest tylko pretekstem do czegoś ważniejszego. No i jeszcze troska o segregowanie śmieci. Jezus nie tylko obnaża swoje proekologiczne oblicze. Słowo kosz w języku hebrajskim pisze się tymi samymi literami, co umiłowany. Wszystko, co odrzucone, co wyplute, ląduje w koszu z napisem umiłowany. Jeśli czujemy się w życiu odrzuceni, wypluci, niepotrzebni, pamiętajmy, że dla Niego będziemy umiłowani.

Co mogę zrobić, by nie załamywać rąk nad tym, czego mi brakuje, ale skupić się na tym, co mam, zaryzykować i podzielić się z innymi?

O TYM, CO PODEPTAŁ KRÓLESTWO ZŁA

Zaraz też przynaglił uczniów, żeby wsiedli do łodzi i wyprzedzili Go na drugi brzeg, zanim odprawi tłumy. Gdy to uczynił, wyszedł sam jeden na górę, aby się modlić. Wieczór zapadł, a On sam tam przebywał. Łódź zaś była już sporo stadiów oddalona od brzegu, miotana falami, bo wiatr był przeciwny. Lecz o czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze. Uczniowie, zobaczywszy Go kroczącego po jeziorze, zlękli się, myśląc, że to zjawa, i ze strachu krzyknęli. Jezus zaraz przemówił do nich: „Odwagi! Ja jestem, nie bójcie się!". Na to odezwał się Piotr: „Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie!". A On rzekł: „Przyjdź!" Piotr wyszedł z łodzi, i krocząc po wodzie, przyszedł do Jezusa. Lecz na widok silnego wiatru uląkł się i gdy zaczął tonąć, krzyknął: „Panie, ratuj mnie!" Jezus natychmiast wyciągnął rękę i chwycił go, mówiąc: „Czemu zwątpiłeś, małej wiary?". Gdy wsiedli do łodzi, wiatr się uciszył. Ci zaś, którzy byli w łodzi, upadli przed Nim, mówiąc: „Prawdziwie jesteś Synem Bożym" (Mt 14, 22-33).

Bóg urządza dla Eliasza prawdziwy spektakl opisany w Pierwszej Księdze Królewskiej (1 Krl 19, 9a.11-13a). Chce pokazać się prorokowi, którego głowa pełna jest zapewne barwnych wyobrażeń i ekspresyjnych obrazów. Zatem Eliasz nastawia się na wielkie przedstawienie, zapierające dech w piersiach widowisko. I być może właśnie to wewnętrzne nastawienie proroka prowokuje Boga do napisania zupełnie innego scenariusza. Najpierw pojawiła się gwałtowna wichura rozwalająca skały jak klocki domina – ale w niej

Boga nie było. Potem trzęsienie ziemi – efektowne, ale też bez Bożego udziału. Podobnie z ogniem, który zjawił się jako następny – prawdziwy, wstrząsający, ale również pozbawiony Jego obecności. Dopiero szmer łagodnego wiatru sprawił, że Eliasz zasłonił twarz, bo wiedział, że oto nadchodzi Pan. I taki jest nasz Bóg – by się nam ukazać, często wybiera coś najbardziej niepozornego, niekończącą się łagodność i cichość powiewu wiatru.

Kiedyś na jednej z górskich wypraw, gdy już robiło się ciemno, kardynał Wojtyła nagle zatrzymał się w górskiej ciszy i stał zamyślony. Wokół nic się nie działo. Jego nieodłączny sekretarz podszedł i szepnął: „Już czas. Trzeba wracać". Na to kardynał zmarszczył brwi, spojrzał na niego i powiedział: „Cicho bądź, On tu był".

Dlaczego zatem w ewangelicznym opisie, gdy Chrystus maszeruje po wzburzonym morzu, uczniowie są przerażeni? Czy chodzi tylko o złamanie praw fizyki i zaskakującą, rzadko spotykaną okoliczność? A może ten marsz po morskiej toni ma jeszcze jakieś inne, głębsze znaczenie? Może jest znakiem?

Istnieje podejrzenie, że do uczniów obserwujących Chrystusa chodzącego po wodzie przemówiły symbole. Dla Żydów przestworza morskie symbolizowały królestwo szatana. Tam mieszkał Lewiatan wspominany w Księdze Hioba i Psalmach. Zatem idący po morzu Pan deptał królestwo szatana i to mogło na Żydach robić wielkie wrażenie. Dla nas ten obraz powinien być równie poruszający. Czasami gloryfikujemy moc szatana i uznajemy, że może z łatwością zawładnąć człowiekiem, wykorzystując do tego

wisiorki czy znaki zodiaku, i taki człowiek staje się wtedy bezradny wobec jego działania. I nie wiadomo, czy przywołany na pomoc Bóg wygra tę walkę, czy raczej ją przegra. Ewangeliczny obraz Chrystusa depczącego królestwo zła jest jednoznaczny i warto mieć go przed oczyma.

W jakich sytuacjach dostrzegłem mało widowiskową obecność Boga w moim życiu?

ZGORSZENIE

Gdy brat twój zgrzeszy, idź i upomnij go w cztery oczy. Jeśli cię usłucha, pozyskasz swego brata. Jeśli zaś nie usłucha, weź z sobą jeszcze jednego albo dwóch, żeby na słowie dwóch albo trzech świadków oparła się cała sprawa. Jeśli i tych nie usłucha, donieś Kościołowi! A jeśli nawet Kościoła nie usłucha, niech ci będzie jak poganin i celnik! Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie (Mt 18, 15-18).

W Ewangelii według św. Mateusza Jezus tłumaczy, jak upominać bliźniego, a to przypomina mi pewne zdarzenie sprzed lat. W czasie, gdy zwykłem kręcić się po duszpasterstwie gotów do rozmowy i spowiedzi, zjawił się chłopak – młodo wyglądający, ale z pewnością w wieku postudenckim. Poprosił o rozmowę. Zapytał wprost: „Czy mógłby mi ksiądz dać bieliznę? Nie musi być nowa". Głównie chodziło mu o majtki i skarpetki. Proszę wyobrazić sobie moje zdumienie. Oczywiście zacząłem troszkę wypytywać, skąd tak niecodzienna prośba. Okazało się, że ten człowiek był na przepustce z więzienia. Pochodził z Krakowa, ale nie chciał wracać na stare śmieci w obawie przed kontaktem z trefnym towarzystwem. Przyjechał do Wrocławia, bo miał tu przyjaciela. Nie zastał go w domu, więc od trzech dni nocował na dworcu. Mył się w dworcowych toaletach. Nie miał rzeczy na zmianę. Zaprowadziłem go do swego mieszkania, dałem ręcznik i wysłałem pod prysznic. Przygotowałem świeżą bieliznę. Później zjedliśmy razem kolację. Zaproponowałem nocleg

w duszpasterstwie, ale ostrzegłem go, że warunki są skromne i będzie tam sam. Zgodził się. Gdy wróciłem rano, wszystkie zamki były zepsute, a duszpasterstwo ograbione. Nasz zaradny gość w nocy zamówił taksówkę i zabrał, co się dało, a taksówkarz przekonany jakąś historyjką pomagał złodziejowi.

Na drugi dzień ogłosiłem, że to koniec naszej wielkiej otwartości. Będziemy zamykali drzwi na klucz, czego do tej pory nie robiliśmy i żadnej litości dla przygodnych popaprańców. Wieczorem przyszedł Maciek i upomniał mnie, że źle robię. Nie ustąpiłem. Nazajutrz wrócił z dwiema innymi studentami: Sabinką i Werką, by mnie powtórnie upomnieć. Wytłumaczyli mi, że uległem zgorszeniu. Jestem gorszy niż byłem, bo jeszcze tydzień temu udzieliłbym pomocy potrzebującemu, a teraz zamieniłem się w dozorcę. Przemyślałem. Ustąpiłem. Oni mieli rację, a na dodatek postępowali dokładnie według zaleceń Chrystusa. Dzięki ich interwencji nauczyłem się, jak praktycznie i odważnie stosować Ewangelię do rozwiązywania trudnych i delikatnych spraw zwykłego, szarego życia. Sam nieraz próbowałem – to działa.

Kiedy ostatnio kogoś upominałem zgodnie ze schematem przedstawionym przez Chrystusa w Ewangelii? Jakie były tego owoce?

SZCZEROŚĆ RODZI SZCZEROŚĆ

Gdy raz modlił się na osobności, a byli z Nim uczniowie, zwrócił się do nich z zapytaniem: „Za kogo uważają Mnie tłumy?". Oni odpowiedzieli: „Za Jana Chrzciciela; inni za Eliasza; jeszcze inni mówią, że któryś z dawnych proroków zmartwychwstał". Zapytał ich: „A wy za kogo Mnie uważacie?". Piotr odpowiedział: „Za Mesjasza Bożego". Wtedy surowo im przykazał i napomniał ich, żeby nikomu o tym nie mówili. I dodał: „Syn Człowieczy musi wiele wycierpieć: będzie odrzucony przez starszyznę, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; będzie zabity, a trzeciego dnia zmartwychwstanie". Potem mówił do wszystkich: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje! Bo kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, ten je zachowa (Łk 9, 18-24).

Pewnie jesteśmy bardzo ciekawi, co ludzie o nas myślą, ale żeby zapytać kogoś tak bez ogródek: „Powiedz, co o mnie myślisz?" – to już wyższa szkoła jazdy. Chrystusa, tak po ludzku, również nurtuje to pytanie, jednak w odróżnieniu od nas On, z podziwu godną szczerością i bezpośredniością, potrafi je postawić wprost. Przykład tego znajdziemy w dziewiątym rozdziale Ewangelii według św. Łukasza. Najpierw Jezus wypytuje swoich uczniów, za kogo inni ludzie Go uważają, co o Nim mówią. Jakby chciał tylko wprowadzić w temat i ośmielić swych przyjaciół. Często posługuje się tego rodzaju pedagogiką, może dlatego, że jest bardzo wrażliwy i empatyczny. Wie, że na trudne pytania lepiej się spokojnie przygotować.

Na przykład wielki spektakl przemienienia na górze Tabor ma pomóc uczniom w przejściu przez trudny czas Jego męki. Choć czasami, trzeba przyznać, wali prosto z mostu, jak choćby mówiąc do Piotra, który nie bardzo chce się pogodzić z perspektywą cierpienia swego Pana, ten twardy tekst: „Zejdź mi z oczu, szatanie". Ale może właśnie na tym polega talent pedagogiczny Jezusa, że wie, kiedy jak postąpić. Najpierw zadaje pytanie przygotowawcze, a zaraz po nim zasadnicze: „A wy, za kogo mnie uważacie?". Wy, moi najbliżsi przyjaciele, co o mnie myślicie? W samym tym pytaniu, w jego prostocie, ukryte jest oczekiwanie ogromnej szczerości. A odwaga, z jaką Chrystus pyta, wskazuje na niesamowicie bliskie więzi z apostołami, na ich zażyłość. I nie wiadomo, który już raz Chrystus wyraża potrzebę wzajemności. Jakby chciał powiedzieć: „Nie jest dla mnie bez znaczenia, co wy o mnie myślicie. To dla mnie niezwykle ważne". On nie tylko robi tak modną w naszych działaniach ewaluację, która mogłaby wykazać, czy Jego przekaz na swój własny temat jest czytelny i jasny, lecz przede wszystkim szuka możliwości zbudowania więzi ze swymi uczniami. Możemy sprawdzić to doświadczalnie. Wystarczy zapytać kogoś: „Co myślisz o mnie?" i jeśli uda się zbudować wokół tego pytania otulinę wystarczającej szczerości, to okaże się, że po takiej rozmowie nastąpi zaciśnięcie więzi przyjaźni. Otworzą się przestrzenie na dalsze, jeszcze bardziej intymne rozmowy. To niezwykle wzruszająca scena z Ewangelii.

Co powstrzymuje mnie przed zapytaniem ludzi wprost, co o mnie myślą?

NAGRODA JEST JEDNA

Albowiem królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy. Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy. Gdy wyszedł około godziny trzeciej, zobaczył innych, stojących na rynku bezczynnie, i rzekł do nich: „Idźcie i wy do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam". Oni poszli. Wyszedłszy ponownie około godziny szóstej i dziewiątej, tak samo uczynił. Gdy wyszedł około godziny jedenastej, spotkał innych stojących i zapytał ich: „Czemu tu stoicie cały dzień bezczynnie?". Odpowiedzieli mu: „Bo nas nikt nie najął". Rzekł im: „Idźcie i wy do winnicy!". A gdy nadszedł wieczór, rzekł właściciel winnicy do swego rządcy: „Zwołaj robotników i wypłać im należność, począwszy od ostatnich aż do pierwszych!". Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze. Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: „Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekoty". Na to odrzekł jednemu z nich: „Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czy nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje i odejdź! Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie. Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?". Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi (Mt 20, 1-16a).

Czyżby nagroda była jedna dla każdego zbawionego? Przeczy to naszym domorosłym wizjom nieba złożonego z różnorodnych apartamentów, których komfort jest wprost proporcjonalny do świętości

życia tego, któremu przypadnie on w udziale. Liczba dobrych uczynków przekłada się bezpośrednio na piękno widoku z okna, a czas modlitewny na metraż niebieskiego mieszkanka. Tymczasem przypowieść o robotnikach, którzy musieli zadowolić się dokładnie tą samą zapłatą, mimo że byli najmowani do pracy o różnych porach dnia, mówi wyraźnie coś innego – nagroda jest jedna. I tyle na ten temat. Niezależnie, czy ktoś cały dzień harował w słonecznym skwarze, czy popracował ledwie godzinę w chłodzie wieczoru – dostanie to samo. Niesprawiedliwość? No cóż, nie jest to przypowieść o sprawiedliwości, a o Królestwie Bożym. A jeśli komuś wydaje się to niesprawiedliwe, to musi sobie jakoś poradzić z poczuciem krzywdy. Chrystus opowiada tę historyjkę, żeby przyjść z pomocą naszym ewentualnym mylnym wyobrażeniom i wyrosłym na nich sprzeciwom. Do wszystkich zdziwionych, ba, nawet sfrustrowanych niesprawiedliwym, ich zdaniem, systemem wynagrodzeń, zwraca się bardzo ciepło i serdecznie: „Przyjacielu", a następnie wyjaśnia, że przecież gospodarz nie robi nikomu krzywdy, a poza tym może uczynić ze swoją własnością, co chce. Jako konkluzja pojawia się jednak dość twarde zdanie: „Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?".

Zatem pierwsza mądrość, która wypływa z tej przypowieści, to właśnie podsumowująca ją myśl: „Bóg jest dobry". A druga to w zasadzie prosta informacja: „Nagroda jest taka sama dla wszystkich". Co nią jest? O tym w przypowieści ani słowa. W mądrych dywagacjach eschatologicznych odpowiedź na to pytanie

zawiera się w jednym słowie – Chrystus. Zatem nagrodą dla każdego z nas będzie bliskie i bezpośrednie życie z Chrystusem. Czasami mogę podsłuchać zakochanych, którzy szepcą sobie: „Chcę z Tobą spędzić całe życie. Już nic nas nie rozdzieli". To właśnie coś takiego z Nim już na zawsze. I jeśli tylko przeformułujemy nasze myślenie, wtedy będziemy tego z serca życzyli każdemu człowiekowi. Przestanie nas też dziwić, że słońce świeci na dobrych i na złych. A co możemy zrobić, by fakt ten nie tylko nas nie dziwił, a wręcz zachwycał? To już osobna kwestia warta przemyślenia.

Jakie uczucia budzi we mnie fakt, że słońce świeci na dobrych i na złych oraz że dla każdego z nas nagroda jest taka sama?

OBFITOŚĆ I NIEDOSTATEK

Pan Zastępów przygotuje dla wszystkich ludów na tej górze ucztę z tłustego mięsa, ucztę z wybornych win, z najpożywniejszego mięsa, z najwyborniejszych win. Zedrze On na tej górze zasłonę, zapuszczoną na twarz wszystkich ludów, i całun, który okrywał wszystkie narody; raz na zawsze zniszczy śmierć. Wtedy Pan Bóg otrze łzy z każdego oblicza, odejmie hańbę od swego ludu na całej ziemi, bo Pan przyrzekł. I powiedzą w owym dniu: Oto nasz Bóg, Ten, któremuśmy zaufali, że nas wybawi; oto Pan, w którym złożyliśmy naszą ufność: cieszmy się i radujmy z Jego zbawienia! Albowiem ręka Pana spocznie na tej górze (Iz 25, 6-10a).

Słowa proroka Izajasza to jeden z tekstów mojego nawrócenia. Dobrze pamiętam, jak czytałem go z wypiekami na twarzy, z latarką pod kołdrą prawie każdej nocy przez dwa lata. Studiowałem geodezję i mieszkałem w zgrzebnym akademiku, w trzyosobowym pokoju z czterema waletami. Spaliśmy, gdzie popadło: na podłodze, pod stołem, po kilku na zsuniętych łóżkach. Dookoła szalała komuna i wygasał stan wojenny. Czasami na nocleg zjawiali się „Major" ze swoją Pomarańczową Alternatywą albo elegancki Korwin-Mikke z muchą w grochy – człowiek jakby z innego świata – a wraz z nimi długie, nocne rozmowy. A prorok co noc powtarzał swe obietnice: „Zedrze On na tej górze zasłonę, zapuszczoną na twarz wszystkich ludów, i całun, który okrywał wszystkie narody; raz na zawsze zniszczy śmierć. Wtedy Pan Bóg otrze łzy z każdego oblicza..." O, jak bardzo chcieliśmy, by tak się stało, i jak bardzo wydawało się to niemożliwe. Dla nas młodych,

wiecznie nienajedzonych chłopaków niebagatelne znaczenie miał też obraz uczty z tłustego mięsa i wybornych win. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że te słowa pochodzą od samego Boga, który może to wszystko sprawić.

I faktycznie, proroctwo się spełniło. Wzrusza mnie to i dziś, kiedy zdaję sobie sprawę, że pocieszenie sprzed wielu wieków trafiło do młodych chłopaków wplątanych we współczesną historię Europy Wschodniej i zadziałało w obu wymiarach: historycznym i osobistym.

Z perspektywy lat, patrząc na tę galopadę od nędzy do obfitości – bo przecież dziś żyjemy w jednym z najbogatszych zakątków świata – bardziej zastanawiają mnie słowa św. Pawła: „Umiem cierpieć biedę, umiem też korzystać z obfitości". Uważam, że biedę znosiliśmy dzielnie, a czy radzimy sobie z obfitością? To trudne pytanie. Myślę, że wtedy było mi łatwiej w trzyosobowym pokoju przenocować kolejnych czterech studenciaków, niż teraz wyjść na spotkanie dużo mniej wymagającym wyzwaniom. Czy to tylko sprawa młodości, czy dynamizm neofity odegrał swoją rolę? Sam nie wiem. A może jednak nie mogę powiedzieć za Pawłem, że „do wszelkich [...] warunków jestem zaprawiony"?

W jakich warunkach mam większe serce: w obfitości czy w niedostatku?

ISTOTNE I DRUGORZĘDNE

Gdy faryzeusze dowiedzieli się, że zamknął usta saduceuszom, zebrali się razem, a jeden z nich, uczony w Prawie, zapytał Go, wystawiając Go na próbę: „Nauczycielu, które przykazanie w Prawie jest największe?". On mu odpowiedział: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy" (Mt 22, 34-40).

Nie będziesz gnębił i nie będziesz uciskał cudzoziemców, bo wy sami byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej. Nie będziesz krzywdził żadnej wdowy i sieroty. Jeślibyś ich skrzywdził i będą Mi się skarżyli, usłyszę ich skargę, zapali się gniew mój, i wygubię was mieczem i żony wasze będą wdowami, a dzieci wasze sierotami. Jeśli pożyczysz pieniądze ubogiemu z mojego ludu, żyjącemu obok ciebie, to nie będziesz postępował wobec niego jak lichwiarz i nie każesz mu płacić odsetek. Jeśli weźmiesz w zastaw płaszcz twego bliźniego, winieneś mu go oddać przed zachodem słońca, bo jest to jedyna jego szata i jedyne okrycie jego ciała podczas snu. I jeśliby się on żalił przede Mną, usłyszę go, bo jestem litościwy (Wj 22, 20-26).

Być może zbyt dużą wagę przywiązujemy do spraw dotyczących oddawania czci Bogu. Potrafimy staczać publiczne batalie, czy komunię świętą przyjmować, klęcząc, czy na stojąco, czy do ręki, czy jedynie do ust. Tak naprawdę kwestie te są zupełnie drugorzędne, o czym świadczy fakt, że na przestrzeni długiej

historii Kościoła były one rozwiązywane na różne sposoby. Tego typu spory szczególnie chętnie toczymy my, Polacy. Niektórzy twierdzą, że powodem są wciąż żywe tradycje naszego Kościoła. Inni uważają zaś, że to brak wykształcenia teologicznego zamyka nam drogę na salony spraw istotnych. A że lubimy dyskutować – pozostają nam tylko kwestie niższej rangi. Dlaczego o tym piszę? Powód znajduję w Ewangelii według św. Mateusza oraz Księdze Wyjścia. Sprawa gestów ma konkretne znaczenie, jednakże w Ewangelii Chrystus pytany o najważniejsze przykazania nie robi drobiazgowych wyliczeń i daleki jest od jakiejkolwiek małostkowości. „Będziesz kochał z całych sił Boga swego, a bliźniego jak siebie samego". Dwa następujące po sobie przykazania. Pierwsze daje siłę do wykonania drugiego, jakby podwójnego, gdyż zakładającego miłość i bliźniego, i siebie. W spełnieniu go ujawnia się natomiast dopełnienie pierwszego. Wydaje się nawet, że pierwsze jest środkiem, a drugie jest celem. Podobnie jak Chrystus nie umarł na krzyżu dla siebie samego, ale by zbawić każdego z nas i przez to oddał chwałę Ojcu.

A jakiś konkret? Szczegóły? Przynosi je wspomniany wcześniej fragment Księgi Wyjścia – Będziesz odnosił się z szacunkiem do tych, którzy przybyli jako obcy do twojego miasta czy wioski, bo sam kiedyś korzystałeś z pomocy obcokrajowców.

Doskonale pamiętam, jak na wyjazdach w czasie studiów otwieraliśmy puszki z margaryną i słynne „Biffy", które przyjechały w darach z Zachodu. To nie był jedynie wyraz solidarności i pamięci o naszym

trudnym losie, ale konkretna pomoc. Może właśnie przez tę sytuację odbieram te słowa, jakby były skierowane szczególnie do nas.

Nie jestem też pewien, czy sprawa pożyczek z oprocentowaniem to tylko zamierzchły problem Żydów.

W jakiej sytuacji w ostatnich miesiącach pomogłem jakiemuś obcokrajowcowi? Kiedy ostatnio pożyczyłem komuś pieniądze zupełnie bezinteresownie?

OCZYSZCZENI W BIAŁYCH SZATACH

I ujrzałem innego anioła, wstępującego od wschodu słońca, mającego pieczęć Boga żywego. Zawołał on donośnym głosem do czterech aniołów, którym dano moc wyrządzić szkodę ziemi i morzu: „Nie wyrządzajcie szkody ziemi ni morzu, ni drzewom, aż opieczętujemy na czołach sługi Boga naszego". I usłyszałem liczbę opieczętowanych: sto czterdzieści cztery tysiące opieczętowanych ze wszystkich pokoleń synów Izraela. Potem ujrzałem: a oto wielki tłum, którego nie mógł nikt policzyć, z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków, stojący przed tronem i przed Barankiem. Odziani są w białe szaty, a w ręku ich palmy. I głosem donośnym tak wołają: „Zbawienie u Boga naszego, Zasiadającego na tronie i u Baranka". A wszyscy aniołowie stanęli wokół tronu i Starców, i czworga Zwierząt, i na oblicza swe padli przed tronem, i pokłon oddali Bogu, mówiąc: „Amen. Błogosławieństwo i chwała, i mądrość, i dziękczynienie, i cześć, i moc, i potęga Bogu naszemu na wieki wieków! Amen". A jeden ze Starców odezwał się do mnie tymi słowami: „Ci przyodziani w białe szaty kim są i skąd przybyli?". I powiedziałem do niego: „Panie, ty wiesz". I rzekł do mnie: „To ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku i opłukali swe szaty, i w krwi Baranka je wybielili (Ap 7, 2-4.9-14). Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył swoje usta i nauczał ich tymi słowami:
„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiądą ziemię. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia

dostąpią. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą. Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni jesteście, gdy [ludzie] wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie" (Mt 5, 1-11).

Rozdział siódmy Apokalipsy św. Jana Apostoła ukazuje monumentalną i podniosłą scenę zwycięstwa. Niezliczone rzesze opieczętowanych i postaci w białych szatach z palmami w ręku. To jedno z proroctw, które dodaje skrzydeł i zaprasza do lotu. Oto nasz Bóg, Pan zbawienia, który oczyszcza i przywraca godność. Do tego można przywołać słowa z Pierwszego Listu św. Jana: „Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi: i rzeczywiście nimi jesteśmy. Świat zaś dlatego nas nie zna, że nie poznał Jego" (1 J 3, 1-3). Jan domaga się, byśmy ujrzeli i zrozumieli, jak wielką miłością Bóg nas ukochał, staliśmy się jego dziećmi. Słyszymy też enigmatyczne wyznanie, że jeszcze nie objawiło się, kim będziemy. Pojawia się tylko pozornie niewinna wzmianka, że będziemy do niego podobni, ale jak to się stanie – o tym ani słowa, to pozostaje tajemnicą.

Z kolei scena z Ewangelii według św. Mateusza zaczyna się od niekonsekwencji. Jezus wychodzi na górę tak, aby tłum go widział. To zrozumiałe. Ale potem siada, co z kolei nie jest już zbyt logiczne, bo znika wszystkim z oczu. Aby słuchający mogli go na powrót zobaczyć, też muszą usiąść, uniżyć się. Być

może Jezus chce wypowiedzieć słowa, które zostaną zrozumiane tylko przez tych, którzy potrafią się uniżyć, zmniejszyć swoje ego, zejść z koturnów. Nie jest to jedyny raz, gdy ktoś w Biblii naucza na siedząco. W tej pozycji nauczał też Mojżesz – prawodawca. Chrystus w ten sposób chce powiedzieć: „Oto macie przed sobą nowego Mojżesza, nowego prawodawcę". Dla Żydów taki język znaków był czytelny.

Na czym ma polegać nowe prawo ustanowione przez Jezusa? Chrystus rozgląda się dookoła i widzi ludzi ubogich i biednych. Patrząc na nich, mówi: „Błogosławieni jesteście", czyli szczęśliwi. Podobnie, gdy kieruje swój wzrok na cichych i spragnionych sprawiedliwości. Miłosiernych i tych o czystym sercu również przekonuje o ich szczęściu. Zachwyca się tymi, którzy wkładają wysiłek we wprowadzanie pokoju i doznającymi uszczerbku w walce o sprawiedliwość. Innymi słowy – widzi wokół siebie tłum ludzi w białych szatach z palmami w ręku. Mówi im o tym, że błogosławieństwo jest między nimi.

Dokładnie to samo mówi nam zgromadzonym wokół Jego świętej Ewangelii. Błogosławieństwo jest w nas. Nieustannie zanurzamy nasze szaty w krwi Baranka, która oczyszcza nas ze wszelkich niepotrzebnych motywacji. Zostajemy opieczętowani.

W której grupie szczęśliwców najlepiej się odnajduję: wśród ubogich, smutnych, cichych, pragnących sprawiedliwości, miłosiernych, tych o czystym sercu, wprowadzających pokój, a może znoszę jakieś prześladowanie dla sprawiedliwości?

JAK TO TAK?

Wtedy podobne będzie królestwo niebieskie do dziesięciu panien, które wzięły swoje lampy i wyszły na spotkanie pana młodego. Pięć z nich było nierozsądnych, a pięć roztropnych. Nierozsądne wzięły lampy, ale nie wzięły z sobą oliwy. Roztropne zaś razem z lampami zabrały również oliwę w naczyniach. Gdy się pan młody opóźniał, zmorzone snem wszystkie zasnęły. Lecz o północy rozległo się wołanie: „Pan młody idzie, wyjdźcie mu na spotkanie!". Wtedy powstały wszystkie owe panny i opatrzyły swe lampy. A nierozsądne rzekły do roztropnych: „Użyczcie nam swej oliwy, bo nasze lampy gasną". Odpowiedziały roztropne: „Mogłoby i nam, i wam nie wystarczyć. Idźcie raczej do sprzedających i kupcie sobie!". Gdy one szły kupić, nadszedł pan młody. Te, które były gotowe, weszły z nim na ucztę weselną, i drzwi zamknięto. W końcu nadchodzą i pozostałe panny, prosząc: „Panie, panie, otwórz nam!". Lecz on odpowiedział: „Zaprawdę, powiadam wam, nie znam was". Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny (Mt 25, 1-13).

Przypowieść o pannach mądrych i głupich to niejedyna parabola Jezusa, którą można umieścić na antypodach wzruszających amerykańskich filmów, gdzie happy end należy do cech gatunku. Panny głupie są głupie od początku do końca, co doprowadza do pełnej katastrofy, po której wyświetlane są już tylko napisy końcowe. Wszystkich przyzwyczajonych do wielkich produkcji filmowych, zwykle podszytych kiczem, bardzo to drażni i budzi niezgodę. Ale czy faktycznie nasze rozdrażnienie jest

natury estetycznej, bo to nieładnie, gdy film tak się kończy? Czy jednak drażni nas – dzieci tych czasów – coś jeszcze? Być może trudna do zniesienia jest dla nas żelazna konsekwencja, nieuchronność jej ponoszenia. Nie biorę czapki na mróz, to odmrażam uszy, palę śmieciami w piecu, to truję siebie i innych, wcinam hamburgery, zatem ważę pół tony... Nie cierpimy tych wszystkich nieuchronności i konsekwencji. Być może pielęgnujemy w sobie podświadomą nadzieję, że Bóg nas przed nimi ustrzeże. Pomoże nam znaleźć jakąś trzecią drogę i wykiwać los, zrobić go w konia z pieśnią na ustach, no bo przecież nie ma cwaniaka nad warszawiaka. A tu – bęc! – cios między oczy. Żadnej trzeciej drogi, żadnych taryf ulgowych, żadnego dryblingu, coby życie choć trochę oszukać. Głupi – głupim, mądry – mądrym. Uff...

Ale drażnić nas może coś jeszcze – bezczelność tych rzekomo mądrych niewiast. Tak mądre kobiety powinny być też dobre. Powinny przecież wspierać, nawet gdyby ta pomoc miała je pociągnąć na dno, na zatracenie, a nie z wyrachowaniem wystawiać i tak już głupie kobiety na spore ryzyko. To już lepiej solidarnie, razem, polec z honorem. A tymczasem dla Chrystusa sztama mądrości z głupotą nie wydaje się atrakcyjnym pomysłem. W jego opowiadaniu wyraźnie widoczny jest dystans między tymi dwiema postawami i jedne panny nie kroczą, trzymając się pod ręce z drugimi. Mądre nie bardzo chcą brać odpowiedzialność ze głupotę tych drugich. Nie prawią im kazań, nie zadzierają nosa, ale też nie próbują się z nimi bratać.

I tak ma wyglądać świat według Jezusa? Oj… A może na głupotę naprawdę nie ma lekarstwa?

Co mnie drażni w przypowieści Jezusa o pannach mądrych i głupich? Co zamierzam zrobić z tym rozdrażnieniem?

PREZES KORPORACJI?

Podobnie też [jest] jak z pewnym człowiekiem, który mając się udać w podróż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden, każdemu według jego zdolności, i odjechał. Zaraz ten, który otrzymał pięć talentów, poszedł, puścił je w obrót i zyskał drugie pięć. Tak samo i ten, który dwa otrzymał; on również zyskał drugie dwa. Ten zaś, który otrzymał jeden, poszedł i rozkopawszy ziemię, ukrył pieniądze swego pana. Po dłuższym czasie powrócił pan owych sług i zaczął rozliczać się z nimi. Wówczas przyszedł ten, który otrzymał pięć talentów. Przyniósł drugie pięć i rzekł: „Panie, przekazałeś mi pięć talentów, oto drugie pięć talentów zyskałem". Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię: wejdź do radości twego pana!". Przyszedł również i ten, który otrzymał dwa talenty, mówiąc: „Panie, przekazałeś mi dwa talenty, oto drugie dwa talenty zyskałem". Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię: wejdź do radości twego pana!". Przyszedł i ten, który otrzymał jeden talent, i rzekł: „Panie, wiedziałem, żeś jest człowiek twardy: chcesz żąć tam, gdzie nie posiałeś, i zbierać tam, gdzieś nie rozsypał. Bojąc się więc, poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi. Oto masz swoją własność!". Odrzekł mu pan jego: „Sługo zły i gnuśny! Wiedziałeś, że chcę żąć tam, gdzie nie posiałem, i zbierać tam, gdziem nie rozsypał. Powinieneś więc był oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrał swoją własność. Dlatego odbierzcie mu ten talent, a dajcie temu, który ma dziesięć talentów. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie.

Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma. A sługę nieużytecznego wyrzućcie na zewnątrz – w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów" (Mt 25, 14-30).

Przypowieść o talentach nie opowiada o niesprawiedliwym obdarowaniu, chociaż każdy z sług dostaje inną sumę pieniędzy. Na tym polega urok tego świata, że mamy inne uzdolnienia i w innej mierze zostaliśmy w nie wyposażeni. Gdyby wszyscy mieli talent Blechacza, to filharmonie zbudowane byłyby z samych scen, a widownie świeciły pustkami. Dobrze zatem, że jest jak jest. Problem, którego dotyka Chrystus, to stosunek do Tego, kto nas obdarował. Wiążą się z tym trzy zasadnicze zagadnienia – po pierwsze, czy czuję się obdarowany, po drugie, kto mnie obdarował, po trzecie, co z tym zrobię. Ten ostatni punkt właściwie wynika z drugiego. Zatem postawmy sobie proste pytanie: „Co myślę o Tym, który mnie obdarował? Jaki obraz Boga noszę w sobie?" Czy jest on prezesem korporacji o nazwie World Development Company, dla którego liczą się globalne zyski, gdzie każdy zatrudniony musi sobie żyły wypruwać, by mieć swój wkład w rozwój firmy, a priorytetem jest niegenerowanie strat, bo za to czekają ogień, dym i siarka? Lepiej zatem nie ryzykować i nie złościć prezesa. Może jakoś się uda. To typ hardy i twardy, ale jak zobaczy, że nie stracił, to jakoś będzie.

Tak właśnie wygląda nastawienie wielu z nas. Najważniejsze – nie grzeszyć. Bez skazy, bez strat, choć bezproduktywnie. Byleby nikt nie mógł nam niczego zarzucić. Postawę tę pracowicie podtrzymują historyjki z pacholęcych lat o diabełkach, które

rozsiadły się tu i ówdzie i z zapałem spisują każdy nasz grzech, robią straszne analizy, zestawienia i wykresy. Zabrakło w tych opowieściach aniołków, które równie pracowicie notowałyby wszystkie nasze dobre czyny i nie pozwoliły żadnej perełce upaść na ziemię. A nade wszystko zabrakło konstatacji, że grzechami interesuje się diabeł i jego giermkowie, a tym, co dobre – Bóg i jego wojsko niebieskie.

Przypowieść zachęca zatem do zainwestowania swych aktywów i puszczenia w obieg zdolności, nie bacząc na wielkość zysku, bo nie chodzi tu o ilość, ale o sensowność.

Jaki jest mój obraz Boga, który obdarował mnie talentami i uzdolnieniami? Jaki jest mój największy talent? Jak go używam dla dobra innych ludzi?

CO MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ?

Wtedy przyszedł Jezus z Galilei nad Jordan do Jana, żeby przyjąć chrzest od niego. Lecz Jan powstrzymywał Go, mówiąc: „To ja potrzebuję chrztu od Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie?". Jezus mu odpowiedział: „Pozwól teraz, bo tak godzi się nam wypełnić wszystko, co sprawiedliwe". Wtedy Mu ustąpił. A gdy Jezus został ochrzczony, natychmiast wyszedł z wody. A oto otworzyły Mu się niebiosa i ujrzał Ducha Bożego zstępującego jak gołębicę i przychodzącego na Niego. A głos z nieba mówił: „Ten jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie" (Mt 3, 13-17).

Żyjemy w głębokim przekonaniu, że Bóg nas słucha. Właśnie dlatego naszą najczęstszą modlitwą jest: „Ciebie prosimy – Wysłuchaj nas Panie". Wnika ona w nasz krwiobieg, staje się chlebem powszednim. Wierzymy, że On nie tylko wysłuchuje, lecz także podejmuje działania dla nas. Może nas oczyścić, zdjąć z nas fatum, uwolnić od złych mocy, nawet od naszego egoizmu, od tego wszystkiego, co stanowi nasz garb – tajemnicze obciążenie, rysę w kodzie DNA wpisaną w nasze człowieczeństwo.

Tymczasem Chrystus wywraca ten naturalny porządek do góry nogami, stawia świat na głowie. On sam ustawia się w kolejce po chrzest. Jan Chrzciciel początkowo się opiera – prędzej sam by go przyjął, niż udzielił Bogu. Zwraca się do Jezusa: „To ja potrzebuję chrztu od Ciebie, a Ty przychodzisz do mnie?". Ale Chrystus uparcie wchodzi do rzeki i nadstawia głowę. A Ojciec, widząc ten upór, w prostych

słowach wyraża swój zachwyt, nazywając Jezusa umiłowanym Synem.

I to jest prawdziwy przewrót kopernikański. Oto Bóg mówi: „Ciebie proszę – wysłuchaj mnie, człowiecze". Dopóki chrześcijaństwo jest przekonaniem o możliwości szeptania Bogu do ucha o swych niedostatkach, z pełną i uzasadnioną pewnością, że nie są to słowa rzucane na wiatr, tak długo jesteśmy w pół drogi. A prawda jest taka, że to ja mogę się na coś przydać Bogu! Eureka! Tak jest! Ja – pyłek na wietrze, ziarnko w klepsydrze świata, ułomny, kulawy, pokraczny – mogę coś dla Boga zrobić. On mnie potrzebuje. Tak jak samochód potrzebuje silnika, drzwi klamki, wędrówka celu, piosenka melodii, a żaglówka żagla, tak Chrystus potrzebuje chrztu od Jana.

Chrześcijaństwo jest jak oddech. Wdech i wydech. Przyjmowanie i dawanie. Szept prośby złożony przed Bogiem i nasze uszy zamienione w słuch, Jego pragnienia wysłuchane, wypełnione. W harmonii, w obopólnym zaufaniu, ja tobie, a ty mnie pomożesz, jak przyjaciele, którzy mogą na siebie liczyć.

Jakiej Bożej prośbie uczyniłem zadość? Co wtedy czułem?

ODWIEDZINY

Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych [ludzi] od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie. Wtedy odezwie się Król do tych po prawej stronie: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mojego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata!
Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść;
byłem spragniony, a daliście Mi pić;
byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie;
byłem nagi, a przyodzialiście Mnie;
byłem chory, a odwiedziliście Mnie;
byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie".
Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?". A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili".
Wtedy odezwie się i do tych po lewej stronie: „Idźcie precz ode Mnie, przeklęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!
Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść;
byłem spragniony, a nie daliście Mi pić;
byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie;
byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie;
byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie".
Wówczas zapytają i ci: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy

chorym albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?". Wtedy odpowie im: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili". I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego" (Mt 25, 31-46).

Żyjemy w świecie, gdzie wszystko jest wymieszane, także dobro ze złem. Czasami rodząca się w nas tęsknota za oddzieleniem jednego od drugiego staje się nie do wytrzymania. Tęsknota ta jest pragnieniem sądu Bożego. A co będzie w nim kluczowe? Ewangelia tłumaczy to bardzo jasno. Chodzi o nasz stosunek do Jezusa, który utożsamia się z potrzebującymi: „[...] byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie". Nawet człowiek odsiadujący słuszny wyrok potrzebuje czułości i ciepła. Takie jest przynajmniej stanowisko Jezusa.

Przez lata odwiedzałem w więzieniu chłopaka, który ze swych dwudziestu sześciu lat życia, sześć spędził w więzieniu. Nie mogę powiedzieć o nim, że to dobry człowiek i przypuszczam, że po wyjściu dalej będzie kąsał, ale wiem, jak bardzo potrzebował on ludzkiego ciepła i zainteresowania. Byłem jedynym, który go odwiedzał, a zdarzyło się, że więzienny strażnik szepnął mi do ucha: „Ksiądz nie wie, do kogo przychodzi". Faktycznie, w końcu nie wytrzymałem, mimo że zdawałem sobie sprawę, iż ten młody człowiek odreagowuje na mnie swoje własne krzywdy. I tym się różnimy od naszego Boga, który nie zrezygnuje do

samego końca. O tym mówi wzruszający tekst z księgi Ezechiela (Ez 34, 11-12.15-17): „Ja sam będę pasł moje owce i Ja sam będę je układał na legowisku [...]. Zagubioną odszukam, zabłąkaną sprowadzę z powrotem, skaleczoną opatrzę, chorą umocnię, a tłustą i mocną będę ochraniał". Nasze problemy rozwiążą się, jeśli pozwolimy Mu się odnaleźć, odszukać, ukochać., a nie zamykać się w bańce samowystarczalności, z uporczywym przekonaniem, że sami sobie poradzimy. Dopuścić, aby ktoś mógł nas odwiedzić w więzieniu naszego przywiązania do takiego czy innego odreagowywania własnych krzywd.

W jaki sposób otwieram się na spotkanie z Jezusem w swym więzieniu niemocy, choroby zamknięcia i zagubienia? Jakich ludzi dopuszczam do tych rejonów swojej ludzkiej biedy?

OJCIEC

Boś Ty naszym Ojcem! Zaiste, nie poznaje nas Abraham, Izrael nas nie uznaje; Tyś, Panie, naszym Ojcem, „Odkupiciel nasz” to Twoje imię odwieczne. Czemuż, o Panie, dozwalasz nam błądzić z dala od Twoich dróg, tak iż serce nasze staje się nieczułe na bojaźń przed Tobą? Odmień się przez wzgląd na Twoje sługi i na pokolenia Twojego dziedzictwa. Staliśmy się od dawna jakby ci, nad którymi Ty nie panujesz i którzy nie noszą Twego imienia. Obyś rozdarł niebiosa i zstąpił – przed Tobą skłębiły się góry, gdy dokonasz dziwów nadspodziewanych. Zstąpiłeś: przed Tobą skłębiły się góry i o których z dawna nie słyszano. Ani ucho nie słyszało, ani oko nie widziało, żeby jakiś bóg poza Tobą czynił tyle dla tego, co w nim pokłada ufność. Wychodzisz naprzeciw tych, co radośnie pełnią sprawiedliwość i pamiętają o Twych drogach. Oto Tyś zawrzał gniewem, bośmy grzeszyli przeciw Tobie od dawna i byliśmy zbuntowani. My wszyscy byliśmy skalani, a wszystkie nasze dobre czyny jak skrwawiona szmata. My wszyscy opadliśmy zwiędli jak liście, a nasze winy poniosły nas jak wicher. Nikt nie wzywał Twojego imienia, nikt się nie zbudził, by się chwycić Ciebie. Bo skryłeś Twoje oblicze przed nami i oddałeś nas w moc naszej winy. A jednak, Panie, Tyś naszym Ojcem. Myśmy gliną, a Ty naszym twórcą. Dziełem rąk Twoich jesteśmy my wszyscy (Iz 63, 16b-17.19b, 64, 2b-7).

Łaska wam i pokój od Boga Ojca naszego, i od Pana Jezusa Chrystusa! Bogu mojemu dziękuję wciąż za was, za łaskę daną wam w Chrystusie Jezusie. W Nim to bowiem zostaliście wzbogaceni we wszystko: we wszelkie słowo i wszelkie poznanie, bo świadectwo Chrystusowe utrwaliło się w was, tak iż nie brakuje wam żadnego daru łaski, gdy

oczekujecie objawienia się Pana naszego Jezusa Chrystusa. On też będzie umacniał was aż do końca, abyście byli bez zarzutu w dzień Pana naszego Jezusa Chrystusa. Wierny jest Bóg, który powołał nas do wspólnoty z Synem swoim Jezusem Chrystusem, Panem naszym (1 Kor 1, 3-9).

Kiedy byłem w Senegalu, wraz ze znajomym miejscowym księdzem pojechaliśmy odwiedzić jego rodzinną wioskę. Wchodząc do zabudowań jego rodziny, składających się z typowych afrykańskich chatek, zauważyliśmy mężczyznę w wieku więcej niż średnim. „To jest mój ojciec" – przedstawił mi go znajomy ksiądz. Przywitałem się tak uprzejmie, jak tylko potrafię. Zamieniliśmy kilka słów i poszliśmy dalej. Spotkaliśmy kolejnego mężczyznę w podobnym wieku i ponownie został mi przedstawiony jako ojciec. Gdy sytuacja powtórzyła się znowu, odciągnąłem mego znajomego na bok i poprosiłem o wyjaśnienia: „Przepraszam, ilu ty masz ojców?". Ten odpowiedział spokojnie: „Pięciu". Zdębiałem. Okazało się, że tam każdy brat ojca jest ojcem i nie jest to tylko grzecznościowa nomenklatura, tak jak u nas „brat cioteczny", ale każdy z nich jest traktowany jak rodzony ojciec. Co więcej, występują plemiona, w których dziecko nie wie, który z ojców jest tym rodzonym i nikomu ta wiedza nie jest potrzebna. No dobrze, ale matkę to już na pewno mają jedną! Otóż nie, gdyż każda żona ojca jest jednocześnie matką (w islamie panuje wielożeństwo). Zatem dzieci wychowują się w sporym stadku ojców i matek. Często zastanawiam się, dlaczego nasze europejskie dzieci tak często płaczą, podczas gdy dzieci w Afryce są dużo spokojniejsze i mniej płaczliwe. Czyżby

właśnie ta stadna struktura społeczna mogła mieć z tym jakiś związek?

Dlaczego o tym piszę? Zarówno pierwsze zdanie fragmentu Księgi Izajasza, jak i Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian, czytane w pierwszą niedzielą adwentu, mówią o Bogu Ojcu. Dla wielu z nas wychowywanych w rodzinie z jednym ojcem i jedną matką ten obraz Boga Ojca obciążony jest stosunkami panującymi między dzieckiem a ojcem wyniesionymi z naszych lat dziecięcych. Bywa, że jest tam sporo pretensji i niezaspokojonych pragnień. Nie wchodzę tu w rozstrzyganie, czy są one słuszne, czy nie, ale subiektywnie obecne i ciążące. Myślę, że dla ludzi dorastających w przytoczonych na wstępie kulturach afrykańskich wiadomość, że Bóg jest ojcem, ma zupełnie inne znaczenie. Ot, jeszcze jeden ojciec więcej. Wszystko.

Bóg jest moim ojcem. Mogę do niego mówić Abba, czyli „tatusiu". Jakie budzi to we mnie emocje i jak wpływa na nie mój stosunek do ziemskiego, rodzonego ojca?

ZADOŚĆUCZYNIENIE

„Pocieszcie, pocieszcie mój lud!" – mówi wasz Bóg. „Przemawiajcie do serca Jeruzalem i wołajcie do niego, że czas jego służby się skończył, że nieprawość jego odpokutowana, bo odebrało z ręki Pana karę w dwójnasób za wszystkie swe grzechy". Głos się rozlega: „Drogę dla Pana przygotujcie na pustyni, wyrównajcie na pustkowiu gościniec naszemu Bogu! Niech się podniosą wszystkie doliny, a wszystkie góry i wzgórza obniżą; równiną niechaj się staną urwiska, a strome zbocza niziną gładką. Wtedy się chwała Pańska objawi, razem ją wszelkie ciało zobaczy, bo usta Pańskie to powiedziały". Wstąpże na wysoką górę, zwiastunko dobrej nowiny w Syjonie! Podnieś mocno twój głos, zwiastunko dobrej nowiny w Jeruzalem! Podnieś głos, nie bój się! Powiedz miastom judzkim: „Oto wasz Bóg!" Oto Pan Bóg przychodzi z mocą i ramię Jego dzierży władzę. Oto Jego nagroda z Nim idzie i przed Nim Jego zapłata. Podobnie jak pasterz pasie On swą trzodę, gromadzi [ją] swoim ramieniem, jagnięta nosi na swej piersi, owce karmiące prowadzi łagodnie (Iz 40, 1-5.9-11).

W Księdze Izajasza ukrywa się najlepsza nowina, przynosząca taką ulgę jak po całym dniu trudnej wędrówki pozostawienie w schronisku, na korytarzu przyciasnych butów i przejście do rozległej sali, gdzie pachnie naleśnikami. A wołanie to brzmi: „nieprawość jego odpokutowana". Czyli owszem, była nieprawość, ale została odpokutowana. Kościół zna ten dukt prowadzący przez gęsto zarośnięty nieprawością świat. Jest to ścieżka wydeptywana przez niezliczone rzesze i pokolenia ludzi wierzących. Na początku tej drogi jest uznanie swojej winy. Proste

przyznanie się: „Tak, zgrzeszyłem. Moje grzechy stoją przede mną". Potem przychodzi założyć przyciasne buty, które poprowadzą na pokutniczy szlak.

W wielu miejscach można natrafić na tereny usiane kamiennymi krzyżami pokutniczymi, które świadczą o odbytej ekspiacji. Istotą pokuty był wysiłek włożony w niesienie krzyża, publiczny znak pokornego przyznania się do winy oraz pragnienie zadośćuczynienia.

Wydaje się, że owa praktyka zadośćuczynienia, także w kontekście spowiedzi, gdzieś nam się zagubiła, wpadła w czarną czeluść zapomnienia. A przecież właśnie ona dostarcza niesamowitej siły i daje światło, które rozprasza nasze wewnętrzne ciemności. Im prościej zrealizowana, tym lepiej. Ukradłem krowę, oddam młodszą, dojniejszą i lepiej wypasioną tak, aby człowiek, którego skrzywdziłem, nie żałował tego, co się stało, a wręcz przeciwnie – cieszył się, że mu się powiodło. Obgadałem kogoś, oczerniłem, stękałem i syczałem na niego, teraz powiem tyle dobrych słów o nim, że pokrzywdzony poczuje satysfakcję i będzie sławił swój los, ciesząc się, że przykrości, które go spotkały, doprowadziły do odnowy jego dobrego imienia.

Św. Paweł podpowiada, że taką drogą odrodzenia śmiało może maszerować każdy z nas, gdyż Bóg: „wszystkich chce doprowadzić do nawrócenia". A gdy na nią wejdziemy, szybko spotkamy Jego pomocną dłoń wyciągniętą ku nam.

W jakiej sytuacji i komu ostatnio zadośćuczyniłem? Co czułem? Jak na to zareagował pokrzywdzony?

WYDARZENIA PRZYGOTOWUJĄCE

Po sześciu dniach Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba i Jana i zaprowadził ich samych osobno na górę wysoką. Tam przemienił się wobec nich. Jego odzienie stało się lśniąco białe tak, jak żaden folusznik na ziemi wybielić nie zdoła. I ukazał się im Eliasz z Mojżeszem, którzy rozmawiali z Jezusem. Wtedy Piotr rzekł do Jezusa: „Rabbi, dobrze, że tu jesteśmy; postawimy trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza". Nie wiedział bowiem, co należy mówić, tak byli przestraszeni. I zjawił się obłok, osłaniający ich, a z obłoku odezwał się głos: „To jest mój Syn umiłowany, Jego słuchajcie!". I zaraz potem, gdy się rozejrzeli, nikogo już nie widzieli przy sobie, tylko samego Jezusa (Mk 9, 2-8).

Bóg czasami oczekuje od nas bardzo dużo, ale jednocześnie odpowiednio nas na tę trudną drogę wyposaża. Abram ewidentnie potrzebował wsparcia. Zatem Bóg każe mu wyjść z namiotu, z ciasnej przestrzeni własnych zmartwień i obaw, aby popatrzył na gwiazdy, na wszechświat i odkrył, że perspektywa jest dużo szersza niż krąg jego namiotu. A później rozpoczyna się niezwykły spektakl. Wśród gęstniejącego mroku, gdy lęk miesza się z sennością, Abram przerąbuje zwierzęta na połowy i walczy ze zlatującym się drapieżnym ptactwem. Zwyczaj zawierania przymierza w bardzo ważnych sprawach, dotyczących choćby własności studni czy miejsca pochówku najbliższych, był Abramowi doskonale znany. Zawierający przymierze przechadzali się między połowami rozrąbanych zwierząt i zaprzysięgali, aby z nimi stało się to samo, gdyby zerwali

zawarty właśnie pakt. Obrazowy, wstrząsający, robiący ogromne wrażenie symbol. I właśnie czegoś takiego potrzebował Abram. Pragnął też ognia jakby z pieca, gdyż wyszedł z Ur Chaldejskiego, a słowo „ur" w języku hebrajskim może znaczyć właśnie „ogień wydobywający się z pieca". W opowiadaniu apokryficznym znajdziemy zadziwiającą opowieść o tym, że ojciec Abrama był wytwórcą glinianych bożków, które wypiekał w piecu (dziś powiedzielibyśmy, że utrzymywał się z wyrobu dewocjonaliów). Gdy Abram odkrył istnienie prawdziwego, żywego Boga, metalowym prętem zniszczył figurki. Za ten czyn został skazany na spalenie w piecu. Ostatecznie jednak uszedł z życiem. I klamra się zamyka. W mroku nocy pojawia się ogień jakby z pieca, a Abram zawiera przymierze z Bogiem.

Uczniowie Jezusa też potrzebują spektaklu, który wyposaży ich w potrzebne siły, pomoże przejść przez trudne wydarzenia. Jezus starannie przygotował go na górze. Zabrał trzech najbliższych na wyprawę. Przemienił się wobec nich. I wydawałoby się, że poniósł kompletną porażkę. Uczniowie niczego nie zrozumieli. Piotr nie wiedział, co powiedzieć, zaczął bredzić o jakimś planie stawiania namiotów. Wszystko jak kulą w płot. A jednak ostatecznie to przejmujące wydarzenie przyniosło owoce. Bo wszystko dojrzewa w swoim czasie.

Jakie wydarzenia, początkowo niezrozumiałe, przygotowały mnie jednak na przejście przez inne trudne chwile?

ANI PANIKA, ANI TRYUMF

Gdy niektórzy mówili o świątyni, że jest przyozdobiona pięknymi kamieniami i darami, powiedział: „Przyjdzie czas, kiedy z tego, na co patrzycie, nie zostanie kamień na kamieniu, który by nie był zwalony". Zapytali Go: „Nauczycielu, kiedy to nastąpi? I jaki będzie znak, gdy się to dziać zacznie?". Jezus odpowiedział: „Strzeżcie się, żeby was nie zwiedziono. Wielu bowiem przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: „Ja jestem" oraz: „Nadszedł czas". Nie chodźcie za nimi! I nie trwóżcie się, gdy posłyszycie o wojnach i przewrotach. To najpierw musi się stać, ale nie zaraz nastąpi koniec". Wtedy mówił do nich: „Powstanie naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu. Będą silne trzęsienia ziemi, a miejscami głód i zaraza; ukażą się straszne zjawiska i wielkie znaki na niebie. Lecz przed tym wszystkim podniosą na was ręce i będą was prześladować. Wydadzą was do synagog i do więzień oraz z powodu mojego imienia wlec was będą do królów i namiestników. Będzie to dla was sposobność do składania świadectwa. Postanówcie sobie w sercu nie obmyślać naprzód swej obrony. Ja bowiem dam wam wymowę i mądrość, której żaden z waszych prześladowców nie będzie się mógł oprzeć ani się sprzeciwić. A wydawać was będą nawet rodzice i bracia, krewni i przyjaciele i niektórych z was o śmierć przyprawią. I z powodu mojego imienia będziecie w nienawiści u wszystkich. Ale włos z głowy wam nie zginie. Przez swoją wytrwałość ocalicie wasze życie" (Łk 21, 5-19).

Mowa Jezusa z 21 rozdziału Ewangelii według św. Łukasza poprzedza bezpośrednio Jego śmierć i zmartwychwstanie, w których wypełniają się wszystkie wypowiedziane słowa. Z tym że tajemnica Syna

Człowieczego jest także tajemnicą każdego człowieka, również tajemnicą naszego życia. To, co się przydarzyło Mistrzowi, będzie też – w jakimś stopniu – udziałem Jego uczniów, jeśli tylko za takich się uważamy.

Pierwsi chrześcijanie z niepokojem pytali, kiedy nadejdzie królestwo Boże. Św. Marek w swojej Ewangelii wyjaśniał im, w jaki sposób go oczekiwać. A chrześcijanom kolejnego pokolenia, do których i my się zaliczamy, św. Łukasz tłumaczy sens dalszego oczekiwania. Otóż właśnie w naszych czasach to oczekiwanie kieruje nas ku prawdziwej nadziei, która nie może zawieść.

Owszem, świat się skończy, bo wszystko, co ma swój początek i koniec. Skończy się również zło, bo nie dla takiego celu Bóg powołał świat do istnienia. Jednakże należy unikać zarówno paniki, jak i nut tryumfalistycznych. Zwycięży wierność Boga i jego prosta miłość do każdego z nas. Upewnia nas w tym zmartwychwstanie Chrystusa. Choć królestwo Boże tu na ziemi będzie zawsze podobne do ziarna, to przynosi owoc. Mimo że jest małe, wrzucone w różne wydarzenia naszego życia, ukryte w nich rozrasta się do widocznych rozmiarów. Dlatego nie należy się zniechęcać. Zbawienie to proces, który został zapoczątkowany i trwa nieprzerwanie. Historia Jezusa nie należy do przeszłości, ale toczy się w teraźniejszości, w naszym życiu, mimo że czasami nie dostrzegamy jej obecności albo nie rozumiemy przebiegu.

Może warto w długie jesienne wieczory zaparzyć sobie dobrą, aromatyczną herbatę, siąść w fotelu, pogrzebać w różnych wydarzeniach ostatnich dni

i odszukać rozsiane po naszym życiu ziarna zbawienia. Przyjrzeć się, jak kiełkują, zapuszczają korzenie, a może nawet już wydają słodkie owoce. Szukać konkretów. Przyłożyć ucho, wsłuchać się w rytm, którym tętni nasze istnienie, i rozpoznać toczące się procesy zbawienia. Westchnąć z ulgą, odkrywając ukryty sens i wyczuwając kierunek, w jakim toczy się nasze życie.

Jak na moje codzienne życie przekłada się świadomość bezpośredniego udziału w wielkiej historii zbawienia, z której Bóg nigdy nie zrezygnuje?

MIEJSCE DLA ŚWIATŁA

Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło. Pomnożyłeś radość, zwiększyłeś wesele. Rozradowali się przed Tobą, jak się radują we żniwa, jak się weselą przy podziale łupu. Bo złamałeś jego ciężkie jarzmo i drążek na jego ramieniu, pręt jego ciemięzcy jak w dniu porażki Madianitów. Albowiem Dziecię nam się narodziło, Syn został nam dany, na Jego barkach spoczęła władza. Nazwano Go imieniem: Przedziwny Doradca, Bóg Mocny, Odwieczny Ojciec, Książę Pokoju. Wielkie będzie Jego panowanie w pokoju bez granic na tronie Dawida i nad Jego królestwem, które On utwierdzi i umocni prawem i sprawiedliwością, odtąd i na wieki. Zazdrosna miłość Pana Zastępów tego dokona (Iz 9, 1-3.5-6).

Gdy wchodzimy w siebie, do najgłębszych pokładów naszego serca, często odnajdujemy tam samotność, mrok i ciemność. Im bardziej się zagłębiamy, tym mrok staje się gęstszy, ciemność czarniejsza, a samotność bardziej wszechobecna. Wydaje nam się to straszne, przerażające... Tymczasem właśnie ta samotność jest przestrzenią dla drugiego człowieka, pustym nakryciem przy wigilijnym stole. Jest oczekiwaniem.

Potrzebujemy odkrywania naszych wewnętrznych ciemności, by mogło w nich zabłysnąć światło. „Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką..."; „Nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło"– to słowa o nas. Tego światła nie znajdziemy w sobie, ono przychodzi z zewnątrz. Dopiero gdy oświecimy historię swego życia Bożym reflektorem,

wydobędziemy z mroku sens wielu wydarzeń. Odkryjemy piękno ukryte w szarej codzienności, a patrząc w przyszłość, ujrzymy kobierce pełne nadziei. Ujrzymy naszą gotowość do bezinteresowności, wrażliwość, zwykłą ludzką dobroć.

W jakich sytuacjach światło płynące z Ewangelii lub modlitwy pomogło mi pokonać moje wewnętrzne ciemności?

PUSTA CYSTERNA

Przywódcy więc powiedzieli do króla: „Niech umrze ten człowiek, bo naprawdę obezwładnia on ręce żołnierzy, którzy pozostali w tym mieście, i ręce całego ludu, gdy mówi do nich podobne słowa. Człowiek ten nie szuka przecież pomyślności dla tego ludu, lecz nieszczęścia". Król Sedecjasz odrzekł: „Oto jest w waszych rękach!". Nie mógł bowiem król nic uczynić przeciw nim. Wzięli więc Jeremiasza i wtrącili go, spuszczając na linach, do cysterny Malkiasza, syna królewskiego, która się znajdowała na dziedzińcu wartowni. W cysternie zaś nie było wody, lecz błoto; zanurzył się więc Jeremiasz w błocie. [Ebedmelek – przyp. red.] wyszedł z domu królewskiego i rzekł do króla: „Panie mój, królu! Źle zrobili ci ludzie, tak postępując z prorokiem Jeremiaszem i wrzucając go do cysterny. Przecież umrze z głodu w tym miejscu, zwłaszcza że nie ma już chleba w mieście". Rozkazał król Kuszycie Ebedmelekowi: „Weź sobie stąd trzech ludzi i wyciągnij proroka Jeremiasza z cysterny, zanim umrze" (Jr 38, 4-6.8-10).

Żeby móc zgromadzić wodę do codziennego użytku, potrzebne są cysterny. Jeśli są wypełnione nią po brzegi, wówczas spełniają swoją funkcję. Puste albo pełne błota to zupełny bezsens. I właśnie w takim miejscu znalazł się gorliwy prorok Jeremiasz, który obezwładniał ręce żołnierzy, gdy głosił im słowo. Bezsilny, wpadł w „paradoksalną" przestrzeń – pustą cysternę.

Każdy, kto na serio przyjmuje słowo Boże i próbuje nim żyć, prędzej czy później spotka się z paradoksami typu: światło i ciemność, życie i śmierć, grzeszność i świętość, posłuszeństwo i wolność, ubóstwo i bogactwo... Integrowanie tych paradoksów to nie jest prosta

sprawa. Czasami przypomina siedzenie w pustej cysternie, co wydaje się zupełnie bez sensu, ale jednak bez tego doświadczenia trudno prowadzić głębsze życie duchowe. O dziwo, często doświadczenie życiowego bezsensu prowokuje też rozwój, poszukiwanie innych dróg, gdy okazuje się, że napotykamy na ścianę. Wszystko wskazuje na to, że chrześcijaństwo polega, między innymi, na umiejętności integrowania paradoksów.

W jakich konkretnych sytuacjach musiałem zintegrować w sobie ewangeliczne paradoksy typu: światłość i ciemność, ubóstwo i bogactwo, posłuszeństwo i wolność, pokój i rozdarcie?

POTĘGOWANIE

A Pan niech pomnoży liczbę waszą i niech spotęguje waszą wzajemną miłość dla wszystkich, jaką i my mamy dla was; aby serca wasze utwierdzone zostały jako nienaganne w świętości wobec Boga, Ojca naszego, na przyjście Pana naszego Jezusa wraz ze wszystkimi Jego świętymi. A na koniec, bracia, prosimy i zaklinamy was w Panu Jezusie: według tego, coście od nas przejęli w sprawie sposobu postępowania i podobania się Bogu – jak już postępujecie – stawajcie się coraz doskonalszymi! Wiecie przecież, jakie nakazy daliśmy wam przez Pana Jezusa (1 Tes 3, 12-4, 2).

Św. Paweł obiema rękami podpisuje się pod nieco wyświechtanym hasłem: kochajmy się. Co więcej, wzywa do miłości, wypowiadając akt strzelisty: „Pan [...] niech spotęguje miłość waszą nawzajem do siebie [...]".

Co znaczy miłować się wzajemnie? To niezwykle ważne pytanie. Właśnie ten specyficzny rodzaj miłości ma wyróżniać chrześcijan. W tej dziedzinie powinniśmy być ekspertami, i trzeba przyznać, nierzadko jesteśmy. Często staję z „rozdziawioną z podziwu gębą", przyglądając się, jak niektórzy chrześcijanie okazują ten rodzaj miłości.

Podobno najtrudniej coś genialnego dostrzec we własnej rodzinie. Jest w tym sporo prawdy. Postępowanie mojej babci zrozumiałem po wielu latach. Mimo swego podeszłego wieku zawsze była dziarska i w świetnej kondycji. Jednak ranki przeżywała trudno, szczególnie te, gdy zbierała się do kościoła. Wtedy powłóczyła nogami „szur, szur" i z trudem stawiała kroki. Pochylała się, stawała się

niepewna. Dawała wszystkim do zrozumienia, że bez wsparcia nie da rady dość na mszę. Prosiła zatem o pomoc swoje koleżanki. Były to zawsze najbiedniejsze kobiety w okolicy. W drodze powrotnej zapraszała je na smaczne śniadanie. Gawędziły sobie nieco, a na pożegnanie każda dostawała drożdżówki. Jestem przekonany, że te kobiety wracały do domu zadowolone i podniesione na duchu, bo mimo swej biedy mogły jeszcze komuś pomóc. Zaś dla mojej babci był to sposób dożywiania ubogich koleżanek, ale tak zorganizowany, by, jak pisze św. Paweł, Bóg mógł spotęgować wzajemną miłość.

W jakich konkretnych sytuacjach udało mi się kochać miłością wzajemną? Kto ostatnio zaskoczył mnie swym sposobem okazywania miłości?

SZANSE

W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w [pokoleniu] Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę. Wydała ona okrzyk i powiedziała: „Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona. A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana" (Łk 1, 39-45).

Maryja wchodzi do domu Elżbiety i słyszy: „A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie?". Ważne wydarzenia, jak wyprawa młodej kobiety w góry, by pomóc spodziewającej się dziecka starej krewnej, wpisane są w zwyczajny ludzki los. Wielkość chwili miesza się z szarą codziennością. Maryja nie skupia się na własnej niesamowitej historii, ale otwiera drzwi domu swej krewnej, by wejść tam z praktycznym wsparciem i „babską" solidarnością. Prowadzi ją mądra wyobraźnia, która pozwala zrozumieć, jak może wyglądać ciąża kobiety w podeszłym już wieku. Potrzebna będzie opieka i pomoc.

Jeśli chcemy podążać tymi śladami warto pamiętać, że aby pójść w ślady Maryi w różnych spektakularnych momentach, potrzebujemy całorocznego treningu, czyli wielu sytuacji, w których udzielamy schronienia słabszym i pogubionym, potrzebujemy poświęcenia naszego cennego czasu – ze

współczuciem i bez wahania – na rozmowę z tymi, którzy są osamotnieni. Wszystkie te sytuacje są jak górska droga Maryi idącej do krewniaczki, by stanąć u jej drzwi, musiała pokonać dzielący je dystans. Tak samo w szarej codzienności – wysiłek, jaki wkładamy w spotkania i pomoc słabszym, może otworzyć drzwi naszego domu i sprawić, by miejsce przy stole mógł zająć ktoś nieznany, a może i znany, ale zapomniany, pominięty, a czasem nawet niewygodny.

W jaki sposób na co dzień poprzez drobne gesty ćwiczę i wychowuję się do bardziej spektakularnych akcji pomocowych?

WIEM, ŻE NIE WIEM

Gdy Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: „Gdzie jest nowo narodzony Król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem Jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu pokłon" (Mt 2, 1-2).

Mędrzec zawsze wie, jakie pytanie postawić. Wie też, komu je zadać. A nade wszystko wie, że nie wie. To jest właśnie szczyt mądrości. Spokojne przyjmowanie swojej niewiedzy stanowi wielką życiową siłę. Zdawał sobie z tego sprawę już Sokrates – geniusz przełomu V i VI wieku przed Jezusem. Mimo że wiedzę uważał za największą i najcenniejszą cnotę, powtarzał: „Wiem, że nic nie wiem". Ale co począć ze świadomością własnej niewiedzy?

Jeszcze do niedawna, gdy błąkaliśmy się po nieznanych miastach bez GPS-u, z wielką uwagą przyglądaliśmy się przechodniom, by wybrać tego, który mógł nam pomóc i wskazać drogę. Zdarzało się, że zapytany od razu przyznawał się do swojej niewiedzy, innym razem po pierwszych zdaniach wiedzieliśmy, że za dużo nie zyskamy, a czasami wypowiadane z pewnością słowa, które braliśmy za dobrą monetę, wyprowadzały nas w pole.

Komu zaufać na drodze rozwoju duchowego? Zwykła roztropność nakazuje unikać zmieniających się mód i trendów, które w przestrzeni życia duchowego też mają swoje miejsce i potrafią nieoczekiwanie zapełnić nawet całe stadiony.

Zatem może należy odwołać się do klasyki duchowości – ojców Kościoła, do początków chrześcijaństwa

(choć nieco problematyczny jest inny kontekst kulturowy)? Nasze czasy też mają swoich klasyków, którzy mogą dać odpór sensacyjnie opakowanym nowościom jeżącym się na niektórych katolickich portalach. Nie mówię tu o jakichś teoretykach – przypisuje się im raczej miano świadków. Warto na przykład odkurzyć niezwykłą historię życia ks. Jana Ziei – człowieka o twarzy prawdziwego proroka czy ks. Bronisława Bozowskiego – przyjaciela aktorów, milicjantów i chuliganów.

Pozostaje jeszcze trafny dobór pytań, jakie należy im postawić, bo przecież najważniejsze to nie tylko wiedzieć kogo, ale także o co zapytać. Czy zatem zapytać ich o świętość, o drogę do świętości, o trwanie w stanie łaski uświęcającej czy o najskuteczniejsze modlitwy? A może postawić pytanie trochę już zszarzałe, ale nadal pełne mocy: „Jak żyć prosto i w zgodzie z innymi". Przecież są w tym specjalistami.

Jak wybieram ludzi, którzy pomagają mi znaleźć odpowiedzi na istotne pytania?

W CODZIENNOŚCI GO SPOTKACIE

Niech w święto radosne Paschalnej Ofiary
składają jej wierni uwielbień swych dary.
Odkupił swe owce Baranek bez skazy,
pojednał nas z Ojcem i zmył grzechów zmazy.

Śmierć zwarła się z życiem i w boju, o dziwy,
choć poległ Wódz życia, króluje dziś żywy.
Mario, Ty powiedz, coś w drodze widziała?
Jam Zmartwychwstałego blask chwały ujrzała.

Żywego już Pana widziałam grób pusty
i świadków anielskich, i odzież, i chusty.
Zmartwychwstał już Chrystus, Pan mój i nadzieja,
a miejscem spotkania będzie Galilea.

Wiemy, żeś zmartwychwstał, że ten cud prawdziwy,
o Królu Zwycięzco, bądź nam miłościwy.

Co roku, gdy śpiewam Sekwencję Wielkanocną, czuję to samo bicie serca, uniesienie w pierwszej chwili paradoksalnie połączone z niezwykle cichą, jakby nieśmiałą radością, która z każdym wersetem nabiera siły, aż w końcu staje się zuchwała, granicząca z szaleństwem. Dlaczego tak się dzieje? Nie do końca rozumiem, ale może powód jest niezwykle prosty: sekwencja mówi o tym, co już się dokonało, o zakończonej bitwie. Kurz opadł, noc bezpowrotnie minęła, wschodzi słońce, a na polu bitwy, jak się okazuje, nie ma trupów, tylko kwitnące łąki, słońce i zapach świeżej trawy. „Śmierć zwarła się z życiem i w boju, o dziwy, choć poległ Wódz życia, króluje dziś żywy". Dalej

pojawia się wezwanie skierowane do oszołomionej Marii, aby czym prędzej wyśpiewała nam to wszystko, co widziała na własne oczy. Ta pieśń ma niesamowity rytm, tak oczywisty jak jej treść. Wydaje się, że nic nie może przysłonić radości i doniosłości tych słów. Niech więc sączą się do serca, niech przekonują o zwycięstwie nadziei, która zawieść nie może.

Jak głosi pieśń, miejscem spotkania ze Zmartwychwstałym ma być Galilea. Za czasów Chrystusa, tak samo jak dziś, toczyło się tam szare życie – zwykła, turkocząca codzienność. I właśnie w tej codzienności mamy odnaleźć obecność Zmartwychwstałego. Owszem, potrzebujemy świętowania, abyśmy mogli odpocząć, czyli wrócić do początku, do poczęcia, tam, gdzie wszystko się zaczyna, gdzie możemy odnaleźć sens naszej codzienności walki, naszego zmagania się, naszej pracy. To jest najgłębsze rozumienie słowa „odpoczynek". Zacząć od początku, od odnalezienia sensu[1]. Świętowanie ma swą doniosłość i wagę, ale jest ono incydentalne, najwięcej dni to właśnie szara rzeczywistość. Apostołowie poruszeni zmartwychwstaniem wracają do swojego życia odmienieni. Odkryli jego nowy sens i dlatego ich codzienność staje się miejscem spotkania z Chrystusem.

Jak w czasie odosobnienia dbam o odpoczynek, który prowadziłby mnie do początku, do odnalezienia sensu?

---

[1] Jak zauważał w wielu swych wypowiedziach ks. Krzysztof Grzywocz.

POCIESZENIE – AKTY CZYSTEGO DOBRA

„Pocieszcie, pocieszcie mój lud!" – mówi wasz Bóg. „Przemawiajcie do serca Jeruzalem i wołajcie do niego, że czas jego służby się skończył, że nieprawość jego odpokutowana, bo odebrało z ręki Pana karę w dwójnasób za wszystkie swe grzechy". Głos się rozlega: „Drogę dla Pana przygotujcie na pustyni, wyrównajcie na pustkowiu gościniec naszemu Bogu! Niech się podniosą wszystkie doliny, a wszystkie góry i wzgórza obniżą; równiną niechaj się staną urwiska, a strome zbocza niziną gładką. Wtedy się chwała Pańska objawi, razem ją wszelkie ciało zobaczy, bo usta Pańskie to powiedziały". Wstąpże na wysoką górę, zwiastunko dobrej nowiny w Syjonie! Podnieś mocno twój głos, zwiastunko dobrej nowiny w Jeruzalem! Podnieś głos, nie bój się! Powiedz miastom judzkim: „Oto wasz Bóg!". Oto Pan Bóg przychodzi z mocą i ramię Jego dzierży władzę. Oto Jego nagroda z Nim idzie i przed Nim Jego zapłata. Podobnie jak pasterz pasie On swą trzodę, gromadzi [ją] swoim ramieniem, jagnięta nosi na swej piersi, owce karmiące prowadzi łagodnie (Iz 40, 1-5.9-11).

Przyjście Chrystusa, czyli cała historia wcielenia, śmierci krzyżowej i zmartwychwstania zapowiadane jest przez proroka Izajasza jako wielkie pocieszenie – „Pocieszcie, pocieszcie mój lud". Chrystus nie pojawia się między nami jako oskarżyciel, ale jako wybawca i obrońca. Oskarżycielem jest szatan. On nieustannie przekonuje wszystkich, że świat nie ma sensu, zmierza donikąd, a nasze życie to równia pochyła, którą zjeżdżamy na zatracenie i nie

istnieje dla nas żaden ratunek. Katastrofa już się zaczęła, zmierzamy do destrukcji. Chrystus zaś całym swoim życiem i ofiarą z niego pokazuje, że jesteśmy w oczach Boga niezwykle cenni, wartościowi i będziemy ocaleni, a w zasadzie to ocalenie już się dzieje i jest naszym udziałem. I choćby cały świat zwariował, budował krematoria obsługujące komory gazowe czy realizował jeszcze gorsze pomysły, to zawsze na dnie popiołów pojawi się diament i ludzie, w których zwycięży czyste dobro – przedsmak tego wiekuistego. Czyste dobro nie krzyczy, nie podnosi głosu, ale spokojnie świeci w ciemności i rozjaśnia mroki naszej egzystencji. Ono daje prawdziwe pocieszenie, nadzieję i umocnienie.

Jak wejść na drogę pocieszenia? Jak oddać swoje życie na jego służbę? Wydaje się, że u początku wystarczy prosta kontemplacja Osoby Chrystusa. Przyglądanie się Jego pokornej postawie, jak wtedy, gdy ustawia się w kolejce po chrzest między grzesznikami. Nie unika ich, ale jest z nimi w braterskiej solidarności. Dzięki fascynacji Osobą Chrystusa, która dzień za dniem przenika do całej naszej ludzkiej osoby, my – zwykli ludzie ze wszystkimi słabościami i skłonnościami do złego – potrafimy zdobyć się na akty czystego dobra i poprzez proste gesty i konkretne działanie jesteśmy pocieszeniem dla tych, którzy są blisko nas. Wówczas mroki zamieniają się w prawdziwą światłość i w jasny dzień, a Ewangelia staje się naszym udziałem. Wszystko nabiera sensu. A o tym, że akt czystego dobra jest w zasięgu ręki, przekonuje nas także Jan Paweł II w encyklice *Veritatis splendor*,

mówiąc, że istnieje możliwość doskonałego spełnienia dobra. I to jest realne zwycięstwo.

W jakich sytuacjach doświadczyłem czystego dobra ze strony innych ludzi? Kiedy ostatnio, kierując się Ewangelią, byłem dla kogoś autentycznie dobry?

O NIESTOSOWNOŚCI CUDU

Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: „Nie mają już wina". Jezus Jej odpowiedział: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?". Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie". Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary. Rzekł do nich Jezus: „Napełnijcie stągwie wodą!". I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: „Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu!". Oni zaś zanieśli. A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem – nie wiedział bowiem, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: „Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory". Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie (J 2, 1-11).

Cud w Kanie Galilejskiej może przyprawić niektórych o zawrót głowy, ale z pewnością pomaga zrozumieć, że Bóg jest zupełnie inny od naszych najśmielszych wizji i oczekiwań. Wesele w Kanie przygotowuje nas na to, że będziemy nieustannie zaskakiwani. Podarowanie weselnikom ponad sześciuset litrów wina, nawet przy założeniach, że zabawa dopiero się rozkręcała, to jednak krok dosyć śmiały, szczególnie jak na początek znaków. Reakcji Jana Chrzciciela lepiej sobie nie wyobrażać. Powiedzieć,

że mógł być zbity z tropu, to jakby nic nie powiedzieć. A gdyby to zestawić z problematyką głodu i uzależnień, to już powoli dociera do nas niezręczność całej sytuacji. Dlaczego dawać wino i radość, zamiast głosić wstrzemięźliwość i zaangażowanie na rzecz najuboższych? A może, jak zauważył Silvano Fausti, Jezus zamienił wodę w wino, wiedząc, że jego pobożni wyznawcy będą w przyszłości notorycznie rozwadniać wino Ewangelii wodą prawa?

Gdy próbujemy wejść w głąb siebie, do swojego serca często odkrywamy tam ciemność i pustkę – te same, które rozpościerały się w pustych kamiennych stągwiach. Wypełnienie ich wyłącznie wodą, czyli zagospodarowanie serca naturalnymi więziami, ma jakiś sens, ale nie sprawia, że cierpienie mija. Brat Roger z Taizé uważał, że w każdym z nas jest cząstka, której nie może wypełnić żadna, nawet najgłębsza ludzka zażyłość. I właśnie tę wodę Jezus zamienia w wino, wypełniając nas radością i miłością, którą natychmiast możemy podzielić się z innymi, A każdy, kto skosztuje tego „napoju", przyzna, że jest najlepszego gatunku. Ludzie przyłączali się do pierwszych chrześcijan nie dlatego, że ci mieli niezwykle spójny system filozoficzno-moralny, receptę na bieżące problemy lub świetną strukturę społeczną. Oni po prostu widzieli ułomnych śmiertelników wypełnionych winem miłości. Dlatego też po zesłaniu Ducha Świętego podejrzewano uczniów o nadużycie alkoholu. Taki to początek znaków miał miejsce w Kanie Galilejskiej.

W jakich sytuacjach życiowych odczuwałem konflikt między prawem a postawą miłości? Jakie rozwiązanie przyjąłem? Dlaczego?

GDY BIBLIA PRZEMÓWI, BĘDZIESZ GÓRY PRZENOSIĆ

Potem powrócił Jezus w mocy Ducha do Galilei, a wieść o Nim rozeszła się po całej okolicy. On zaś nauczał w ich synagogach, wysławiany przez wszystkich. Przyszedł również do Nazaretu, gdzie się wychował. W dzień szabatu udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać. Podano Mu księgę proroka Izajasza. Rozwinąwszy księgę, natrafił na miejsce, gdzie było napisane:
Duch Pański spoczywa na Mnie,
ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie,
abym ubogim niósł dobrą nowinę,
więźniom głosił wolność,
a niewidomym przejrzenie;
abym uciśnionych odsyłał wolnymi,
abym obwoływał rok łaski od Pana.
Zwinąwszy księgę, oddał słudze i usiadł; a oczy wszystkich w synagodze były w Nim utkwione. Począł więc mówić do nich: „Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli" (Łk 4, 14-21).

W tym fragmencie widzimy wyprawę w dzieciństwo, w młodość, do miasta rodzinnego. Zanim publiczna działalność zacznie się już na dobre, Chrystus robi mały skok w przeszłość. Odwiedza znaną mu synagogę i bierze udział w obrzędach. Wstaje, podają mu księgę Izajasza. Odszukuje fragment i czyta. Oddaje zwój, ale oczy wszystkich są w nim utkwione, panuje przekonanie, że powinien zabrać głos. On, komentując odczytany fragment, zauważa, że właśnie przeczytał o sobie: „Dziś

spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli". Pismo Święte nie tylko przemówiło, ale właśnie jego słowa spełniają się w życiu Jezusa. Zebrani są zachwyceni.

To jest właśnie największy fenomen Biblii. Przerzucamy strony, wybieramy przygodne zdania i nagle odkrywamy, że mówią o nas. Tak, właśnie o nas. Czasami jesteśmy wzruszeni do łez, czasami uradowani, ale bywa też, że czujemy się wystraszeni lub buntujemy się. Zawsze jednak towarzyszy temu niezwykłe zdumienie, że przemawia do nas tak trafnie, głęboko i mimo że wprost to jednak delikatnie.

Możemy pisać bardzo mądre komentarze do czytań biblijnych, możemy wyciągać wnioski praktyczne i odnosić święte słowa do najbardziej zagmatwanych problemów współczesności, ale dopiero gdy odkryjemy, że Pismo Święte mówi o nas, że natrafiliśmy na ten fragment, który właśnie się spełnia i łączy z naszym losem, Święta Księga zaczyna być już nie tylko interesująca, ale prawdziwa i żywa, a wszyscy dookoła nie mogą wyjść z podziwu.

Nawróciłem się na pierwszym roku geodezji. Jako neofita biegałem na tak zwane „godziny biblijne". Spotykaliśmy się wieczorami w grupie studentów z różnych uczelni w podziemiach jednego z kościołów, by czytać Biblię, a dokładniej Księgę Izajasza. A czytaliśmy ją z wypiekami na twarzy i wielką ekscytacją, bo święte teksty ożywały, jakby nie księga mówiła, ale Ktoś jej słowami wyjaśniał nam nasze życie, pomagał odnaleźć sens młodości przygwożdżonej ciężarem stanu wojennego. Dostawaliśmy nie tylko autentyczne pocieszenie, ale również nową perspektywę, konkretne zadania do wykonania

i niezbędną siłę, by im sprostać. A nasi rówieśnicy bardzo się dziwili, skąd w nas ten entuzjazm, odwaga i waleczność. Byliśmy gotowi góry przenosić.

Kiedy ostatnio, czytając Biblię, miałem przeświadczenie, że dany fragment mówi o mnie? Jaki pożytek z tego mieli moi bliscy?

ZOBACZYLI JEGO PLECY

Począł więc mówić do nich: „Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli". A wszyscy przyświadczali Mu i dziwili się pełnym wdzięku słowom, które płynęły z ust Jego. I mówili: „Czy nie jest to syn Józefa?". Wtedy rzekł do nich: „Z pewnością powiecie Mi to przysłowie: Lekarzu, ulecz samego siebie; dokonajże i tu w swojej ojczyźnie tego, co wydarzyło się, jak słyszeliśmy, w Kafarnaum". I dodał: „Zaprawdę, powiadam wam: żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie. Naprawdę, mówię wam: Wiele wdów było w Izraelu za czasów Eliasza, kiedy niebo pozostawało zamknięte przez trzy lata i sześć miesięcy, tak że wielki głód panował w całym kraju; a Eliasz do żadnej z nich nie został posłany, tylko do owej wdowy w Sarepcie Sydońskiej. I wielu trędowatych było w Izraelu za proroka Elizeusza, a żaden z nich nie został oczyszczony, tylko Syryjczyk Naaman". Na te słowa wszyscy w synagodze unieśli się gniewem. Porwali Go z miejsca, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na stok góry, na której ich miasto było zbudowane, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy pośród nich, oddalił się (Łk 4, 21-30).

W czwartym rozdziale Ewangelii św. Łukasz ukazuje jeden z najbardziej wstrząsających opisów: Jezus przechodzący między swymi najbliższymi rodakami i oddalający się od nich. Tłum stojący nieruchomo z zaciśniętymi ustami, groźnym spojrzeniem wąskich oczu patrzący na Jego oddalające się plecy. Gdy

sobie to wyobrażam, mam ciarki na plecach i szepczę pod nosem: „Oby mnie to nigdy nie spotkało. Obym nigdy nie patrzył na plecy oddalającego się Jezusa".

Ale jak do tego doszło? Ludzi doświadczonych życiowo, którzy z niejednego pieca chleb jedli, z pewnością nie dziwią uwielbienie i podziw przechodzące w gwałtowną agresję. To jest możliwe zwłaszcza w większych zbiorowościach. Jeśli tylko coś się tłumowi nie spodoba albo nie dostanie tego, czego żąda, słońce uwielbienia zostanie zakryte przez gradowe chmury i burza gotowa. Dlaczego nie dostali znaku? Znali już Jezusa z opowieści. Wiedzieli, że czyni cuda. Dlaczego wśród swoich nie chce żadnego zdziałać? W czym miasto dzieciństwa jest gorsze od innych? W czym oni są gorsi? Dlaczego Jezus ich lekceważy? Jeśli sprawy tak się mają, że uważa się za kogoś niezwykłego, ale wśród swoich niczego nie chce dokonać, zasługuje na najwyższe potępienie.

W czym problem? Dlaczego Jezus odmawia? Czyżby powodem było jednoznaczne i agresywne żądanie tłumu: „Dokonaj także tutaj, w swojej ojczyźnie, tych rzeczy!". Żądanie widzialnych znaków, pragnienie poznania w sposób doświadczalny i namacalny uniemożliwiają odpowiedź płynącą z wiary, która jest posłuszeństwem Bogu. Nasze ziemskie poznanie polega na odkrywaniu zasad i reguł rządzących tym światem, aby go oswoić i nad nim zapanować. Tymczasem wiara nie służy temu, by poznać i oswoić Boga. Istotą Boga jest dar, a jego nie można się domagać, bo to ogranicza dobrowolność Tego, który chce nas obdarować.

I tak oto Jezus jest napełniony Duchem Świętym, a jego rodacy napełnieni są gniewem. Jak zatem niczego nie żądać, nie stawiać Boga pod ścianą, ale zaufać? Trzeba pamiętać, że na dar się czeka i samo to oczekiwanie, pokorne i ciche, stwarza przestrzeń, w której Bóg może nas obdarować tak, jak sam chce.

Jak wygląda moja modlitwa: jakie miejsce odgrywa w niej lista żądań – może opakowanych w pokorną prośbę – które Bóg powinien spełnić? Co zamierzam z tym zrobić?

MASZ SIĘ BAĆ!

Więc się ich nie bójcie! Nie ma bowiem nic zakrytego, co by nie miało być wyjawione, ani nic tajemnego, o czym by się nie miano dowiedzieć. Co mówię wam w ciemności, powtarzajcie na świetle, a co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach! Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle. Czyż nie sprzedają dwóch wróbli za asa? A przecież żaden z nich bez woli Ojca waszego nie spadnie na ziemię. U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone. Dlatego nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli. Do każdego więc, który się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie. Lecz kto się Mnie zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie (Mt 10, 26-33).

W naszych uszach, przywykłych do strywializowanych opinii rozlewających się po bezkresnych toniach Internetu, że strach i obawa są „be", zachęta Jezusa, by się bać, może być równie nieprzyjemnym dźwiękiem jak przesunięcie styropianem po szybie. Zgrzyt, aż boli. Strach należy eliminować, strachu należy unikać, strach jest nieprzydatny, ba, niepotrzebny i wrogi. Życie bez strachu, pozwala na bieg od sukcesu do sukcesu – takie frazesy zapychają swym banałem niejeden portal. A ludzkość łyka to jak młody rekin plankton. Skutek – niestrawność.

Uwaga pierwsza: czym innym jest strach, czyli sytuacja, w której wiem, czego się boję, a czym innym

lęk będący obawą o niesprecyzowanym źródle. Boję się, ale nie wiem czego. Takie doznanie może być paraliżujące i wtedy wymaga terapii. Jeśli podjęty wysiłek pozwoli na przejście od lęku do strachu, w zasadzie sytuacja jest do opanowania. Dajmy na to: wchodzę do ciemnego pomieszczenia i nie wiem, czego się boję, ale się boję. Nic dziwnego, że jestem sparaliżowany i nie mogę zrobić kroku. Ale jeśli w tej samej sytuacji zdaję sobie sprawę, że za drzwiami stoi złodziej z nożem w ręku, to zupełnie coś innego. Mogę podjąć szereg działań, które pomogą mi uniknąć nieprzyjemnego spotkania, a nawet postawią nieproszonego gościa w niekomfortowej sytuacji. I okazuje się, że strach staje się moim sprzymierzeńcem. Gdyby nie on, beztrosko nadepnąłbym na minę albo zgubiłaby mnie brawura. Strach może mnie uratować.

Uwaga druga i ostatnia – bym mógł zrobić należyty pożytek ze strachu, muszę wiedzieć, czego powinienem się bać. Im precyzyjniej to określę, tym większe korzyści. O tym, czego się bać nie trzeba, a czego bać się należy, Chrystus mówi w dziesiątym rozdziale Ewangelii według św. Mateusza. Całe zagadnienie ustawia On w szerokiej perspektywie, a nawet rzekłbym, najszerszej. I gołym okiem widać, że Jego uwagi są nam niezbędnie potrzebne, gdyż często w naszym rozumieniu wszystko to stoi na głowie. Tam, gdzie nie ma się czego bać, my drżymy ze strachu, a tam, gdzie obawy powinny być największe, nasza beztroska jest przerażająca. Jezus mówi: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz

duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle". Często boimy się śmierci, jednocześnie nie zwracając najmniejszej uwagi na kondycję, w jakiej nas ona zastanie.

Czego tak naprawdę boję się w życiu?

OPOWIADANIE Z PODTEKSTEM

Pewnego razu – gdy tłum cisnął się do Niego aby słuchać słowa Bożego, a On stał nad jeziorem Genezaret – zobaczył dwie łodzie stojące przy brzegu; rybacy zaś wyszli z nich i płukali sieci. Wszedłszy do jednej łodzi, która należała do Szymona, poprosił go, żeby nieco odbił od brzegu. Potem usiadł i z łodzi nauczał tłumy. Gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: „Wypłyń na głębię i zarzućcie sieci na połów!". A Szymon odpowiedział: „Mistrzu, całą noc pracowaliśmy i niceśmy nie ułowili. Lecz na Twoje słowo zarzucę sieci". Skoro to uczynili, zagarnęli tak wielkie mnóstwo ryb, że sieci ich zaczynały się rwać. Skinęli więc na wspólników w drugiej łodzi, żeby im przyszli z pomocą. Ci podpłynęli; i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzały. Widząc to Szymon Piotr przypadł Jezusowi do kolan i rzekł: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny". I jego bowiem, i wszystkich jego towarzyszy w zdumienie wprawił połów ryb, jakiego dokonali; jak również Jakuba i Jana, synów Zebedeusza, którzy byli wspólnikami Szymona. Lecz Jezus rzekł do Szymona: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił". I przyciągnąwszy łodzie do brzegu, zostawili wszystko i poszli za Nim (Łk 5, 1-11).

Mało brakowało, a nie jeździlibyśmy do Rzymu z pielgrzymkami i Polak nigdy nie zostałby papieżem, gdyby tylko Jezus wysłuchał dramatycznego wezwania Piotra nad jeziorem Genezaret: „Odejdź ode mnie, Panie...". Wszystko zakończyłoby się, zanim się zaczęło, ale grzechy apostoła nie były dla Jezusa przeszkodą.

Ten przepiękny fragment Ewangelii według św. Łukasza aż skrzy się subtelnymi proroczymi

symbolami, których odczytywanie daje wielką duchową satysfakcję. Są w nim te powszechnie znane, ale są i takie, które dopiero czekają na odkrycie.

Jezus zobaczył łodzie i wszedł do jednej z nich – Piotrowej. To zapowiedź, że Jego słowo w przyszłości będzie docierało do nas z łodzi, jaką jest Kościół – mała wspólnota unosząca się nad przepaścią. W Starym Testamencie zapowiadająca jego powstanie arka Noego spokojnie pływała po wzburzonych wodach potopu. Podobnie łódź Kościoła popłynie po falach historii świata, ale zawsze na tyle blisko ludzi, by był z niej słyszalny głos Boga.

Jezus siada w łodzi i z niej naucza. W pozycji siedzącej nauczał też prawodawca Mojżesz. Oto mamy nowego Mojżesza, nowego prawodawcę i nowe prawo. Zaczyna się nowa era, nowy eon. Odtąd wszystko będzie nowe.

„Wypłyń" – Jezus używa czasownika w liczbie pojedynczej, choć o zadaniu zarzucania sieci mówi już w liczbie mnogiej. Jeden jest przewodnik i jedna jest misja, ale trud jest wspólny i podejmą go niezliczone rzesze.

Apostołowie zarzucają sieci, które stają się symbolem połowu ludzkich dusz. Sieci nie zadają śmierci, tylko wyciągają z otchłani, która w Biblii często symbolizuje królestwo szatana.

W czasie sprzyjającym – nocą, gdy ryby wynurzają się z głębin – nic nie złowili. Dla rybaka nic nie złowić to jak stracić swoją tożsamość. Chrystus każe im zarzucić sieci w dzień, co nie wydaje się logiczne ani naturalne. Piotr mówi jednak: „na Twoje słowo zarzucę". To zdanie zapowiada, że słowo Jezusa

stanie się dla apostoła ważniejsze niż logika natury. Uzyska on nową tożsamość – stanie się sługą słowa, a Chrystus będzie jego słońcem – takim jak to, które świeciło przy pierwszym wspólnym połowie, przeprowadzonym wbrew logice natury, wskazującej, że łowić trzeba nocą.

Piękne i głębokie symbole, prawda? Aż się chce czytać.

Jakie symboliczne chwile pamiętam ze swojego życia? Jak kształtują one moje życie?

DRZEWO ZASADZONE NAD PŁYNĄCĄ WODĄ

Zeszedł z nimi na dół i zatrzymał się na równinie. Był tam duży poczet Jego uczniów i wielkie mnóstwo ludu z całej Judei i Jerozolimy oraz z wybrzeża Tyru i Sydonu; A On podniósł oczy na swoich uczniów i mówił: „Błogosławieni jesteście wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże. Błogosławieni wy, którzy teraz głodujecie, albowiem będziecie nasyceni. Błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie. Błogosławieni będziecie, gdy ludzie was znienawidzą, i gdy was wyłączą spośród siebie, gdy zelżą was i z powodu Syna Człowieczego podadzą w pogardę wasze imię jako niecne: cieszcie się i radujcie w owym dniu, bo wielka jest wasza nagroda w niebie. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili prorokom. Natomiast biada wam, bogaczom, bo odebraliście już pociechę waszą. Biada wam, którzy teraz jesteście syci, albowiem głód cierpieć będziecie. Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, albowiem smucić się i płakać będziecie. Biada wam, gdy wszyscy ludzie chwalić was będą. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili fałszywym prorokom" (Łk 6, 17.20-26).

Jak Mojżesz z kamiennymi tablicami zstępował do narodu czekającego u podnóża góry, tak Jezus schodzi ze swymi błogosławieństwami do wielkiego tłumu, który staje się Jego ludem. Widzi wśród oczekujących ubogich i mówi im, że są błogosławieni, czyli szczęśliwi, widzi ludzi głodnych i reaguje podobnie. To samo z tymi, którzy opłakują różne trudne sytuacje swojego życia i z tymi, którzy borykają się z ludzką nienawiścią, wykluczeniem

i znieważeniem. Także pozbawieni dobrego imienia z powodu związków z Synem Człowieczym mogą skakać z radości. Na pierwszy rzut oka nie wydaje się to zbyt zrozumiałe. Owszem, w mowie Chrystusa o błogosławieństwach pojawiają się różne obietnice, ale co ma je zagwarantować?

Wyjaśnia nam to niezwykle malowniczy obraz z Księgi Proroka Jeremiasza (Jr 17, 8) przedstawiający drzewo zasadzone nad płynącą wodą. Puszcza ono korzenie ku strumieniowi, nie obawia się suszy, gdy nadejdzie upał. Zawsze zachowa zielone liście i będzie owocować. I właśnie taka jest tajemnica błogosławionych. Oni nie są szczęśliwi z powodu swojego ubóstwa, głodu, płaczu czy ludzkiej nienawiści, ich szczęście płynie z zażyłości z Chrystusem, zapuszczają korzenie w nowym Mojżeszu. Dzięki temu mogą być szczęśliwi mimo cierpienia, jakiego przysparzają im ubóstwo, głód, smutek i konflikty z innymi ludźmi. To Chrystus staje się źródłem ich szczęścia i radości, gdyż niesie wybawienie.

Czterokrotne „biada" to ostrzeżenie dla tych, którzy dzięki swemu bogactwu i ludzkiej życzliwości osiągają niezależność. Sami potrafią zaspokoić wszystkie swoje potrzeby i niczego od nikogo, także od Chrystusa, nie potrzebują.

Jako student, jeszcze w latach stanu wojennego, byłem na rekolekcjach prowadzonych przez dziarskiego franciszkanina. W czasie jednej z konferencji kazał nam przygotować wielką miskę z wodą, a sam, będąc pokaźnych rozmiarów, złapał za wszarz jednego z wątłych ministrantów i począł topić go w misie. Co chwilę wyciągał biedaka i pytał: „Czego ci

potrzeba?”. Za którymś razem ministrant wykrztusił: „Powietrza!”. Jeśli nie potrzebujemy Chrystusa, jak ten student powietrza, to nie poznamy, czym jest owo szczęście płynące z błogosławieństw.

W jakich sytuacjach moje kiepskie położenie zbliżyło mnie do Chrystusa, a Jego pocieszenie napełniło łagodną radością?

PRZEKRACZANIE

Lecz powiadam wam, którzy słuchacie: Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają. Jeśli cię kto uderzy w [jeden] policzek, nadstaw mu i drugi! Jeśli bierze ci płaszcz, nie broń mu i szaty! Daj każdemu, kto cię prosi, a nie dopominaj się zwrotu od tego, który bierze twoje. Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie! Jeśli bowiem miłujecie tych tylko, którzy was miłują, jakaż za to dla was wdzięczność? Przecież i grzesznicy miłość okazują tym, którzy ich miłują. I jeśli dobrze czynicie tym tylko, którzy wam dobrze czynią, jaka za to dla was wdzięczność? I grzesznicy to samo czynią. Jeśli pożyczek udzielacie tym, od których spodziewacie się zwrotu, jakaż za to dla was wdzięczność? I grzesznicy grzesznikom pożyczają, żeby tyleż samo otrzymać. Wy natomiast miłujcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze i pożyczajcie, niczego się za to nie spodziewając. A wasza nagroda będzie wielka, i będziecie synami Najwyższego; ponieważ On jest dobry dla niewdzięcznych i złych. Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny. Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone. Dawajcie, a będzie wam dane; miarę dobrą, natłoczoną, utrzęsioną i opływającą wsypią w zanadrza wasze. Odmierzą wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie" (Łk 6, 27-38).

Wezwanie do miłowania nieprzyjaciół to jeden z najtrudniejszych fragmentów Ewangelii. Problemów nie nastręcza w tym przypadku zrozumienie Chrystusa, bo Jego słowa są proste i jasne,

jednak wypełnienie tego wezwania, to wspięcie się na Himalaje ludzkich możliwości. Jak w piosence Magdy Umer: „Wszystko jest łatwe w miłości, póki się dwoje nie kocha". O tak, wszystko jest proste w teorii, ale gdy już trzeba przejść do praktyki, zaczynają się schody.

Jesteśmy zaproszeni do naśladowania Boga. Mamy kochać tak jak On. Dobrze czynić tym, którzy nas nienawidzą, błogosławić tym, którzy nas przeklinają, modlić się za tych, którzy nas oczerniają. Co więcej – gdy ktoś nam wyszarpuje płaszcz, oddać i sweter. Przecież to szok. Czy ktokolwiek z nas może zdobyć się na tego typu heroizm? Jak sobie z tym radził pierwotny Kościół? Odpowiedź znajdziemy w Pierwszym Liście do Koryntian.

Tak też jest napisane: Stał się pierwszy człowiek, Adam, duszą żyjącą, a ostatni Adam duchem ożywiającym. Nie było jednak wpierw tego, co duchowe, ale to, co ziemskie; duchowe było potem. Pierwszy człowiek z ziemi – ziemski, drugi Człowiek – z nieba. Jaki ów ziemski, tacy i ziemscy; jaki Ten niebieski, tacy i niebiescy. A jak nosiliśmy obraz ziemskiego [człowieka], tak też nosić będziemy obraz [człowieka] niebieskiego (1 Kor 15, 45-49).

Św. Paweł mówi o przekraczaniu swoich ludzkich możliwości, o wyjściu poza wymiar naszej logiki. Mówi o noszeniu w sobie „człowieka niebieskiego", o gruntownej przemianie, która wyrywa nas z naszych mniemań i umożliwia to, co wydaje się niemożliwe. Nienawidzącym nas – dobrze czynić, przeklinających błogosławić, a zabierającym nam

własność wcisnąć jeszcze coś na dokładkę poza tym, czego nas pozbawiają. Ale bez przemiany w nowego człowieka, ludzkimi siłami i samą dobrą wolą będzie to niemożliwe do osiągnięcia. Żebyśmy mogli pójść za tą szaloną propozycją Jezusa, najpierw On sam musi przemienić nas wewnętrznie. Wtedy Jego wezwanie stanie się dla nas prawdziwą radością. Z doświadczenia wiem, że ta przemiana to często długi proces karmiony niejednymi rekolekcjami.

Z jakimi trudnościami się spotykam, gdy próbuję kochać nieprzyjaciół? Jak sobie z nimi radzę?

MORTW SIĘ O SIĘ I O SWOJE...

Gdy sitem się przesiewa, zostają odpadki, podobnie [okazują się] błędy człowieka w jego rozumowaniu. Piec wystawia na próbę naczynia garncarza, a sprawdzianem człowieka jest jego wypowiedź. Hodowlę drzewa poznaje się po jego owocach, podobnie serce człowieka – po rozumnym słowie. Nie chwal człowieka, zanim poznasz, jak przemawia, to bowiem jest próbą dla ludzi (Syr 27, 4-7).

Mądrość zawiera spore pokłady oczywistości. W zasadzie nie podlega ona żadnej dyskusji – jest tak, jak jest, i kropka. Zwykle ma też w sobie coś pociągającego. Usłyszawszy ją, ruszamy jak pies myśliwski, który właśnie złapał świeży trop i wie, że łup jest już blisko. Inspiruje nas i przynagla – „O, właśnie tak chciałbym żyć". Zestawmy to ze słowami Biblii: „Dobry człowiek z dobrego skarbca swego serca wydobywa dobro, a zły człowiek ze złego skarbca wydobywa zło. Bo z obfitości serca mówią jego usta" (Łk 6, 45) oraz „Piec wystawia na próbę naczynia garncarza, a sprawdzianem człowieka jest jego wypowiedź. Hodowlę drzewa poznaje się po jego owocach, podobnie serce człowieka – po rozumnym słowie" (Syr 27, 5-6). Jasne jak słońce.

Bez wątpienia rację ma Syrach, twierdząc, że poprzez wypowiedź człowieka możemy zajrzeć do jego serca. Gdy tylko ktoś otworzy usta, prawda wychodzi na jaw – koń jaki jest, każdy widzi... Mowa nas odsłania, wyjawia, kim jesteśmy. Oczywiście błędnym byłoby przekonanie, że powinniśmy troszczyć się o to, co i gdzie należy mówić, że powinniśmy się liczyć ze słowami. To jakby pedantycznie pastować

buty, z których i tak wystaje słoma. Nie o samą wypowiedź chodzi, ale o serce, z którego ona wypływa. Nie mamy się troszczyć o słowa, ale o siebie, w najgłębszym znaczeniu. We współpracy z naszym Stwórcą ukształtować swoje serce, czyli wprowadzić harmonię w miejsce, gdzie krzyżują się wszystkie najważniejsze linie naszej osobowości (intelekt, uczucia, wrażliwość, talenty, temperament, wiedza, historia naszego życia, seksualność itd.). Ta harmonia jest nam potrzebna, aby z delikatnością przyjąć do swojego serca drugiego człowieka jak brata. A wówczas nie musimy już zwracać uwagi na to, co i gdzie będziemy mówić, bo nasze serce zaśpiewa dobrą i pożyteczną dla innych pieśń. Pierwszą osobą, którą Bóg powierza nam pod opiekę, jesteśmy my sami. Pierwsze serce, którym mamy się zająć, to nasze serce. Gdy ono będzie umiało kochać, możemy robić i mówić, co chcemy. Będziemy wolni od pomysłów, by wyszukiwać śmieci płynące w rzece życia naszych bliskich i groteskowych propozycji przepuszczenia nurtu tej rzeki przez superoczyszczalnię pod naszym zarządem. A może na nowo odkryjemy mądrość wielkopolskiej wersji ewangelicznego przysłowia o belce w oku bliźniego: „Mortw się o się i o swoje, później o mnie i o moje".

Jaka ostatnio odkryta mądrość wpłynęła na moje życie? Jak faktycznie troszczę się o swoje serce?

WĄSKO CZY SZEROKO?

Posłuchajcie innej przypowieści! Był pewien gospodarz, który założył winnicę. Otoczył ją murem, wykopał w niej tłocznię, zbudował wieżę, w końcu oddał ją w dzierżawę rolnikom i wyjechał. Gdy nadszedł czas zbiorów, posłał swoje sługi do rolników, by odebrali plon jemu należny. Ale rolnicy chwycili jego sługi i jednego obili, drugiego zabili, trzeciego zaś ukamienowali. Wtedy posłał inne sługi, więcej niż za pierwszym razem, lecz i z nimi tak samo postąpili. W końcu posłał do nich swego syna, tak sobie myśląc: Uszanują mojego syna. Lecz rolnicy zobaczywszy syna mówili do siebie: „To jest dziedzic; chodźcie zabijmy go, a posiądziemy jego dziedzictwo". Chwyciwszy go, wyrzucili z winnicy i zabili. Kiedy więc właściciel winnicy przyjdzie, co uczyni z owymi rolnikami?". Rzekli Mu: „Nędzników marnie wytraci, a winnicę odda w dzierżawę innym rolnikom, takim, którzy mu będą oddawali plon we właściwej porze". Jezus im rzekł: „Czy nigdy nie czytaliście w Piśmie: Właśnie ten kamień, który odrzucili budujący, stał się głowicą węgła. Pan to sprawił, i jest cudem w naszych oczach. Dlatego powiadam wam: Królestwo Boże będzie wam zabrane, a dane narodowi, który wyda jego owoce (Mt 21, 33-43).

Chrystus w Ewangelii według św. Mateusza sięga do Księgi Izajasza. Wydobywa z niej pięknie opisaną, a jednocześnie straszną historię o winnicy. Wprowadzając do niej modyfikacje i nową dramaturgię, przedstawia ją słuchaczom jako przypowieść, która może wywoływać poważne obawy. Gospodarz wybudował wspaniałą winnicę: otoczył ją murem, wykopał tłocznię, zbudował wieżę, ale obsługa okazała

się felerna: nie dość, że nie chciała oddać należnych mu zysków, to jeszcze była agresywna, a nawet zdolna do mordu. Chrystus zgodnie z hebrajskim stylem opowiadania wprowadza wyolbrzymienia – hiperbole – by z jednej strony opowiadanie zapadało w pamięć, a z drugiej – trochę bulwersowało. I, jak mi się wydaje, osiąga zamierzony efekt.

Tę przypowieść możemy czytać na dwa sposoby – wąsko, czyli odnosić ją do Mesjasza, który przychodzi do swojej własności i zostaje odrzucony, a nawet zabity. W takim ujęciu Chrystus mówi o sobie i swej misji i jest to wypowiedź profetyczna. Ale przypowieść tę można też rozpatrywać dużo szerzej, jak zwykło się czynić z przypowieściami. Winnica staje się wówczas figurą, pod którą mieści się wiele różnych desygnatów. Spróbujmy w to miejsce wstawić choćby parafię – świetnie zorganizowaną, z wieżą i solidnym ogrodzeniem, ale nieprzynoszącą owoców miłosierdzia i prawdziwie braterskiej wspólnoty. Taka wizja przyprawia o ciarki, prawda? Można też próbować podstawić w miejsce winnicy rodzinę. Taką z solidnym domem z sypialniami, kuchnią i spiżarnią. Jednak prócz schronienia przed zimnem i deszczem nie wydaje ona owoców rodzinnego życia, obfitującego we wzajemne zrozumienie, serdeczną dobroć, gościnność i schronienie dla rozbitych. Można pójść jeszcze dalej i próbować jako ów desygnat podłożyć siebie. Pan świetnie nas wyposażył. Dał ciało, umysł, pamięć, zdolności i uczucia. Ale gdy szuka owoców w postaci zwykłej ludzkiej dobroci, troski o słabszych, pasji, budowania przyjaźni i tym podobnych, spotyka Go ogrom pretensji,

a nawet wrogość i odrzucenie. Gdy o tym myślę, zdając sobie sprawę, jak pan winnicy ukarał tego typu włodarzy, robi mi się na przemian zimno i gorąco. Więc może lepiej nie wchodzić w takie szerokie czytanie przypowieści. Owszem, dowiem się mniej, ale spać będę spokojniej. Oj, tylko czy na pewno?

Jakie owoce do Bożej spiżarni dostarczają takie winnice, jak moja parafia, rodzina i ja sam?

MAM NA IMIĘ… JESTEM ZBAWIONY PRZEZ JEZUSA CHRYSTUSA

Słowo to jest blisko ciebie, na twoich ustach i w sercu twoim. Ale jest to słowo wiary, którą głosimy. Jeżeli więc ustami swoimi wyznasz, że JEZUS JEST PANEM, i w sercu swoim uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych – osiągniesz zbawienie. Bo sercem przyjęta wiara prowadzi do usprawiedliwienia, a wyznawanie jej ustami – do zbawienia (Rz 10, 8b-10).

Wiele grup Anonimowych Alkoholików raz na jakiś czas organizuje otwarte mitingi. Warto choć raz w życiu pójść na takie spotkanie, nawet jeśli nie mamy problemu alkoholowego. Każdy, kto jest tam po raz pierwszy, z wielkim zdziwieniem odkrywa, że uzależnieni przedstawiają się, wypowiadając swoje imię lub pseudonim i na koniec dodają: „Jestem alkoholikiem". Po takim wstępie dopiero wygłaszają swoją wypowiedź. Ten rytuał potrzebny jest zarówno wszystkim zgromadzonym, jak i samemu mówiącemu, ponieważ to nie tylko wyraża jego tożsamość, lecz jest także znakiem pogodzenia się z chorobą: „Tak, jestem alkoholikiem, zabieram głos jako alkoholik. Sprawa jest jasna". To wyznanie otwiera drogę do ocalenia. Bardzo prawdopodobne, że nasi bracia alkoholicy wypracowali taki model wypowiedzi zainspirowani Listem do Rzymian: „Jeżeli więc ustami swoimi wyznasz, że Jezus jest Panem, i w sercu swoim uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych – osiągniesz zbawienie" (Rz 10, 9). Myślę, że na wielu kościelnych spotkaniach bardzo pomocne byłoby rozpoczynanie każdej wypowiedzi od podobnego

wstępu: „Mam na imię Zbyszek i jestem zbawiony przez Jezusa Chrystusa". Znaczyłoby to, że się z tym faktem identyfikujemy, a wszystko, co za chwilę powiemy, wypływa z jego przyjęcia. Może warto właśnie w ten sposób, głośno wyznając wiarę, organizować różne synody diecezjalne, ważne obrady kurialne, a nawet spotkania rad parafialnych, a miałyby one od razu zbawienny wpływ zarówno na ich uczestników, jak i na efekty tych spotkań.

W jakiej sytuacji otwarcie przyznałem się, że jestem Chrystusowy?

„OWOCNOŚĆ”

W tym samym czasie przyszli niektórzy i donieśli Mu o Galilejczykach, których krew Piłat zmieszał z krwią ich ofiar. Jezus im odpowiedział: „Czyż myślicie, że ci Galilejczycy byli większymi grzesznikami niż inni mieszkańcy Galilei, że to ucierpieli? Bynajmniej, powiadam wam; lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy podobnie zginiecie. Albo myślicie, że owych osiemnastu, na których zwaliła się wieża w Siloam i zabiła ich, było większymi winowajcami niż inni mieszkańcy Jerozolimy? Bynajmniej, powiadam wam; lecz jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie”. I opowiedział im następującą przypowieść: „Pewien człowiek miał drzewo figowe zasadzone w swojej winnicy; przyszedł i szukał na nim owoców, ale nie znalazł. Rzekł więc do ogrodnika: «Oto już trzy lata, odkąd przychodzę i szukam owocu na tym drzewie figowym, a nie znajduję. Wytnij je: po co jeszcze ziemię wyjaławia?». Lecz on mu odpowiedział: «Panie, jeszcze na ten rok je pozostaw; ja okopię je i obłożę nawozem; może wyda owoc. A jeśli nie, w przyszłości możesz je wyciąć»” (Łk 13, 1-9).

Ewangeliczna przypowieść o figowcu mówi bezpośrednio o tym, jakich zabiegów dokonuje Bóg dla naszego ocalenia. Chrystus jest ogrodnikiem, który przez różne działania pielęgnacyjne chce ocalić każdego z nas w sytuacjach, gdy nasze życie wydaje się rozpięte między dwoma wezwaniami: „Wytnij!” a „Pozostaw!”, a pośrodku stoi bezowocność naszych działań.

Jeśli na pustyni wyrastało drzewo, był to wyraźny znak, że jest tam woda, że da się tam żyć. Jednakże sam fakt istnienia drzewa nie wystarcza – ono musi wydawać owoce. Pierwszym zadaniem każdego

organizmu żywego jest przekazać życie, owocować. Po co komu drzewo, które nie wydaje owoców? Dopiero po nich możemy rozpoznać, czy jest ono dobre, czy złe. Ich brak oznacza zawieszenie w próżni. A figowce zaczynały owocować najwcześniej i jednocześnie owocowały najdłużej, w zasadzie bez kwitnienia. Zatem faktycznie widok figowca bez owoców był czymś zadziwiającym.

Na co dzień na różnych płaszczyznach borykamy się z zadaniami, które nie przynoszą należytych skutków. Mogą to być najróżniejsze zajęcia, znajomości, podejmowane prace, podróże, zaangażowania zawodowe, rodzinne czy towarzyskie. Ich bezowocność stawia nas właśnie między: „wytnij" a „zostaw". Nie wiemy, czy kontynuować, czy też zarzucić starania, które nie przynoszą efektów. Próbujemy czekać. Przypowieść uczy, że nie powinniśmy robić tego bezczynnie. Ogrodnik nie pozostaje bierny, ale podejmuje konkretne działania, chce okopać i nawieźć drzewo. Zamierza dostać się do samego korzenia. Rozwiązaniem jest pozwolić Chrystusowi dobrać się do korzeni naszych życiowych spraw, by mógł użyźnić glebę, z której one wyrastają. Często jest to praca nad motywacjami, nad hierarchią wartości.

Mojżesz, pytając Boga o imię, usłyszał: „Jestem, który jestem", czyli jestem obecny. On chce być obecny w naszym codziennym życiu, także w trosce o to, by nasze zaangażowania przynosiły owoce.
Jakie aktualnie bezowocne zaangażowania potrzebują zabiegów u samego korzenia, z którego wyrastają?

Jak mogę w tym zakresie współpracować z Bogiem?

DIETA DUCHOWA

I rzekł Pan do Jozuego: „Dziś zrzuciłem z was hańbę egipską". Miejsce to nazwano Gilgal aż do dnia dzisiejszego. Rozłożyli się obozem Izraelici w Gilgal i tam obchodzili Paschę czternastego dnia miesiąca wieczorem, na stepach Jerycha. Następnego dnia Paschy jedli z plonu tej krainy, chleby przaśne i ziarna prażone tego samego dnia. Manna ustała następnego dnia, gdy zaczęli jeść plon tej ziemi. Nie mieli już więcej Izraelici manny, lecz żywili się tego roku z plonów ziemi Kanaan (Joz 5, 9a.10-12).

W Księdze Jozuego opisany został ważny moment w życiu narodu wybranego. Po czterdziestoletniej wędrówce obszarami pustynnymi Izraelici dochodzą wreszcie do żyznych terenów. Zamiast manną i przepiórkami zaczynają wreszcie żywić się różnorodnym pokarmem Ziemi Obiecanej. Wraz z nim pojawia się też nowy pokarm duchowy – rozpoczyna się epoka Paschy Żydowskiej, która doprowadzi do Mistycznej Wieczerzy Jezusa Chrystusa, czyli ustanowienia Eucharystii. Tak jak przyjmujemy pokarm utrzymujący przy życiu nasze ciało, tak samo potrzebujemy pokarmu duchowego. W ostatnich latach coraz częściej i głośniej mówi się o zdrowej żywności. To, że smakują nam hamburgery, pizze i bardzo słodkie napoje wcale nie oznacza, że są one dla nas dobre, wręcz przeciwnie – skutki takiego żywienia bywają katastrofalne. Analogicznie ma się sprawa z pokarmem duchowym. To, co czytamy, oglądamy, czego słuchamy, rozmowy, jakie prowadzimy, tempo i jakość życia mają niebagatelny

wpływ na naszą kondycję duchową. Oczywiście, można zajrzeć do lodówki i wydobyć z niej kawałek starej śmierdzącej kiełbasy, zalać ją ketchupem i jakoś przełknąć, ale organizm albo tego nie przyjmie i w swej mądrości zwróci, albo odchoruje. Ból, jakiego doświadczymy, będzie nas zniechęcać do podobnych prób.

Zdrowa żywność, zbilansowana dieta, dobre nawyki żywieniowe i aktywność fizyczna mogą znacząco przedłużyć życie. W sferze duchowej jest dokładnie tak samo. Przygotowanie wartościowej i urozmaiconej lektury na cały rok, znalezienie czasu na słuchanie ambitnej muzyki, wynotowanie interesujących propozycji z repertuaru teatrów i kin są absolutną podstawą. Gdy dopełnimy to momentami ciszy przeżywanymi z rozkoszą i chwilami kontaktu z przyrodą, w zasadzie będziemy gotowi otworzyć się na tajemnicę i misterium modlitwy. Zdrowie duchowe będzie nam dopisywać.

Jaki jest mój codzienny pokarm duchowy? Jak dbam o zdrową dietę duchową?

OSIOŁEK

Po tych słowach ruszył na przedzie, zdążając do Jerozolimy. Gdy przyszedł w pobliże Betfage i Betanii, do góry zwanej Oliwną, wysłał dwóch spośród uczniów, mówiąc: „Idźcie do wsi, która jest naprzeciwko, a wchodząc do niej, znajdziecie oślę uwiązane, którego jeszcze nikt nie dosiadł. Odwiążcie je i przyprowadźcie tutaj! A gdyby was kto pytał: «Dlaczego odwiązujecie?», tak powiecie: «Pan go potrzebuje»". Wysłani poszli i znaleźli wszystko tak, jak im powiedział. A gdy odwiązywali oślę, zapytali ich jego właściciele: „Czemu odwiązujecie oślę?". Odpowiedzieli: „Pan go potrzebuje". I przyprowadzili je do Jezusa, a zarzuciwszy na nie swe płaszcze, wsadzili na nie Jezusa. Gdy jechał, słali swe płaszcze na drodze. Zbliżał się już do zboczy Góry Oliwnej, kiedy całe mnóstwo uczniów poczęło wielbić radośnie Boga za wszystkie cuda, które widzieli. I wołali głośno: „Błogosławiony Król, który przychodzi w imię Pańskie. Pokój w niebie i chwała na wysokościach". Lecz niektórzy faryzeusze spośród tłumu rzekli do Niego: „Nauczycielu, zabroń tego swoim uczniom!". Odrzekł: „Powiadam wam: Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą" (Łk 19, 28-40).

Wydarzenia opisane w 19 rozdziale Ewangelii według św. Łukasza mają miejsce w pobliżu Beftage i Betanii. Beftage znaczy dosłownie „dom niedojrzałej figi". Możemy upatrywać w tym nawiązania do przypowieści o figowcu, który nie wydawał owoców, więc właściciel rozkazał go wyciąć, ale ogrodnik przekonał swojego pracodawcę, żeby zostawił drzewo jeszcze na jeden rok, by on je okopał i nawiózł. Jezus staje się właśnie takim nawozem dla swojego ludu, który wyda wspaniały owoc – Kościół.

Betania to natomiast „dom ubóstwa" albo „zmartwienia". Oto Chrystus wkracza w każde nasze ubóstwo, w każde nasze zmartwienie, aby je swoim ubóstwem ubogacić.

„[...] znajdziecie przywiązanego osiołka, na którym nikt jeszcze nie siedział" – oznajmia uczniom Chrystus. Odwiązywanie osiołka to symbol uwalniania najgłębszych pokładów pokory i uniżenia, takiej pokory nikt jeszcze nie dosiadał. Dzieje się coś zupełnie nowego, zwycięski wódz nie będzie wjeżdżał na dumnym koniu ani na rydwanie, ale na pokornym ośle. Jest on jego figurą i towarzyszy mu od chwili narodzin. Klamra się zamyka. Chrystus w swej pokorze jest alfą i omegą, początkiem i końcem, pokora jest jego zwycięstwem. Tego nikt przed nim nie zrobił, po taki tron nikt do tej pory nie sięgał. Mesjanizm Jezusa opiera się na ubóstwie i uniżeniu. On odrzuca bogactwo, władzę i chwałę.

Jeśli ktoś zapyta uczniów, dlaczego odwiązują osiołka, mają wyjaśnić, że Pan go potrzebuje. To jedyny raz w Ewangelii, gdy Chrystus nazywa siebie Panem. Robi to tylko w kontekście osiołka, tylko w obliczu uwolnienia największych pokładów pokory.

Lud woła: „chwała Temu, który przychodzi" – słowa te pochodzą z Psalmu 118, śpiewanego zwykle w Święto Namiotów przy wspomnieniu pierwszych plonów ziemi obiecanej. Ustała manna, skończył się pustynny pokarm, skończyło się wygnanie, zaczęło się nowe życie. Psalm ten mówi o kamieniu odrzuconym, który stał się głowicą węgła, czyli fundamentem (w. 22). Oto rozpoczyna się nowa epoka, oto nowy król wjeżdża do swego królestwa. Osiołek

został odwiązany. Przy narodzeniu Jezusa aniołowie śpiewali: „pokój na ziemi”, teraz lud z ziemi podnosi śpiew: „pokój w niebie”, kolejna klamra się zamyka. Alfa i omega.

Jakie uczucia towarzyszą mi, gdy zdaję sobie sprawę, że mój wszechmocny Bóg jest pokornym królem jadącym na oślęciu?

DOBRZE ZACZĄĆ

Paweł, Sylwan i Tymoteusz do Kościoła Tesaloniczan w Bogu Ojcu i Panu Jezusie Chrystusie. Łaska wam i pokój! Zawsze dziękujemy Bogu za was wszystkich, wspominając o was nieustannie w naszych modlitwach, pomni przed Bogiem i Ojcem naszym na wasze dzieło wiary, na trud miłości i na wytrwałą nadzieję w Panu naszym Jezusie Chrystusie. Wiemy, bracia przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym, bo nasze głoszenie Ewangelii wśród was nie dokonało się przez samo tylko słowo, lecz przez moc i przez Ducha Świętego, z wielką siłą przekonania. Wiecie bowiem, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was (1 Tes 1, 1-5b).

Jako świeżo nawrócony student postanowiłem bliżej zapoznać się z chrześcijaństwem i równolegle do geodezji rozpocząłem studia teologiczne. Na zajęciach usiadłem koło długowłosego chłopaka z brodą – wydawał mi się najbardziej podobny do ludzi, z którymi żyłem na co dzień. Nie pachniał wodą święconą i nie emanował dewocją. W czasie wykładów zapuszczałem żurawia do jego notatek, aby się zorientować, co warto zapisywać. Z niepomiernym zdziwieniem odkryłem, że brodacz na początku każdego wykładu w lewym górnym rogu kartki robił krzyżyk. Po miesiącu nie wytrzymałem i zapytałem: „A ten krzyżyk to co?” Odpowiedział krótko: „A co, źle?”.

Także teraz dziwnie patrzę na maile, które zaczynają się od: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a potem idzie ciężki kaliber. Niby jakiś pobożniś, a wysuwa tak grube problemy. A przecież pamiętam, że sam jako mały chłopczyk biegałem po koleżankę, nadkładając drogi do szkoły, i to nie

dlatego, że była wybitnie atrakcyjna, choć owszem ładna, ale z jednego prostego powodu – jej mama przed wyjściem robiła nam na czołach krzyżyki. Nie rozumiałem tego, ale przeczuwałem, że to zostaje na cały dzień.

Św. Paweł zaczyna list słowami: „[...] do Kościoła Tesaloniczan w Bogu Ojcu i Panu Jezusie Chrystusie" i nie uprawia żadnej chrześcijańskiej kurtuazji – on jakby stawia krzyżyk na początku. Zaczyna od odwołania się do Boga, aby mógł wypowiedzieć ważne życzenie: „Łaska wam i pokój!". Co w tym dziwnego?

Paweł w Tesalonice był krótko, zaledwie dwa, trzy miesiące, ale pobyt ten okazał się bardzo owocny. Wysłany po nim w to miejsce Tymoteusz donosił o świetnym rozwoju tej gminy. Tesaloniczanie byli gorliwi, miłosierni, a nade wszystko przywiązani do Pawła. Jednakże pojawili się i tacy, którzy zamierzali zniszczyć pracę apostoła i pracowicie osłabiali jego autorytet. I właśnie do takiego Kościoła pisze Paweł. Aby mógł się zdobyć na tak dobre życzenie, nie grzecznościowe, udawane, ale płynące z serca, na wstępie tego trudnego listu odwołuje się do samego Boga i do Jezusa Chrystusa. Myślę, że wielu z nas świetnie to rozumie – jesteśmy w stanie zdobyć się na wielkie rzeczy, gdy zaczynamy od wezwania Boga.

W jakich trudnych sytuacjach zaczynałem rozmowę od wezwania Bożego imienia?

WSPARCIE W SAMOTNOŚCI

Ja, Jan, wasz brat i współuczestnik w ucisku i królestwie, i wytrwałości w Jezusie, byłem na wyspie, zwanej Patmos, z powodu słowa Bożego i świadectwa Jezusa. Doznałem zachwycenia w dzień Pański i posłyszałem za sobą potężny głos jak gdyby trąby mówiącej: „Co widzisz, napisz w księdze i poślij siedmiu Kościołom: do Efezu, Smyrny, Pergamonu, Tiatyry, Sardów, Filadelfii i Laodycei". I obróciłem się, by widzieć, co za głos do mnie mówił; a obróciwszy się, ujrzałem siedem złotych świeczników, i pośród świeczników kogoś podobnego do Syna Człowieczego, obleczonego [w szatę] do stóp i przepasanego na piersiach złotym pasem. Kiedym Go ujrzał, do stóp Jego upadłem jak martwy, a On położył na mnie prawą rękę, mówiąc: „Przestań się lękać! Jam jest Pierwszy i Ostatni i żyjący. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i Otchłani. Napisz więc to, co widziałeś, i to, co jest, i to, co potem musi się stać" (Ap 1, 9-11a.12-13.17-19).

Św. Jan zostaje zesłany na wyspę Patmos. Żyje oddzielony od reszty Kościoła, nieświadomy jego losów. Przeżywa niedzielę, czyli dzień Pański w przygnębiającym opuszczeniu i izolacji. Nie ma współbraci, z którymi mógłby się modlić i łamać chleb. Samotność jest jego krzyżem. I właśnie w takich warunkach otrzymuje wielkie objawienie, które staje się dla niego pocieszeniem w dniu przyćmionym czarnymi, ołowianymi chmurami niepewności i wyizolowania. Dostaje też konkretną misję do wykonania – zadanie, aby spisać objawienie, które widzi niemalże jak wyświetlone w ogromnym

obrazie. Jego pobyt na Patmos nabiera sensu, a wynik pracy stanie się wielką księgą pocieszenia dla całego Kościoła.

Kluczem do dobrego zrozumienia tej niezwykle ciekawej księgi – Apokalipsy – jest jeden wyraz: „pocieszenie". „Przestań się lękać" to pierwsze słowa skierowane do Jana. Jestem głęboko przekonany, że dla wielu z nas żyjących na różnych swoich „Patmos" – wysepkach izolacji i bolesnej samotności, na które zostaliśmy zesłani przez grzech lub inne zrządzenia losu – głos Bożego pocieszenia jest jak deszcz, który spada na wysuszony las, nie tylko chroniąc go przez wybuchem pożaru, ale pozwalając mu na dynamiczny rozwój. Boże pocieszenie przybiera zwykle konkretne wymiary. Najczęściej, tak jak w wypadku Jana, Bóg daje nam jakieś zadanie do wykonania – sensowne i pożyteczne dla innych. Podejmując je, szybko odkrywamy, jak dalece jesteśmy wartościowi.

Kiedy ostatnio udało mi się przyjąć Boże pocieszenie? Jakie uczucia temu towarzyszyły?

GRUPA PRZYJACIÓŁ

Potem znowu ukazał się Jezus nad Morzem Tyberiadzkim. A ukazał się w ten sposób: Byli razem Szymon Piotr, Tomasz, zwany Didymos, Natanael z Kany Galilejskiej, synowie Zebedeusza oraz dwaj inni z Jego uczniów. Szymon Piotr powiedział do nich: „Idę łowić ryby". Odpowiedzieli mu: „Idziemy i my z tobą". Wyszli więc i wsiedli do łodzi, ale tej nocy nic nie złowili. A gdy ranek zaświtał, Jezus stanął na brzegu. Jednakże uczniowie nie wiedzieli, że to był Jezus. A Jezus rzekł do nich: „Dzieci, czy macie co na posiłek?". Odpowiedzieli Mu: „Nie". On rzekł do nich: „Zarzućcie sieć po prawej stronie łodzi, a znajdziecie". Zarzucili więc i z powodu mnóstwa ryb nie mogli jej wyciągnąć. Powiedział więc do Piotra ów uczeń, którego Jezus miłował: „To jest Pan!". Szymon Piotr, usłyszawszy, że to jest Pan, przywdział na siebie wierzchnią szatę – był bowiem prawie nagi – i rzucił się w morze. Reszta uczniów dobiła łodzią, ciągnąc za sobą sieć z rybami. Od brzegu bowiem nie było daleko – tylko około dwustu łokci. A kiedy zeszli na ląd, ujrzeli żarzące się na ziemi węgle, a na nich ułożoną rybę oraz chleb. Rzekł do nich Jezus: „Przynieście jeszcze ryb, któreście teraz ułowili". Poszedł Szymon Piotr i wyciągnął na brzeg sieć pełną wielkich ryb w liczbie stu pięćdziesięciu trzech. A pomimo tak wielkiej ilości, sieć się nie rozerwała. Rzekł do nich Jezus: „Chodźcie, posilcie się!". Żaden z uczniów nie odważył się zadać Mu pytania: „Kto Ty jesteś?", bo wiedzieli, że to jest Pan. A Jezus przyszedł, wziął chleb i podał im – podobnie i rybę. To już trzeci raz, jak Jezus ukazał się uczniom od chwili, gdy zmartwychwstał. A gdy spożyli śniadanie, rzekł Jezus do Szymona Piotra: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?". Odpowiedział Mu: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham". Rzekł do niego:

„Paś baranki moje!”. I znowu, po raz drugi, powiedział do niego: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie?”. Odparł Mu: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham”. Rzekł do niego: „Paś owce moje!”. Powiedział mu po raz trzeci: „Szymonie, synu Jana, czy kochasz Mnie?”. Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: „Czy kochasz Mnie?”. I rzekł do Niego: „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham”. Rzekł do niego Jezus: „Paś owce moje! Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci: Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz”. To powiedział, aby zaznaczyć, jaką śmiercią uwielbi Boga. A wypowiedziawszy to, rzekł do niego: „Pójdź za Mną!” (J 21, 1-19).

Apostołowie po zmartwychwstaniu Chrystusa próbują wrócić do normalnego życia i jakoś się w nim odnaleźć. Świetnie, że zmartwychwstał, że żyje, wszystko zakończyło się szczęśliwie, ale coś trzeba jeść, z czegoś trzeba żyć. Piotr, który zawsze czuje się bardziej odpowiedzialny od innych, oświadcza: „Nie wiem jak wy, ale ja wracam do zawodu, idę zarabiać na życie, będę łowić ryby”. Pozostali idą z nim. I przeżywają głęboką porażkę zawodową. Lata przerwy zrobiły swoje. Sieci są puste, a oni zziębnięci, niewyspani, przygnębieni. Jakiś człowiek na brzegu proponuje im, aby zarzucili sieci jeszcze raz i choć to niezgodne z rybackim rzemiosłem, efekt jest porażający. Jan – mistyk – w postaci stojącej na brzegu dostrzega Jezusa. Mówi o tym Piotrowi, hierarsze, a ten zachowuje się niezbyt logicznie – ubiera się i skacze do wody. Pozostali także dopływają do brzegu. Cóż tam zastają? Rozpalone ognisko

i Zmartwychwstałego, który przygotowuje dla nich śniadanie. Jest tym zupełnie pochłonięty. Przygląda się im, jakby ich liczył i porównywał z liczbą ryb na ogniu. Ocenia, że pożywienia zabraknie dla wszystkich i prosi o przyniesienie jeszcze kilku świeżo ułowionych ryb. To chyba najbardziej wzruszająca scena w Ewangelii. Zawsze gdy ją czytam w czasie liturgii, trudno mi powstrzymać emocje. To spotkanie jest kwintesencją chrześcijaństwa. Tu właśnie rodzi się nowy Kościół – w czasie braterskiego prostego śniadania na brzegu morza. Chrześcijaństwo to pączkujące grupki serdecznych przyjaciół. Apostołowie odkrywają, że po spotkaniu Zmartwychwstałego nie da się już wrócić do poprzedniego życia. Nowe jest tak pociągające i sensowne, że warto będzie za nie oddać wszystko.

Dalej Jezus zadaje Piotrowi proste pytanie: „Czy mnie kochasz?". Przyznam, że jeszcze nigdy nikogo nie zapytałem tak bezpośrednio, otwartym tekstem, czy mnie kocha. Może jako małe dziecko... Chrystus robi to bez skrępowania. A gdy Piotr odpowiada, Jezus prosi go – „powtórz", i jeszcze raz, jakby chciał powiedzieć – „Lubię, gdy to mówisz. Potrzebuję twojej miłości". Chrystus Zmartwychwstały potrzebuje miłości swoich przyjaciół. To właśnie jest miłość wzajemna. Nie tylko kocham, ale także potrzebuję miłości. „Miłujcie się wzajemnie, tak ja was umiłowałem..."

Jak odbieram pytanie Jezusa skierowane do mnie: „Czy kochasz mnie?"

PYŁ Z NÓG

Oni zaś przeszli przez Perge, dotarli do Antiochii Pizydyjskiej, weszli w dzień sobotni do synagogi i usiedli. A po zakończeniu zebrania, wielu Żydów i pobożnych prozelitów towarzyszyło Pawłowi i Barnabie, którzy w rozmowie starali się zachęcić ich do wytrwania w łasce Boga. W następny szabat zebrało się niemal całe miasto, aby słuchać słowa Bożego. Gdy Żydzi zobaczyli tłumy, ogarnęła ich zazdrość, i bluźniąc sprzeciwiali się temu, co mówił Paweł. Wtedy Paweł i Barnaba powiedzieli odważnie: „Należało głosić słowo Boże najpierw wam. Skoro jednak odrzucacie je i sami uznajecie się za niegodnych życia wiecznego, zwracamy się do pogan. Tak bowiem nakazał nam Pan: Ustanowiłem Cię światłością dla pogan, abyś był zbawieniem aż po krańce ziemi". Poganie, słysząc to, radowali się i wielbili słowo Pańskie, a wszyscy, przeznaczeni do życia wiecznego, uwierzyli. Słowo Pańskie rozszerzało się po całym kraju. Ale Żydzi podburzyli pobożne a wpływowe niewiasty i znaczniejszych obywateli, wzniecili prześladowanie Pawła i Barnaby i wyrzucili ich ze swoich granic. A oni otrząsnąwszy na nich pył z nóg, przyszli do Ikonium, a uczniów napełniało wesele i Duch Święty (Dz 13, 15.43-52).

Wieści dotyczące początków Kościoła, opisane w Dziejach Apostolskich, mogą wywoływać w nas mieszane uczucia. Z jednej strony wspólnota młodego Kościoła rozkwita jak sady na wiosnę, poganie nawracają się, cieszą i wielbią słowo Pańskie, które rozszerza się na cały kraj, z drugiej jednak jest mroczna strona tej historii. Żydom niezwykle trudno przyjąć Dobrą Nowinę. Zazdroszczą rosnącej w liczbę grupie chrześcijan. Sprzeciwiają się temu,

co mówi Paweł, bluźnią. Ale właśnie to odwrócenie się od nauki Apostołów otwiera inne, szerokie horyzonty. Dobra Nowina niczym ogień po ściernisku biegnie w świat pogański. Prześladowania też wydają się sprzyjać Kościołowi. Ucieczka przed nimi czyni pierwszych chrześcijan bardzo mobilnymi. Na każdym kroku to, co jest uciskiem i cierpieniem, zyskuje drugą twarz. Staje się przydatne, ba, nawet napędzające dynamizm młodego Kościoła.

Gdy na skutek działań pobożnych i wpływowych niewiast podburzonych przez Żydów wzmaga się prześladowanie Pawła i Barnaby i zostają oni wyrzuceni z kraju, czynią niezwykły gest, którego nauczył ich Chrystus: strząsają pył z nóg. Możemy go odczytywać na różne sposoby – „nie chcemy mieć z wami nic wspólnego, nie zabieramy od was niczego, nawet pyłu na nogach", ale ten gest może również oznaczać: „Nie ma w nas żadnego osadu po spotkaniu z wami. Wasza niechęć nie przyklei się do naszych serc. Nie będzie w nas żadnego kwasu, żadnej traumy. Nie będziemy w sobie pielęgnowali jakiejkolwiek urazy, która z czasem mogłaby się zamienić w narastającą wrogość, a może nawet pragnienie odwetu. Nic z tych rzeczy. Załatwiamy to u samego początku, kiedy poczucie krzywdy jest jeszcze jak pyłek. Strząsamy go z siebie i pozostajemy wolni". I jak zaznacza autor Dziejów Apostolskich: „[...]uczniowie byli pełni wesela i Ducha Świętego".

Jakże praktyczne zachowanie, które może się przydać każdemu z nas. W różnych sytuacjach konfliktowych, gdy czujemy się zaatakowani, zawsze możemy strzepnąć pył z butów na znak uwolnienia

serca od wszelkiego osadu, który mógłby w nas pracować i z czasem zatruć serce. Ważne, by zrobić to u samego początku, gdy uraza jest jeszcze pyłkiem.

Co czułem w sytuacjach, gdy zrezygnowałem z pielęgnowania urazy i od razu strzepnąłem z siebie osad poczucia krzywdy? Co takie zachowanie wniosło do mojego życia?

POWSZECHNY, CZYLI RÓŻNORODNY

W Listrze mieszkał pewien człowiek o bezwładnych nogach, kaleka od urodzenia, który nigdy nie chodził. Słuchał on przemówienia Pawła; ten spojrzał na niego uważnie i widząc, że ma wiarę potrzebną do uzdrowienia, zawołał głośno: „Stań prosto na nogach!". A on zerwał się i zaczął chodzić. Na widok tego, co uczynił Paweł, tłumy zaczęły wołać po likaońsku: „Bogowie przybrali postać ludzi i zstąpili do nas!". Barnabę nazywali Zeusem, a Pawła Hermesem, gdyż głównie on przemawiał. A kapłan Zeusa, który miał świątynię przed miastem, przywiódł przed bramę woły i przyniósł wieńce, i chciał razem z tłumem złożyć ofiarę. Na wieść o tym apostołowie, Barnaba i Paweł, rozdarli szaty i rzucili się w tłum, krzycząc: „Ludzie, dlaczego to robicie! My także jesteśmy ludźmi, podobnie jak wy podlegamy cierpieniom. Nauczamy was, abyście odwrócili się od tych marności do Boga żywego, który stworzył niebo i ziemię, i morze, i wszystko, co w nich się znajduje. Pozwolił On w dawnych czasach, że każdy naród chodził własnymi drogami, ale nie przestawał dawać o sobie świadectwa, czyniąc dobrze. Zsyłał wam deszcz z nieba i urodzajne lata, karmił was i radością napełniał wasze serca". Tymi słowami ledwie powstrzymali tłumy od złożenia im ofiary. Tymczasem nadeszli Żydzi z Antiochii i z Ikonium. Podburzyli tłum, ukamienowali Pawła i wywlekli go za miasto, sądząc, że nie żyje. Kiedy go jednak otoczyli uczniowie, podniósł się i wszedł do miasta, a następnego dnia udał się razem z Barnabą do Derbe. W tym mieście głosili Ewangelię i pozyskali wielu uczniów, po czym wrócili do Listry, do Ikonium i do Antiochii, umacniając dusze uczniów, zachęcając do wytrwania w wierze,

bo przez wiele ucisków trzeba nam wejść do królestwa Bożego. Kiedy w każdym Kościele wśród modlitw i postów ustanowili im starszych, polecili ich Panu, w którego uwierzyli. Potem przeszli przez Pizydię i przybyli do Pamfilii. Nauczali w Perge, zeszli do Attalii, a stąd odpłynęli do Antiochii, gdzie za łaską Bożą zostali przeznaczeni do dzieła, które wykonali. Kiedy przybyli i zebrali [miejscowy] Kościół, opowiedzieli, jak wiele Bóg przez nich zdziałał i jak otworzył poganom podwoje wiary. I dość długi czas spędzili wśród uczniów (Dz 14, 8-28).

Dzieje Apostolskie przynoszą nam obraz ostatniego etapu pierwszej podróży Barnaby i Pawła, kiedy zrozumieli dzieło, do którego przeznaczył ich Bóg – „[...] otworzył poganom drzwi wiary". Jak to się stało? Otóż w czasie szabatu w Antiochii Pizydyjskiej zgromadziło się prawie całe miasto. Paweł stwierdził, że zbawienie nie jest zależne od zachowywania prawa. Wówczas gorliwi zwolennicy przepisów, do których swego czasu zaliczał się również sam Paweł, wzniecili prześladowania i podążyli za nim do Ikonium i dalej w Listrze chcieli go ukamienować (tym razem zamach na życie apostoła się nie powiódł, ale ostatecznie dokonali tego Żydzi z Antiochii i z Ikonium). Wszystko dzieje się jak w dobrym filmie obfitującym w wartkie zmiany akcji, gdyż po raz pierwszy Barnaba i Paweł, będąc w Listrze, nie przemawiali w synagodze, gdzie gromadzili się Żydzi, helleniści i wszyscy ich sympatycy, ale na otwartej przestrzeni, na miejskim placu. Przysłuchiwali się im nawet kapłani świątyni Zeusa. Apostołowie zostali prawdziwie uwielbieni. Kapłani pełni uniesienia i zachwytu chcieli złożyć im ofiarę z wołów i wieńców, jak gdyby

byli Zeusem i Hermesem. Okazało się, że Bóg jest prawdziwie ojcem wszystkich ludzi bez względu na rasę, kulturę, a nawet religię. Po tak życzliwym przyjęciu Paweł nie musiał uciekać z Listry, ale opuścił ją w pokoju i udał się, by ewangelizować Derbe, a potem wrócić do Ikonium, Listry i Antiochii, gdzie wraz ze swoimi towarzyszami opowiedział wspólnocie Kościoła, czego Bóg dokonał. A co się właściwie stało? Otóż Kościół przestał być monolitem. Do wspólnoty weszli już nie tylko Żydzi i helleniści, ale również poganie. Kościół zaczął więc mierzyć się z problemem inkulturacji. Stał się powszechny, ale jednocześnie bardzo kolorowy. Dołączyli do niego ludzie o zupełnie różnych korzeniach kulturowych i religijnych, o innej wrażliwości. Jest to moment przełomowy i niezwykle ważny, a może się okazać, że również bardzo inspirujący. Możliwe, że właśnie ten fragment Dziejów Apostolskich pomoże nam zrozumieć, że Kościół powszechny jest niezwykle pojemny i znajdzie się w nim miejsce zarówno dla „Tygodnika Powszechnego", jak i dla „Naszego Dziennika", może to rodzić duże napięcia, a nawet doprowadzić do wrzenia w katolickim tyglu.

Jak sobie radzę ze współczesną różnorodnością Kościoła, z tym że jest w nim miejsce dla różnych grup – od czytelników „Tygodnika Powszechnego" do słuchaczy Radia Maryja?

INKULTURACJA

Niektórzy przybysze z Judei nauczali braci: „Jeżeli się nie poddacie obrzezaniu według zwyczaju Mojżeszowego, nie możecie być zbawieni". Kiedy doszło do niemałych sporów i zatargów między nimi a Pawłem i Barnabą, postanowiono, że Paweł i Barnaba, i jeszcze kilku spośród nich uda się w sprawie tego sporu do Jerozolimy, do Apostołów i starszych. Wtedy Apostołowie i starsi wraz z całym Kościołem postanowili wybrać ludzi przodujących wśród braci: Judę, zwanego Barsabas, i Sylasa i wysłać do Antiochii razem z Barnabą i Pawłem. Posłali przez nich pismo tej treści: „Apostołowie i starsi bracia przesyłają pozdrowienie braciom pogańskiego pochodzenia w Antiochii, w Syrii i w Cylicji. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że niektórzy bez naszego upoważnienia wyszli od nas i zaniepokoili was naukami, siejąc zamęt w waszych duszach, postanowiliśmy jednomyślnie wybrać mężów i wysłać razem z naszymi drogimi: Barnabą i Pawłem, którzy dla imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa poświęcili swe życie. Wysyłamy więc Judę i Sylasa, którzy powtórzą wam ustnie to samo. Postanowiliśmy bowiem, Duch Święty i my, nie nakładać na was żadnego ciężaru oprócz tego, co konieczne. Powstrzymajcie się od ofiar składanych bożkom, od krwi, od tego, co uduszone, i od nierządu. Dobrze uczynicie, jeżeli powstrzymacie się od tego. Bywajcie zdrowi!" (Dz 15, 1-2.22-29).

Kościół ukazany w samym sercu Dziejów Apostolskich staje przed kolejnym poważnym dylematem: jak w obliczu Ewangelii ma wyglądać ciągłość pomiędzy chrześcijaństwem a judaizmem? Czy aby stać się członkiem Kościoła, należy wpierw

stać się żydem? Czy jest konieczne obrzezanie i przestrzeganie prawa Mojżeszowego, czy wystarczy sama wiara w Chrystusa? Te pytania przekładały się też na codzienne życie i wzajemny szacunek pomiędzy obiema grupami. Zdarzało się, że chrześcijanie, zarówno żydowskiego, jak i pogańskiego pochodzenia, zasiadali do wspólnego posiłku. I jak tu razem jeść, zachowując zasady różnych kultur? Właśnie na tym polega nowość Chrystusa, który burzy mur oddzielający żydów od pogan. On w sobie samym stanowi jednego, nowego człowieka jednoczącego wszystkich ludzi. Nie ma już poganina, żyda, Greka, jest człowiek borykający się ze swym grzechem i Chrystus – Odkupiciel każdego.

Problemy inkulturacyjne są aktualne także dla nas. Nie dotyczą tylko Kościoła wchodzącego w różne cywilizacje – azjatyckie, afrykańskie czy amerykańskie. Nie wystarczy inkulturować na płaszczyźnie cywilizacyjnej i obyczajowej, ale potrzebna jest też inkulturacja do współczesności. Dzięki temu będziemy mogli przeżywać naszą aktualną historię w Bogu, inaczej grozi nam pułapka fundamentalizmu. Wbrew pozorom pierwszy sobór w Jerozolimie i ostatni II Sobór Watykański leżą dość blisko siebie. Inkulturacja we współczesność, w dużej mierze odbiegającą od mentalności chrześcijańskiej, to zupełnie nowe zadanie, z którym Kościół do tej pory nie musiał się mierzyć. Bo przecież jeszcze nigdy na taką skalę Ewangelia nie była głoszona ludziom żyjącym bez jakiegokolwiek boga i jego prawa. Ta nowa sytuacja to antypody wystąpienia Pawła na Aeropagu. On miał przed sobą ludzi bardzo religijnych, którzy

stawiali pomniki swoim bogom. Łatwo mu było wejść w ich kulturę i dostrzec jej wartość. Obecnie głosimy Ewangelię światu, który nie tylko usunął jakichkolwiek bogów, ale nawet cokoły, na których stali. W jaki sposób opowiedzieć o Bogu komuś, kto nawet nie używa takiego pojęcia? Jak powinna wyglądać inkulturacja do współczesności? To poważne pytania.

Jak radzę sobie w sytuacjach, gdy próbuję opowiedzieć o Bogu osobie pozbawionej większych potrzeb religijnych, która nadto nie używa pojęcia boga?

MOGĘ
CIESZYĆ SIĘ
ŻYCIEM
I NIE MUSZĘ
CZUĆ SIĘ
WINNY!

ODWAGA RADOŚCI

Wyśpiewuj, Córo Syjońska! Podnieś radosny okrzyk, Izraelu! Ciesz się i wesel z całego serca, Córo Jeruzalem! Oddalił Pan wyroki na ciebie, usunął twego nieprzyjaciela: król Izraela, Pan, jest pośród ciebie, nie będziesz już bała się złego. Owego dnia powiedzą Jerozolimie: „Nie bój się, Syjonie! Niech nie słabną twe ręce!". Pan, twój Bóg jest pośród ciebie, Mocarz – On zbawi, uniesie się weselem nad tobą, odnowi swą miłość, wzniesie okrzyk radości (So 3, 14-17).

Słowa z Księgi Sofoniasza nie są dyskretnym zaproszeniem do radości, ale mocnym wezwaniem: wyśpiewuj, podnieś radosny okrzyk, ciesz się, wesel z całego serca. Tu nie chodzi o subtelną, ukrytą, wewnętrzną radość, czy o taki katolicki pogodny smuteczek. To ma być gejzer radości! A podstawowym jej powodem jest fakt, że Pan znajduje się pośród nas i nic nam nie grozi.

Skąd zatem nasze opory w radowaniu się „pełną gębą"? Może boimy się, że zapeszymy? Studenci nie cieszą się z zaliczenia, bo przecież przyjdą kolejne egzaminy i nie wiadomo, jak będzie, zatem lepiej z powagą i dystansem podejść do sukcesów. Mąż obawia się rozradować swoją żoną, bo a nuż za tydzień straci ona zapał do działań gastronomicznych albo przestanie się dobrze ubierać. Zatem lepiej się przedwcześnie nie ekscytować. Obawa, że zapeszymy, w rzeczywistości jest zupełnie irracjonalna. Przecież nasze myśli nie mają żadnego wpływu na rzeczywistość, budują jednak nasze samopoczucie, a to już udziela się innym. Proponuję zatem, aby na

sporej kartce dużymi literami napisać: „Mogę cieszyć się życiem i nie muszę czuć się winny!”.

A z czego się cieszyć? To proste, wystarczy się tylko rozejrzeć dookoła: chmury goniące po niebie, piękny zachód słońca, mróz szczypiący w policzki, sąsiadka, która zawsze się kłania i mówi coś miłego... I mógłbym tak wymieniać bez końca. „Ale...” – zawsze będzie jakieś „ale”... Tyle że ten fragment nie mówi o „ale”, tylko o radości. „Pan jest z nami” i to powinno nam wystarczyć. Jak już wspomniałem, chodzi o radość okazywaną bez wahania i bez skrupułów, „pełną gębą”. Kiedyś słyszałem, jak jedna ze studentek po przyjeździe do domu, witając się z matką, wypaliła: „Mamo, gdybyś kiedyś ucieszyła się na mój przyjazd tak jak nasz pies”. A ten faktycznie szalał z radości. Zatem uczmy się od zwierząt.

Kiedy i w jakiej sytuacji ostatnio ucieszyłem się i okazałem swoją radość? Co mi w tym pomogło?

TEOFIL

Pierwszą Księgę napisałem, Teofilu, o wszystkim, co Jezus czynił i czego nauczał od początku aż do dnia, w którym udzielił przez Ducha Świętego poleceń Apostołom, których sobie wybrał, a potem został wzięty do nieba. Im też po swojej męce dał wiele dowodów, że żyje: ukazywał się im przez czterdzieści dni i mówił o królestwie Bożym. A podczas wspólnego posiłku kazał im nie odchodzić z Jerozolimy, ale oczekiwać obietnicy Ojca: „Słyszeliście o niej ode Mnie – [mówił] – Jan chrzcił wodą, ale wy wkrótce zostaniecie ochrzczeni Duchem Świętym". Zapytywali Go zebrani: „Panie, czy w tym czasie przywrócisz królestwo Izraela?". Odpowiedział im: „Nie wasza to rzecz znać czasy i chwile, które Ojciec ustalił swoją władzą, ale gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi". Po tych słowach uniósł się w ich obecności w górę i obłok zabrał Go im sprzed oczu. Kiedy uporczywie wpatrywali się w Niego, jak wstępował do nieba, przystąpili do nich dwaj mężowie w białych szatach. I rzekli: „Mężowie z Galilei, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo? Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba" (Dz 1, 1-11).

Niektórzy uważają, że jednym z najważniejszych życiowych zadań każdego człowieka jest znalezienie drogi do swojego serca, do tego tajemniczego miejsca, gdzie przecinają się wszystkie linie naszej ludzkiej egzystencji: intelekt, uczuciowość, temperament, zdolności, wrażliwość na piękno, seksualność, historia życia – słowem wszystko, czym jesteśmy. Ale często, wchodząc w głąb siebie, odnajdujemy ciemność

i pustkę. I jest to całkiem sensowne odkrycie. Pustka jest przestrzenią do przyjęcia kogoś, a ciemność jest oczekiwaniem na światło. Doświadczenie to mówi nam, że źródła światła nie mamy w sobie, że ono przychodzi z zewnątrz. Dlatego św. Łukasz w pierwszym zdaniu Dziejów Apostolskich, mówiąc o swej Ewangelii, odwołuje się do pierwszego słowa Biblii berešit – na początku. Zauważa, że u początku wszystkiego leżą czyny i nauczanie Jezusa. Są źródłem, z którego wszystko wypływa. Jan posługuje się jeszcze bardziej obrazowym stwierdzeniem, że światłość w ciemności świeci. Ciemność, pustka, które w sobie nosimy, są oczekiwaniem na to, co ma przyjść z zewnątrz, na Chrystusa będącego światłością. To on rozprasza nasze ciemności i pozwala nam zrozumieć siebie i cały nasz los. Oto początek wszystkiego.

Pierwsze zdanie Dziejów Apostolskich skierowane jest do Teofila, który nie wiadomo, czy był realną postacią, czy też symbolizuje każdego czytelnika. Imię Teofil jest wieloznaczne. Z jednej strony oznacza tego, który jest ukochany przez Boga (każdy, kto czyta Pismo Święte, jest właśnie takim „Teofilem"), jednakże w miarę obcowania ze słowem Bożym odkrywa, że i w nim wzbiera miłość, że nie sposób nie odpowiedzieć miłością na Tamtą miłość – i to jest drugie znaczenie tego imienia. W nim zawarta jest istota chrześcijaństwa – wzajemność. Jestem kochany i chcę kochać. Ta zależność leży u początku, jest źródłem, światłem, które rozprasza ciemności.

Jak wpływa na mnie odkrywanie wzajemności, czyli tej zależności, że jednocześnie kocham i jestem kochany?

OBCY TEŻ ZROZUMIE

Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić. Przebywali wtedy w Jerozolimie pobożni Żydzi ze wszystkich narodów pod słońcem. Kiedy więc powstał ów szum, zbiegli się tłumnie i zdumieli, bo każdy słyszał, jak przemawiali w jego własnym języku. „Czyż ci wszyscy, którzy przemawiają, nie są Galilejczykami?" – mówili pełni zdumienia i podziwu. „Jakżeż więc każdy z nas słyszy swój własny język ojczysty? – Partowie i Medowie, i Elamici, i mieszkańcy Mezopotamii, Judei oraz Kapadocji, Pontu i Azji, Frygii oraz Pamfilii, Egiptu i tych części Libii, które leżą blisko Cyreny, i przybysze z Rzymu, Żydzi oraz prozelici, Kreteńczycy i Arabowie – słyszymy ich głoszących w naszych językach wielkie dzieła Boże" (Dz 2, 1-11).

Mamy dwa wyobrażenia Ducha Świętego: szum wiatru i ogień. Szum wiatru pochodzi od Boga i jest podobny do tchnienia życia, jakim obdarzył On człowieka u samego początku. Ten dźwięk przypomina o Jego słowie, które rozlega się przez całą historię zbawienia, i o Ewangelii, o Logosie, w którym On mieszka i poprzez które nam się udziela. To słowo staje się Duchem, gdy je słyszymy, Tchnienie Boże nas wypełnia.

Ogień pojawia się nad każdym z Apostołów w postaci, nomen omen, ognistych języków. Przywodzi on na myśl rozpalone słońce, które daje życie

i oświetla naszą egzystencję, w jego blasku wszystko dojrzewa i przynosi owoce.

Jeden ogień Ducha świętego rozdziela się i schodzi na każdego z osobna. Duch jest jeden, a spotkanie z Nim, choć odbywa się w zbiorowości, jest jednocześnie bardzo osobiste.

Do czego to wszystko zmierza? Nie chodzi tu tylko o wewnętrzne przeżycie małej grupki najbliższych uczniów Jezusa zorganizowane w celu ich pokrzepienia i umocnienia. To wydarzenie natychmiast wylewa się na zewnątrz w postaci fenomenu komunikacji. Uczniowie zostają uzdolnieni do mówienia obcymi językami. Znika jakakolwiek hermetyczność. Przychodzący z innych obcych kultur i tradycji mogą usłyszeć Dobrą Nowinę we własnym języku. Autor Dziejów Apostolskich wymienia nawet z imienia zebraną plejadę narodów. Z tej wyliczanki łatwo odczytać jego zaskoczenie i zdziwienie. A jest się czemu dziwić, bo mamy do czynienia z wielkim cudem powszechności Dobrej Nowiny. Można ją przetłumaczyć na każdy język, na każdą kulturę. Ewangelia z całym swoim przesłaniem jest dostępna dla wszystkich. Nie zamyka się w obrębie jednej wrażliwości intelektualnej, filozoficznej czy estetycznej. Dzięki działaniu Ducha Świętego nie tylko przeskakuje pozorną obcość, ale często potrafi wykorzystać indywidualną wrażliwość człowieka.

Jak Duch Święty pomógł mi przyjąć różne fragmenty Ewangelii, które na pierwszy rzut oka wydawały się obce mojej wrażliwości?

NIE DO WYOBRAŻENIA

Owszem, nadchodzi godzina, w której każdy, kto was zabije, będzie sądził, że oddaje cześć Bogu. Będą tak czynić, bo nie poznali ani Ojca, ani Mnie. Ale powiedziałem wam o tych rzeczach, abyście, gdy nadejdzie ich godzina, pamiętali o nich, że Ja wam to powiedziałem. Tego jednak nie powiedziałem wam od początku, ponieważ byłem z wami. Teraz zaś idę do Tego, który Mnie posłał, a nikt z was nie pyta Mnie: „Dokąd idziesz?". Ale ponieważ to wam powiedziałem, smutek napełnił wam serce. Jednakże mówię wam prawdę: Pożyteczne jest dla was moje odejście. Bo jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie przyjdzie do was. A jeżeli odejdę, poślę Go do was. On zaś, gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie. O grzechu – bo nie wierzą we Mnie; o sprawiedliwości zaś – bo idę do Ojca i już Mnie nie ujrzycie; wreszcie o sądzie – bo władca tego świata został osądzony. Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [jeszcze] znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy. Bo nie będzie mówił od siebie, ale powie wszystko, cokolwiek usłyszy, i oznajmi wam rzeczy przyszłe. On Mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie i wam objawi. Wszystko, co ma Ojciec, jest moje. Dlatego powiedziałem, że z mojego weźmie i wam objawi (J 16, 2-15).

Jezus w 16 rozdziale Ewangelii według św. Jana mówi: „Wszystko, co ma Ojciec, jest moje". Syn i Ojciec stanowią jedno, posiadają to samo życie, tę samą chwałę, tę samą miłość i tę samą pasję zbawienia świata. Oczywiście posługujemy się tu antropomorfizacją, ale trudno jest nam inaczej myśleć o Bogu i o Trójcy. Jeśli próbujemy włączyć naszą wyobraźnię,

by zrozumieć tajemnicę Boga w Trzech Osobach, wypada to śmiesznie. Przypomina rozmowę bliźniaków w łonie matki – jeden z nich mówi: „Słyszałeś? Podobno tam gdzieś jest wielka mama, która żyje w wielkim jasnym świecie, zupełnie innym od naszego". Na co drugi odpowiada: „To niemożliwe. Inny świat nie może istnieć. Przecież jeszcze nikt stamtąd się do nas nie dostał".

Podobnie było z Albertem Einsteinem, który wykładając studentom teorię przestrzeni n-wymiarowych, z przerażeniem zauważył, że ci próbują je sobie wyobrazić. Opowiedział im wtedy bajkę o „płaszczakach". Otóż w idealnie płaskim świecie, gdzie wszystko było płaskie jak płaski jest cień, profesor płaszczak swym idealnie płaskim studentom idealnie płaską kredą na równie płaskiej tablicy, wyprowadził wzór na pole i powierzchnię kuli. Z wielkim trudem mogli oni go zrozumieć, ale nigdy nie byli sobie w stanie tego wyobrazić.

Słowa Jezusa możemy, choć nie bez kłopotów, zrozumieć, ale – broń Boże – nie próbujmy sobie wyobrażać tego, o czym mówi, bo będziemy śmieszni jak bliźniaki w łonie matki albo „płaszczaki" wpatrzone we wzór na pole kuli.

Mimo wszystko Chrystus zapowiada, że Duch oznajmia nam niezwykłą tajemnicę. W tym fragmencie trzykrotnie pojawia się ten sam czasownik – ănăggĕllō oznaczający „powtarzać", „ponownie oznajmiać", „interpretować". Czyżby owo powtórzenie wynikało z tego, że mimo piętrzących się trudności tajemnica Trójcy powinna być wciąż na nowo interpretowana? Czy wraz z rozwojem naszej

cywilizacji i możliwości intelektualnych winniśmy szukać jej nowego zrozumienia? Zatem to, że nie możemy sobie wyobrazić istnienia Trzech Osób w jedności, wcale nie musi oznaczać, abyśmy mieli zaprzestać prób zrozumienia tego fenomenu i jego nowych interpretacji.

Jak na przestrzeni mojego życia zmienia się moje rozumienie Trójcy Świętej?

JEDNI DRUGIM...

Wtedy ktoś z tłumu rzekł do Niego: „Nauczycielu, powiedz mojemu bratu, żeby się podzielił ze mną spadkiem". Lecz On mu odpowiedział: „Człowieku, któż Mię ustanowił sędzią albo rozjemcą nad wami?". Powiedział też do nich: „Uważajcie i strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś opływa [we wszystko], życie jego nie jest zależne od jego mienia". I opowiedział im przypowieść: „Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał sam w sobie: Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów. I rzekł: Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra. I powiem sobie: Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i używaj! Lecz Bóg rzekł do niego: «Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?». Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem" (Łk 12, 13-21).

Przypowieść z 12 rozdziału Ewangelii według św. Łukasza o człowieku, któremu obrodziło pole i wybudował spichlerz, była dla mnie przez lata jedną z najtrudniejszych do pojęcia. Czytając ją, nie tylko nie potrafiłem zrozumieć Jezusa, ale również nie byłem w stanie zaakceptować zawartej w tej historii logiki. Odebrałem należyte dobre wychowanie w gospodarnej Wielkopolsce i uważałem, że postępowanie obrotnego rolnika jest godne najwyższej pochwały. Obrodziło mu pole. Co innego mógłby zrobić? Miało się zmarnować? Błyskawicznie zabrał się do roboty. Był świetnie zorganizowany, ciężką, uczciwą pracą wybudował spichlerze, zatroszczył się

o Boże dary. No, Panie Jezu, czego Ty się czepiasz? Dopiero niedawno do mojej świadomości przebiło się rzeczywiste znaczenie tej Ewangelii. Przecież jej sercem są intencje. Tu jest pies pogrzebany! Po co tak naprawdę ten człowiek budował spichlerze? Bo chciał być niezależny, ot co. Niezależny od nikogo i od niczego. Niezależny od ludzi, od kaprysów przyrody, od Boga. Ale czy taki kierunek działań jest faktycznie równią pochyłą? W oczach Jezusa tak. A przecież samodzielność życiowa jest cnotą, nie czymś złym. Po to rodzice wychowują dzieci, aby się stały samodzielne. Musimy jednak pamiętać, że samodzielność to nie to samo, co niezależność. Być może właśnie dlatego, że mylimy te dwa pojęcia, tak wielu z nas wpada w czarną dziurę samotności, a nawet izolacji. Bo jeśli nikogo nie potrzebujemy, jesteśmy absolutnie samowystarczalni, to otwiera się przed nami zimny przestwór samotności. I nieszczęście gotowe. Bo nie ma w nas miejsca na jakąkolwiek wzajemność. A każdy odczuwa potrzebę kochania i bycia kochanym. Nie jesteśmy samowystarczalni. I to jest dobra wiadomość. Pełne spichlerze stają się autostradą do największego nieszczęścia, do samotności opakowanej w sreberko niezależności. Rozpakowujesz taką czekoladkę, a tam – kuku.

Ale czy jest jakaś alternatywa? Co mógł zrobić ów „nieszczęśnik", któremu tak obficie obrodziło pole? Otóż mógł rozdać tym, którym słońce spaliło plony. A jeśli za rok jemu przytrafiłoby się nieszczęście i z jakiegoś powodu pole by nie obrodziło? To wtedy inni by się z nim podzielili i byłoby tak, jak u św. Pawła: „Jedni drugich brzemiona noście". I co, źle by było?

Jak sobie radzę w życiu z pokusą bycia niezależnym?

INTEGRACJA PARADOKSÓW

Gdy dopełnił się czas Jego wzięcia [z tego świata], postanowił udać się do Jerozolimy i wysłał przed sobą posłańców. Ci wybrali się w drogę i przyszli do pewnego miasteczka samarytańskiego, by Mu przygotować pobyt. Nie przyjęto Go jednak, ponieważ zmierzał do Jerozolimy. Widząc to, uczniowie Jakub i Jan rzekli: „Panie, czy chcesz, a powiemy, żeby ogień spadł z nieba i zniszczył ich?". Lecz On odwróciwszy się, zabronił im. I udali się do innego miasteczka. A gdy szli drogą, ktoś powiedział do Niego: „Pójdę za Tobą, dokądkolwiek się udasz!". Jezus mu odpowiedział: „Lisy mają nory i ptaki powietrzne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł oprzeć". Do innego rzekł: „Pójdź za Mną!". Ten zaś odpowiedział: „Panie, pozwól mi najpierw pójść i pogrzebać mojego ojca!". Odparł mu: „Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych, a ty idź i głoś królestwo Boże!". Jeszcze inny rzekł: „Panie, chcę pójść za Tobą, ale pozwól mi najpierw pożegnać się z moimi w domu!". Jezus mu odpowiedział: „Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego" (Łk 9, 51-62).

Z jednej strony chrześcijaństwo jest proste – kilka jasnych stwierdzeń – ale z drugiej to integrowanie paradoksów, gdyż jesteśmy skomplikowani i nie wszystko w lot łapiemy. Do człowieka, który chce natychmiast pójść za Chrystusem, kieruje On ostrzeżenie: nie licz na stabilizację. Życie ze Mną to niewiadoma, to wielka tymczasowość. Ptaki mają gniazda, lisy nory, a my żyjemy w zawieszeniu. Człowiekowi, który chce wypełnić obowiązek grzebania bliskich zmarłych zanim wyruszy w drogę z Mistrzem, Jezus radzi, by nie grzązł w tym, co wobec wielkiego i stałego

planu zbawczego wydaje się chwilową małostką. Jak to zintegrować? O jaki paradoks tu chodzi? Otóż stałość i niezmienność Bożego przesłania, ucieleśniającego się w osobie Chrystusa raz na zawsze zmartwychwstałego, wyrywającego nas z mroku śmierci, spotyka się z galopadą świata, który przyjmuje wciąż nowe formy istnienia. Cywilizacja w coraz szybszym tempie przechodzi w następne stadia. Jak zatem to, co boskie, przeprowadzić przez nieustannie zmieniający się świat, w którym Syn Człowieczy nie ma gdzie na dłużej głowy przytulić? Jak na jego język i mentalność przełożyć stałość Bożego zamysłu? Co jest niezmienne, a co podlega przemianom? To jedno z najważniejszych pytań pastoralnych, z którymi tłuczemy się od ściany do ściany – od sztywnego doktrynalizmu do rozpasanego liberalizmu, od muzealnych kapci po dyfuzję w nowoczesność. Na szczęście co jakiś czas pojawiają się genialne jednostki, które dzięki silnej więzi z Bogiem i ze światem nie wzdychają, nie załamują rąk, jak to kiedyś było dobrze, ale odważnie patrzą w przyszłość i potrafią wskazać nam drogę. Wskakują do galopującego rydwanu cywilizacji, łapią za lejce i próbują skierować powóz historii w sensownym kierunku. A umożliwia im to ich życie mistyczne. Oni kochają i Boga, i świat, nawet ten niezwykle ułomny. Tak właśnie wyglądało w Laskach życie matki Róży Czackiej, o której nie tak dawno zrobiło się głośno dzięki jej beatyfikacji.

Jakie pale stałości i niezmienności wbijam w swoje życie, które pędzi przez nieustannie zmieniający się świat?

CIESZ SIĘ, A KOŚCI TWOJE NABIORĄ ŚWIEŻOŚCI

Radujcie się wraz z Jerozolimą, weselcie się w niej wszyscy, co ją miłujecie! Cieszcie się z nią bardzo wy wszyscy, którzyście się nad nią smucili, ażebyście ssać mogli aż do nasycenia z piersi jej pociech; ażebyście ciągnęli mleko z rozkoszą z pełnej piersi jej chwały. Tak bowiem mówi Pan: „Oto Ja skieruję do niej pokój jak rzekę i chwałę narodów – jak strumień wezbrany. Ich niemowlęta będą noszone na rękach i na kolanach będą pieszczone. Jak kogo pociesza własna matka, tak Ja was pocieszać będę; w Jerozolimie doznacie pociechy. Na ten widok rozraduje się serce wasze, a kości wasze nabiorą świeżości jak murawa. Ręka Pana da się poznać Jego sługom" (Iz 66, 10-14c).

Z radością mamy spore problemy. Często boimy się ucieszyć, by nie zapeszyć. A okazanie radości to już w ogóle wyższa szkoła jazdy. W czasie rekolekcji, po konferencji zjawiła się w zakrystii zadbana pani w średnim wieku i oznajmiła grobowym głosem: – Muszę księdzu powiedzieć, że jestem bardzo radosną kobietą.

Mało mi oczy nie wypadły z wrażenia. Odpowiedziałem z głęboką powagą:

– Chodzi pani o taką radość wewnętrzną...?

– O tak, właśnie – przerwała mi – o taką radość w głębi, tam na dnie serca.

– To tam się chyba nie dokopię – pomyślałem sobie.

Otóż istnieje taki rodzaj radości – katolicka – wewnętrzna, ukryta, nieepatująca, dyskretna... W zasadzie to taki pogodny smuteczek. Zgroza. Przecież

radość możemy okazywać i nie musimy się czuć winni z tego powodu. Zapewne niektórzy czytelnicy pamiętają te czasy, gdy w sklepach nie było nic. Na wszystkie uprzejme pytania typu: „Jest ser, a może masło, a kiełbasa, mąka, makaron...?" ekspedientka odpowiadała szorstkim: „Nie ma!". Zaś na proste pytanie: „A co jest?" stwierdzała co najwyżej: „Ja jestem". Pamiętam pewną wigilię, właśnie w tamtych czasach, kiedy ja i moja siostra z ogromnym zdumieniem zauważyliśmy leżące pod choinką, zapakowane w szary papier, a może w gazetę, i przewiązane papierowym sznurkiem prezenty z naszymi imionami. Połknęliśmy świąteczne potrawy w zastraszającym tempie i rzuciliśmy się do rozpakowywania. Papiery fruwały. Wagonik, wagonik, wagonik, lokomotywa, tory, a wszystko zapakowane osobno, by było więcej radości. Kątem oka zauważyłem siedzącego w fotelu ojca. Łzy mu płynęły po twarzy, a przecież był rasowym poznaniakiem, więc taka reakcja zupełnie mi do niego nie pasowała. Wspiąłem się mu na kolana, chwyciłem rączkami za uszy i spytałem: „Czemu płaczesz?". Odparł: „No bo jak wy się cieszycie, to ja nie mogę".

Jestem głęboko przekonany, że każdy z nas, ciesząc się życiem, rozpakowując z radością każdy kolejny dzień jak prezent od Pana Boga, może wzruszyć Go do łez. Zatem śpieszmy się cieszyć życiem.

Jak okazuję swoją radość?

PSU NA BUDĘ
TEORIA BEZ PRAKTYKI

A oto powstał jakiś uczony w Prawie i wystawiając Go na próbę, zapytał: „Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?”. Jezus mu odpowiedział: „Co jest napisane w Prawie? Jak czytasz?” On rzekł: „Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą swoją mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego„. Jezus rzekł do niego: „Dobrześ odpowiedział. To czyń, a będziesz żył”. Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa: „A kto jest moim bliźnim?”. Jezus, nawiązując do tego, rzekł: „Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął. Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: «Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał». Któryż z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?”. On odpowiedział: „Ten, który mu okazał miłosierdzie”. Jezus mu rzekł: „Idź, i ty czyń podobnie!” (Łk 10, 25-37).

Co zrobić, by osiągnąć zbawienie? To pytanie zadaje pewien człowiek w 10 rozdziale Ewangelii według

św. Łukasza – i z pewnością nie tylko on, ale też wielu z nas. Odpowiedź znajduje się często nie gdzieś daleko za morzami, za górami, ale bardzo blisko, jest na naszych ustach, jest w sercu. Gdy Chrystus pyta tego człowieka, co na temat zbawienia wyczytał w Prawie, ten bez wahania recytuje całą teorię, której się nauczył. Problemy zaczynają się, gdy mamy przejść od teorii do praktyki. Dlatego Izajasz powiedział to piękne zdanie: „Słowo to bowiem jest bardzo blisko ciebie: w twych ustach i w twoim sercu [...],byś je mógł wypełnić". No właśnie, wypełnić. I tu zaczynają się schody. Rodzą się w nas pytania: a zastanówmy się? a co to znaczy? a właściwie, kto jest moim bliźnim? Potrafimy wykreować setki teoretycznych problemów, by oddalić realizację szlachetnej praktyki.

W odpowiedzi Chrystus snuje niezwykle prostą opowieść o trzeźwo myślącym, praktycznym Samarytaninie. Jego zwykła ludzka dobroć skontrastowana zostaje z niezbyt czułą elitą społeczną, która pojawia się przypadkiem, błąkając się jakby bez celu. Pikanterii całemu opowiadaniu dodaje fakt, że Żydzi nie utrzymywali stosunków z Samarytanami. Jednak kluczową treścią przypowieści jest praktyczna dobroć uczynnego człowieka. Miał on czym opatrzyć rany pobitego. Mówiąc językiem współczesnym, miał ze sobą apteczkę i potrafił jej używać, czyli prawdopodobnie był po jakimś kursie pierwszej pomocy. Pomógł na tyle, na ile mógł, bez niepotrzebnego heroizmu, który przewróciłby jego życie do góry nogami i zakłócił planowaną podróż. Jednakże był realistą i wiedział, że nie wszyscy ludzie

odpowiednio wywiązują się ze swoich obowiązków, oddając pobitego pod opiekę gospodarza, zaznaczył, że w drodze powrotnej sprawdzi, czy ten dobrze zajmował się chorym. Jeśli tak, to dopłaci mu za opiekę. Niezwykła roztropność – antypody egzaltacji, krzyku i pustych lamentacji.

Myślę, że tak praktyczna i trzeźwa dobroć może wzruszyć nie tylko ludzi praktycznych. Zatem nic, tylko się uczyć.

Czy na co dzień jestem przygotowany, by w razie zaistniałej potrzeby móc udzielić komuś pomocy (apteczka, kurs pierwszej pomocy, linka holownicza, klemy do akumulatora itp.)?

GOŚCINNOŚĆ

W dalszej ich podróży przyszedł do jednej wsi. Tam pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła Go do swego domu. Miała ona siostrę, imieniem Maria, która siadła u nóg Pana i przysłuchiwała się Jego mowie. Natomiast Marta uwijała się koło rozmaitych posług. Przystąpiła więc do Niego i rzekła: „Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła". A Pan jej odpowiedział: „Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba <mało albo> tylko jednego. Maria obrała najlepszą cząstkę, której nie będzie pozbawiona" (Łk 10, 38-42).

Wszyscy dobrze czujemy się w domach, w których spotyka nas prawdziwa gościnność: zastawiony stół, który jest wyrazem troski o nasze czasami zmęczone ciało i serdeczna, dobrze prowadzona rozmowa, która wyraża zainteresowanie naszą osobą. Wtedy chce nam się żyć, wierzymy, że ludzkość zmierza w dobrym kierunku, a przyszłości świata nic nie grozi. I właśnie z taką gościną spotkał się Jezus w domu swoich przyjaciół – Marii, Marty i Łazarza.

Coś jednak niszczy tę sielankową harmonię, to pretensje, które nie tylko rodzą się w sercu Marty, ale rozlewają się wprost na gościa i domowników. Może to i lepiej, bo dzięki temu mogą wspólnie poszukać rozwiązania. Chrystus nie uważa, że starania Marty były nieistotne. Owszem, mówi o tym, że potrzeba mało albo tylko jednego, ale stwierdzenie to jest wieloznaczne. Może dotyczyć na przykład liczby potraw i być pochwałą skromnego poczęstunku, który nie przysłoni serdecznej rozmowy, ale pozwoli jej

zabłysnąć w samym sercu gościnności. Jedno jest jednak pewne – pretensje mogą pogrzebać nawet najlepiej przygotowaną gościnę, jak i wszelkie nasze działania pełne dobrej woli. Zatem bądźmy czujni.

W jaki sposób świadomie kształtuję gościnność swojego domu?

BRATERSTWO W PIEKIEŁKU

Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znowu pogrążyć w bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: „Abba, Ojcze!". Sam Duch wspiera swym świadectwem naszego ducha, że jesteśmy dziećmi Bożymi. Jeżeli zaś jesteśmy dziećmi, to i dziedzicami: dziedzicami Boga, a współdziedzicami Chrystusa, skoro wspólnie z Nim cierpimy po to, by też wspólnie mieć udział w chwale (Rz 8, 14-17).

Wielu ludzi żyjących w naszej ojczyźnie ma nieodparte wrażenie, że nadeszły czasy walki wszystkich ze wszystkimi. Niektórzy określają to zjawisko mianem „polskiego piekiełka". Starcie odbywa się nie tylko w przestrzeni politycznej, ale na różnych, może wręcz wszystkich poziomach naszej egzystencji. Zwolennicy szczepień są zwalczani przez ruchy temu przeciwne. Propagatorzy jak najszybszego powrotu dzieci do szkół napotykają opór przeciwników widzących w tym zagrożenie dla zdrowia swoich pociech. Jedni uważają za konieczne wyraźne zwiększenie nakładów finansowych na służbę zdrowia, inni przekonują, że najważniejsza jest edukacja i kultura. Nawet w kwestii żywienia entuzjaści diety zdominowanej przez warzywa stawiają czoła orędownikom znaczącego udziału w diecie tłuszczów zwierzęcych. Apologetom większej integracji z Unią Europejską gwałtownie przeciwstawiają się eurosceptycy, widzący największe zło w tym, co napływa do nas ze Starego Kontynentu. W zasadzie w żadnej sprawie nie możemy dojść do konsensusu. I właśnie w takim

kontekście słyszymy słowa z Listu do Rzymian: „Wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi". Papież Franciszek w ostatniej encyklice *Fratelli Tutti* stwierdził, że: „Różne religie, wychodząc z uznania wartości każdej osoby ludzkiej jako stworzenia, powołanego do bycia dzieckiem Bożym, wnoszą cenny wkład w budowanie braterstwa i obronę sprawiedliwości w społeczeństwie". Jak my – chrześcijanie – chcemy budować to braterstwo w Polsce? Jaką ma ono dla nas wartość?

Co robię, by przerzucać mosty między zwaśnionymi?

RESZTA

Wiara zaś jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy. Dzięki niej to przodkowie otrzymali świadectwo. Przez wiarę ten, którego nazwano Abrahamem, usłuchał wezwania Bożego, by wyruszyć do ziemi, którą miał objąć w posiadanie. Wyszedł, nie wiedząc, dokąd idzie. Przez wiarę przywędrował do Ziemi Obiecanej, jako ziemi obcej, pod namiotami mieszkając z Izaakiem i Jakubem, współdziedzicami tej samej obietnicy. Oczekiwał bowiem miasta zbudowanego na silnych fundamentach, którego architektem i budowniczym jest sam Bóg. Przez wiarę także i sama Sara, mimo podeszłego wieku, otrzymała moc poczęcia. Uznała bowiem za godnego wiary Tego, który udzielił obietnicy. Przeto z człowieka jednego, i to już niemal obumarłego, powstało potomstwo tak liczne, jak gwiazdy niebieskie, jak niezliczony piasek, który jest nad brzegiem morskim. W wierze pomarli oni wszyscy, nie osiągnąwszy tego, co im przyrzeczono, lecz patrzyli na to z daleka i pozdrawiali, uznawszy siebie za gości i pielgrzymów na tej ziemi. Ci bowiem, co tak mówią, okazują, że szukają ojczyzny. Gdyby zaś tę wspominali, z której wyszli, znaleźliby sposobność powrotu do niej. Teraz zaś do lepszej dążą, to jest do niebieskiej. Dlatego Bóg nie wstydzi się nosić imienia ich Boga, gdyż przysposobił im miasto. Przez wiarę Abraham, wystawiony na próbę, ofiarował Izaaka, i to jedynego syna składał na ofiarę, on, który otrzymał obietnicę, któremu powiedziane było: Z Izaaka będzie dla ciebie potomstwo. Pomyślał bowiem, iż Bóg mocen wskrzesić także umarłych, i dlatego odzyskał go, jako podobieństwo [śmierci i zmartwychwstania Chrystusa] (Hbr 11, 1-2.8-19).

Motyw „reszty Izraela" kilkakrotnie powtarza się na kartach Starego Testamentu. Z licznego ludu została garstka ocalonych, którą Bóg wyprowadza z niewoli i odbudowuje z niej naród wybrany. Do tego odwołuje się także tajemniczy autor Listu do Hebrajczyków: „Przeto z człowieka jednego, i to już niemal obumarłego, powstało potomstwo tak liczne jak gwiazdy na niebie, jak niezliczone ziarnka piasku..." Obietnice te odnoszą się nie tylko do wydarzeń historycznych, lecz także spełniają się w węższej perspektywie, jak choćby u Abrama. Czy to proroctwo może również spełnić się w życiu każdego z nas? Zapewne znamy różne mroczne sytuacje, gdy wydawało się, że wszystko już przegrane, a statek życia w czasie rozszalałej burzy nieuchronnie rozbije się o wysoki klif. Aż tu nagle pojawia się jakaś zatoczka albo burza odpuszcza i z resztek nadziei, które cudem ocalały, odradza się życie i przynosi owoce dojrzałe, słodkie, zdatne pokrzepić wszystkich dookoła.

Wiele lat temu studenci przyprowadzili do duszpasterstwa młodego chłopaka, którego spotkali gdzieś na Pomorzu. Był silny, krzepki, ponury, groźny i wystraszony. Kontakt z nim okazał się dość trudny. Nie mieliśmy odpowiednich warunków, by mu pomóc, mimo tego zamieszkał w małym pokoiku, gdzie stało ksero, na sześciu metrach kwadratowych z niewielkim okienkiem. Żeby skorzystać z toalety, musiał schodzić piętro niżej, dwa razy w tygodniu przychodził do mnie się kąpać (sam mieszkałem kątem na sąsiedniej plebani). Przez pierwsze tygodnie bardzo rzadko wychodził z pokoju. Jedzenie zostawialiśmy mu pod drzwiami. Znikało. Z czasem w kuchni

zaczęły pojawiać się ślady jego nocnej obecności. Zdobyłem kontakt do jego siostry. Ostrzegła mnie, że jest agresywny, że wąchał klej w dzieciństwie i to mu tak wypaliło mózg, że zostały w nim tylko resztki zdrowego rozsądku. Po kilku miesiącach zaczął pojawiać się w kuchni za dnia. W kolejnych tygodniach przychodził nawet na mszę. Okazało się, że ma kłopoty ze wzrokiem. Wysłaliśmy go do okulisty, kupiliśmy okulary i trochę lepszej odzieży. Dziewczyny zaczęły się nim interesować i pod ich wpływem szybko nauczył się grzecznej rozmowy. Wszyscy odkrywali w nim jakiś ukryty urok. Pewnego dnia zniknął bez słowa. Po kilku latach nieoczekiwanie spotkałem jego siostrę. Powiedziała krótko: „Ocalony. Na tych resztkach zdrowego rozsądku rośnie jego rodzina".

Jak w moim życiu lub życiu moich znajomych z resztek dobra Bóg odbudowywał całe życie?

PARAGRAFEM PO ŁAPACH

[...] a zapomnieliście o upomnieniu, z jakim się zwraca do was, jako do synów: Synu mój, nie lekceważ karania Pana, nie upadaj na duchu, gdy On cię doświadcza. Bo kogo miłuje Pan, tego karze, chłoszcze zaś każdego, którego za syna przyjmuje. Trwajcież w karności! Bóg obchodzi się z wami jak z dziećmi. Jakiż to bowiem syn, którego by ojciec nie karcił? Wszelkie karcenie na razie nie wydaje się radosne, ale smutne, potem jednak przynosi tym, którzy go doświadczyli, błogi plon sprawiedliwości. Dlatego wyprostujcie opadłe ręce i osłabłe kolana! Proste czyńcie ślady nogami, aby kto chromy nie zbłądził, ale był raczej uzdrowiony (Hbr 12, 5-7.11-13).

Stare żydowskie przysłowie głosi: „Bij swego syna trzy razy dziennie, ty nie wiesz dlaczego, on wie". Średni dowcip, ale jest w nim pewna słuszność. Do podobnej mądrości odwołuje się autor Listu do Hebrajczyków: „Bo kogo miłuje Pan, tego karci, chłoszcze zaś każdego, którego za syna przyjmuje". I mimo że zdanie to brzmi nie tylko anachronicznie, a wręcz skandalicznie, to jednak nadal będę się upierał, że ma w sobie sporą wartość.

Otóż nasza cywilizacja coraz pewniejszym, bardziej zamaszystym krokiem zmierza przez historię ze stanowczym przekonaniem, że człowieka nie należy, a wręcz nie wolno kształtować (czytaj: wychowywać), gdyż jest to zamach na jego wolność i prawo do samostanowienia. Słychać głosy, że szkoła nie powinna wychowywać – ma jedynie uczyć, a w sferze wychowania pozostać bezstronna. Zapewne kryje się za tym – skądinąd słuszne – przekonanie, że

wychowanie łączy się z hierarchią wartości, a tę przecież każdy ma inną. Z podobnych powodów przedszkola też winny zaniechać wychowania, a jedynie zapewnić bezpieczną, zdrową opiekę i ewentualnie warunki do dobrej, edukującej zabawy. Wychowanie nie jest potrzebne, bo stworzymy doskonałe prawo, które uniemożliwi człowiekowi zachowania dla innych groźne lub niebezpieczne. Wobec tak dużego zaufania do przepisów nie musimy się już troszczyć o człowieka, ten może sobie być, jaki chce. Nie będzie mógł źle postępować, bo jak tylko to zrobi – zaraz dostanie paragrafem po łapach.

Propozycja płynąca z Biblii jest zupełnie inna. Najważniejsze to ukształtować dobrego człowieka. Wysiłek, by budować charakter, zmierza do tego, żebyśmy chcieli czynić dobro, wiedzieli, jak to robić, i byli w tym wyćwiczeni. Oczywiście, idee, o których mówi autor Listu do Hebrajczyków, mogą trącić myszką w swym biblijnym brzmieniu, jako wspólnota ludzka zrobiliśmy spore postępy i odkryliśmy nowe środki, jakimi można osiągnąć stawiane sobie cele wychowawcze, ale koncept pozostaje aktualny. Prawo jest potrzebne tam, i tylko tam, gdzie człowiek nie wydoskonalił się w miłości. A celem wychowania jest ukształtowanie takiego człowieka, by paragraf prawny nie był mu nieodzownie potrzebny.

Jaki chciałbym być? W jaki sposób świadomie kształtuję swój charakter, by wejść przez ciasną bramę do Królestwa Bożego?

DOBRA IMPREZA

Gdy Jezus przyszedł do domu pewnego przywódcy faryzeuszów, aby w szabat spożyć posiłek, oni Go śledzili. Potem opowiedział zaproszonym przypowieść, gdy zauważył, jak sobie pierwsze miejsca wybierali. Tak mówił do nich: „Jeśli cię kto zaprosi na ucztę, nie zajmuj pierwszego miejsca, by czasem ktoś znakomitszy od ciebie nie był zaproszony przez niego. Wówczas przyjdzie ten, kto was obu zaprosił, i powie ci: «Ustąp temu miejsca!»; i musiałbyś ze wstydem zająć ostatnie miejsce. Lecz gdy będziesz zaproszony, idź i usiądź na ostatnim miejscu. Wtedy przyjdzie gospodarz i powie ci: «Przyjacielu, przesiądź się wyżej!»; i spotka cię zaszczyt wobec wszystkich współbiesiadników. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony". Do tego zaś, który Go zaprosił, rzekł: „Gdy wydajesz obiad albo wieczerzę, nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani zamożnych sąsiadów, aby cię i oni nawzajem nie zaprosili, i miałbyś odpłatę. Lecz kiedy urządzasz przyjęcie, zaproś ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych. A będziesz szczęśliwy, ponieważ nie mają czym tobie się odwdzięczyć; odpłatę bowiem otrzymasz przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych" (Łk 14, 1.7-14).

To była inauguracja roku akademickiego na Uniwersytecie Wrocławskim. Wszedłem z kardynałem na Aulę Leopoldina. On usadowił się w czwartym rzędzie od końca. Próbowałem tłumaczyć, że tam z przodu są zarezerwowane miejsca, na których

leżą karteczki z naszymi nazwiskami. „Głupiś – usłyszałem – siadaj, patrz i ucz się!" Rozpoczęła się uroczystość. Rektor witał gości. Każdy wstawał z pierwszego rzędu i kłaniał się. Gdy przyszła pora na powitanie Jego Eminencji, ten odczekał chwilkę, a kiedy ludzie zaczęli szeptać i szukać go wzrokiem po sali, wyłonił się z ostatnich rzędów, wstając i kłaniając się z rozbrajającym uśmiechem. Zebrał gromkie owacje. Kiedy już myślałem, że oto mam do czynienia z Ewangelią w czystej postaci, on siadł i szepnął mi do ucha: „A teraz mogę wyjść i nikt tego nie zauważy". Ale na szczęście raz po raz udaje się nam zaczerpnąć z praktycznej mądrości 14 rozdziału Ewangelii Łukasza i wyrazić je w taktownym zachowaniu, wiedząc, gdzie usiąść. Przekaz jest jasny, prosty i oczywisty. Znacznie większe problemy mamy z przekuciem w czyn drugiego wezwania Jezusa, które Łukasz Ewangelista również wspomina. Przyznam, że jakoś trudno mi sobie przypomnieć, aby ktoś ze znajomych wyprawił ucztę i zaprosił na nią – w miejsce swych dobrych przyjaciół – ubogich i kalekich, kierując się tylko tym, że ci ostatni nie będą mieli się jak odwdzięczyć. Z ręką na sercu muszę wyznać, że sam jeszcze nigdy takiej imprezy nie urządziłem, a żyję już ponad pięćdziesiąt lat. I co gorsza, nie mam tego w planach. Dlaczego tego fragmentu Ewangelii nie przyjmuję z należną gorliwością? Czy jestem pazerny na wdzięczność i bez szans na nią nie chce mi się ruszyć? Mam nadzieję, że nie. Myślę, że powód jest inny. Wokół mnie po prostu nie ma pod ręką biednych i kalekich. Czy żyję

w getcie szczęśliwych? Nie wiem. Sądzę, że to raczej sprawa oczu. Ja tych biedaków, którzy nie mają się jak odpłacić, po prostu nie widzę.

Kiedy ostatnio (a może trzeba zapytać: czy kiedykolwiek) udało mi się wypić kawę, zjeść obiad z kimś biednym lub kalekim? Czym się kierowałem?

PROPORCJE

A szły z Nim wielkie tłumy. On odwrócił się i rzekł do nich: „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem. Kto nie nosi swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem. Bo któż z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiądzie wpierw i nie oblicza wydatków, czy ma na wykończenie? Inaczej, gdyby założył fundament, a nie zdołałby wykończyć, wszyscy, patrząc na to, zaczęliby drwić z niego: «Ten człowiek zaczął budować, a nie zdołał wykończyć». Albo który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestoma tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju. Tak więc nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem" (Łk 14, 25-33).

Czy w tym fragmencie mamy do czynienia z prowokacją ze strony Jezusa, czy też to po prostu hebrajski hiperbolizm – trudno powiedzieć. Człowiekowi, który ma za sobą szczęśliwe dzieciństwo, bardzo trudno przyjąć wezwanie Chrystusa do nienawiści swoich najbliższych: ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego. A nawet tym, którzy doświadczyli jakichś patologii, też nie zawsze przychodzi to łatwo.

Może dwa słowa o tym, w jakim kontekście padają te twarde słowa. Za Chrystusem idą tłumy, które przed chwilą wysłuchały przypowieści o ludziach zaproszonych na ucztę i wymawiających się na najróżniejsze sposoby: że pole kupione, woły trzeba

wypróbować albo świeżo poślubiona żona czeka. A poniżej tego tego tekstu przeczytamy trzy najpiękniejsze przypowieści o Bożym miłosierdziu: o pasterzu, który szuka owcy, kobiecie, która wymiata izbę, by znaleźć drachmę i o synu marnotrawnym. Wszystkie te obrazy ukazują nieograniczoną, szaloną i bezwarunkową miłość Boga.

Chrystus, wypowiadając bardzo ostre i bulwersujące słowa, chce, byśmy je dobrze zapamiętali. Używa pewnej prowokacji, byśmy zaczęli myśleć. W gruncie rzeczy to trudne do przełknięcia wezwanie mówi o proporcji. Jeśli mamy wejść z Nim na poziom przyjaźni, to taka więź zakłada wzajemność. Jezus z rozbrajającą szczerością ukazuje determinację swojej miłości i prosi nas: „Spróbujcie doskoczyć do tego poziomu". Po co? Byśmy mogli być Jego przyjaciółmi. Jeśli kupione pole, nowe woły, a nawet świeżo poślubiona żona staną na przeszkodzie, to możemy pozostać wśród pełnych podziwu wielbicieli Chrystusa, ale nie wejdziemy z Nim na poziom przyjaźni. Ona sama w sobie jest niezwykle wymagająca i musimy postawić ją wyżej niż wszelkie naturalne, biologiczne więzi, a nawet miłość siebie samego. Owszem, bliźniego mamy kochać jak siebie, ale dla przyjaźni to za mało. Przyjaciel jest cenniejszy niż własne ego. I dopiero gdy zrozumiem, że jestem w stanie tak wysoko postawić wartość tej przyjaźni, mogę ruszyć do jej budowania. Ta gotowość to cegły przygotowane do stawiania wieży.

Jak cenna jest dla mnie przyjaźń z Jezusem? Z czego byłem już w stanie zrezygnować, by stawić się na uczcie, na którą zaprasza mój przyjaciel Jezus?

URWANA OPOWIEŚĆ

Zbliżali się do Niego wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Na to szemrali faryzeusze i uczeni w Piśmie: „Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi". Opowiedział im wtedy następującą przypowieść: „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: «Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła». Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia. Albo jeśli jakaś kobieta, mając dziesięć drachm, zgubi jedną drachmę, czyż nie zapala światła, nie wymiata domu i nie szuka starannie, aż ją znajdzie? A znalazłszy ją, sprasza przyjaciółki i sąsiadki i mówi: «Cieszcie się ze mną, bo znalazłam drachmę, którą zgubiłam». Tak samo, powiadam wam, radość powstaje u aniołów Bożych z jednego grzesznika, który się nawraca" (Łk 15, 1-10).

Na dobrą sprawę trzy razy to samo. Chrystus czasami dublował opowieści, przedstawiając je w wersji dla mężczyzn i w wersji dla kobiet. Mężczyzna znalazł drogocenną perłę, poszedł więc i kupił pole, na którym leżała. Wiadomo, że kobiety nie mogły wówczas kupować nieruchomości, dlatego Jezus zaraz przytoczył opowieść dla nich, o zakwasie i mące. Zgodnie z tym założeniem dwukrotne powtórzenie wydaje się jasne – kobiety nie zajmowały się wypasem zwierząt, więc po przypowieści o zgubionej

owcy potrzebna była jeszcze przeznaczona dla nich wersja o drachmie. Ale zaraz potem pojawia się trzecie powtórzenie – opowieść o synu marnotrawnym Po co? Otóż w języku hebrajskim przymiotniki stopniuje się przez ich powtarzanie. Piękna, piękna kobieta znaczy piękniejsza. Zaś piękna, piękna, piękna znaczy najpiękniejsza. Stąd trzykroć święty znaczy najświętszy.

Zatem być może trzykrotne powtórzenie tej samej przypowieści wskazuje na najwyższą wagę poruszanego tematu. Co zatem jest tak istotne, że Chrystus musiał powtórzyć trzy razy to samo? Oczywiście nieskończone miłosierdzie Boże! Tyle tylko, że ta opowieść jest wielowątkowa i skrzy się treścią jak ludowy kubraczek cekinami. Nie zawsze udaje się nam zauważyć, że znana przez nas na pamięć historia o synu marnotrawnym jest urwana i w zasadzie kończy się dramatycznie. Młodszy syn wycałowany przez ojca bawi się w domu, ale starszy stoi na zewnątrz, zbuntowany, bo jeśli tak ma wyglądać porządek domu ojca, to on tego nie kupuje. Ojciec tłumaczy, wyjaśnia, prostuje, ale czy udaje mu się przekonać syna? Nie wiadomo. I myślę, że jest to jeden z ważniejszych wątków tej opowieści – zgorszenie miłosierdziem Bożym.

Kiedyś, na rekolekcjach, które głosiłem, po jednej z nauk pojawiła się w zakrystii elegancka, zadbana, dojrzała kobieta. Paluszkiem ozdobionym fachowym manicure'em przywołała mnie do siebie.

– Czy widzi ksiądz tę kobietę w czwartym rzędzie? Tę w płaszczyku w kratkę?

– Widzę, jako żywo! – odpowiedziałem.

– Ksiądz wie, kto to jest?

– Pojęcia nie mam – przyznałem szczerze.

– To ladacznica (użyła nawet bardziej dosadnego określenia).

– Wybałuszyłem oczy.

– Jeśli ksiądz natychmiast nie wyprosi tej pani z kościoła, moja noga więcej tu nie postanie!

– Proszę pani – zwróciłem się do niej grzecznie – jestem księdzem i tym bardziej muszę mówić prawdę. Otóż tę kobietę w płaszczyku w kratkę Bóg bardzo kocha.

– No, teraz ksiądz przesadził! – zawołała i wyszła, trzaskając drzwiami.

Więcej jej nie widziałem. Tu opowieść się urywa. Podobnie jak w przypowieści o synu marnotrawnym.

Kiedy ostatnio i w jakiej sytuacji byłem zgorszony bezmiarem Bożego miłosierdzia?

NIE DZIĘKOWAĆ?

Apostołowie prosili Pana: „Przymnóż nam wiary!". Pan rzekł: „Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczycy, powiedzielibyście tej morwie: «Wyrwij się z korzeniem i przesadź się w morze!», a byłaby wam posłuszna. Kto z was, mając sługę, który orze lub pasie, powie mu, gdy on wróci z pola: «Pójdź i siądź do stołu?». Czy nie powie mu raczej: «Przygotuj mi wieczerzę, przepasz się i usługuj mi, aż zjem i napiję się, a potem ty będziesz jadł i pił?». Czy dziękuje słudze za to, że wykonał to, co mu polecono? Tak mówcie i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono: «Słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać»" (Łk 17, 5-10).

Przysłuchując się po niejednym odpuście „tasiemcowym" podziękowaniom proboszczów, składanym tak, by – broń Boże! – nikogo nie pominąć, odnoszę nieodparte wrażenie, że fragment z 17 rozdziału Ewangelii według św. Łukasza wyparował z Biblii, a na pewno z naszej ludzkiej pamięci. „Słudzy nieużyteczni (a w zasadzie lepiej byłoby przetłumaczyć: bezinteresowni) jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać". Ot, wszystko na ten temat. Rzeczywiście w tym fragmencie nie ma mowy o tym, że nie wolno dziękować, zgadza się, ale ducha wypowiedzi Jezusa dobrze czujemy. Chodzi o bezinteresowną służbę. A poza tym barokowe podziękowania mają różne ciemne strony, jak choćby to, że łechczą zwykłą ludzką próżność i często są wypowiadane w taki sposób, by łechtały jak najskuteczniej. A nade wszystko przyprawiają o żenujące znudzenie nawet samych chwalonych. Czy zatem nie dziękować?

Mój pierwszy proboszcz obfitował w powiedzonka o charakterze mądrościowym. Mawiał: „Proszę nie chwalić, bo ksiądz ludzi zepsuje". I tu akurat nie do końca się z nim zgadzam, bo z mojej praktyki duszpasterskiej wynika jasno: dużo więcej można zrobić dobrym, szczerym słowem niż powściągliwością. Jednak dalej pozostaje pytanie – jak chwalić.

A może w miejsce napuszonych podziękowań lepiej po prostu zaprosić uczynnych parafian na kawę, lody lub grilla, nie w celu rekompensaty, ale by zbudować wspólnotę i porozmawiać o tym, jak to udało się wspólnie zrobić coś dobrego dla innych. I owszem, zrobiliśmy tylko to, co do nas należało, z pełną bezinteresownością, ale sprawiliśmy ludziom wiele radości. Puszyć się nie musimy, jednak ucieszyć udaną posługą zawsze warto.

Można także, zamiast strzępić ozór z ambony, podejść do każdego, podać rękę i patrząc prosto w oczy, szczerze wyrazić uznanie, podkreślając, że jedziemy na jednym wózku, bośmy słudzy nieużyteczni, ale dziękujemy, że i pan czy pani na tym wózku się znaleźli.

W zasadzie można odnieść wrażenie, że ta refleksja nad słowem Bożym jest skierowana raczej do kleru, ale nie wątpiąc w inteligencję laikatu, sądzę, że z łatwością przełoży on sobie te myśli na różne sytuacje rodzinne i zawodowe.

Kiedy i w jakich sytuacjach udało mi się wyrazić swoją wdzięczność w taki sposób, by nie łechtać niczyjej próżności?

BUKIECIK KONWALII

Odszedł więc Naaman i zanurzył się siedem razy w Jordanie, według słowa męża Bożego, a ciało jego na powrót stało się jak ciało małego dziecka i został oczyszczony. Wtedy wrócił do męża Bożego z całym orszakiem, wszedł i stanął przed nim, mówiąc: „Oto przekonałem się, że na całej ziemi nie ma Boga poza Izraelem! A teraz zechciej przyjąć dar wdzięczności od twego sługi!". On zaś odpowiedział: „Na życie Pana, przed którego obliczem stoję – nie wezmę!" Tamten nalegał na niego, aby przyjął, lecz on odmówił. Wtedy Naaman rzekł: „Jeśli już nie [chcesz], to niechże dadzą twemu słudze tyle ziemi, ile para mułów unieść może, ponieważ odtąd twój sługa nie będzie składał ofiary całopalnej ani ofiary krwawej innym bogom, jak tylko Panu (2 Krl 5, 14-17).

To przecież prościzna – zanurzyć się siedem razy w rzece. Każdy potrafi. Dla Naamana jednak to łatwe zadanie okazało się trudne do wykonania. Do rydwanu problemów zaprzągł nawet geografię porównawczą: a w czym Jordan jest lepszy od rzek syryjskich, że akurat w jego wodach miałby się zanurzyć... I z pewnością odszedłby zawiedziony, gdyby nie cierpliwe tłumaczenia prostego człowieka. Myślę, że gdyby prorok poprosił o wykonanie czegoś skomplikowanego, to jego pan z pewnością by się tego podjął, ale głęboka niemoc wobec prostego zadania jest tylko pochodną tego, co działo się już wcześniej w głowie Naamana. Otóż założył on, jak powinien zachować się prorok. Z pewnością przyjdzie, obejrzy jego ciało, wykona jakieś sekretne gesty i wypowie skomplikowane zaklęcia. Tymczasem nie stało

się nic podobnego. Mąż Boży nawet się do niego nie pofatygował. Nie zrobił nic, a jedynie kazał mu się umyć w rzece. To głęboko dotknęło wodza wojsk syryjskich. Poczuł się zlekceważony.

Myślę, że często realizujemy scenariusze wzięte żywcem z tej prastarej opowieści. Kierujemy się własnymi oczekiwaniami, snujemy wizje biegu wypadków, planujemy, kto i jak powinien się zachować. Reżyserujemy czekający nas bieg wydarzeń, a gdy życie toczy się inaczej i ludzie zachowują się po swojemu (bo dlaczego mieliby realizować nasze scenariusze?), my tupiemy nogami i wściekamy się, dodatkowo podsycając rozczarowanie urażonymi ambicjami. Jakże trudno nam przyjąć proste rozwiązania, one jakby ignorowały ukryte w nas wielkie możliwości.

Znajomy wysłał do jednego z wielkich duszpasterzy swego przyjaciela, któremu w życie małżeńskie poczęła sączyć się gorycz. Po wizycie przyjaciel ten był zupełnie zawiedziony, gdyż duszpasterz, zamiast wysłuchiwać jego dogłębnych interpretacji psychologicznych, powiedział wprost: „Jest maj. Niech pan przyniesie żonie bukiecik konwalii". Człowiek ten myślał, że po wnikliwej analizie jego sytuacji duchowny zaleci mu jakieś wyrafinowane praktyki religijne i jeszcze dołoży terapię, a nie wyskoczy ze zwykłym bukiecikiem konwalii... Był gotów wybudować szklarnię, ale na kupno małego białego bukietu pachnących kwiatuszków się nie zdobył.

W jakich sytuacjach podejmowanie prostych działań przynosiło zaskakująco dobre rezultaty?

DWIE SKRAJNE POSTAWY

Powiedział też do niektórych, co ufali sobie, że są sprawiedliwi, a innymi gardzili, tę przypowieść: „Dwóch ludzi przyszło do świątyni, żeby się modlić, jeden faryzeusz a drugi celnik. Faryzeusz stanął i tak w duszy się modlił: «Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdziercy, oszuści, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik. Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam». Natomiast celnik stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wznieść ku niebu, lecz bił się w piersi i mówił: «Boże, miej litość dla mnie, grzesznika!». Powiadam wam: Ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się uniża, będzie wywyższony" (Łk 18, 9-14).

Zapewne byłby to niezwykle ciekawy, a może nawet bulwersujący zabieg, gdyby spróbować przenieść w nasze czasy 18 rozdział Ewangelii wg św. Łukasza o dwóch mężczyznach, którzy przyszli do świątyni, aby się modlić. Moglibyśmy z łatwością zauważyć, jak ostry wydźwięk miał obraz stworzony przez Chrystusa. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby każdy z czytających te słowa wyobraził sobie uwspółcześnioną wersję mężczyzn modlących się, dajmy na to, w sanktuarium Bożego Miłosierdzia.

Oczywiście przy dokonywaniu tego twórczego zabiegu rodzą się wątpliwości. Po pierwsze, może nam zabraknąć pewności, którą miał Chrystus, że bijący się w piersi odejdzie usprawiedliwiony, a po drugie, czy o takie wyostrzenie tematu w tej opowieści naprawdę chodzi? Chrystus przerysowuje po to, by przyciągnąć uwagę słuchających. Oczywiście

zasadniczym problemem nie jest fakt, że ludzie z jego przypowieści są sobie obcy, ba, nawet wrodzy, a na dodatek jeden uważa się za bardziej prawego, a drugi faktyczne ma coś za uszami. Tak naprawdę problem pierwszego leży w tym, że całą swoją modlitwę opiera na porównywaniu się z innymi. Drugi bije się w piersi. Pokłada nadzieję w Bogu, a nie w fakcie, jaki to fajny z niego człowiek i jak dobrze wypada jego życie duchowe na tle nędzy innych ludzi. Jemu Bóg jest niezbędnie do życia potrzebny, bo bez Niego po prostu zginie. Pierwszego ma obronić jego słuszne, wzorowe postępowanie. Bóg ma tylko złożyć ręce do oklasków i rozpocząć pełną podziwu adorację.

W zasadzie mowa tu o dwóch przeciwstawnych postawach, jakie możemy zajmować w jednej świątyni swego serca. Istnieje niebezpieczeństwo, że na modlitwie postawimy swoje ego w miejsce należne Bogu, a Ten, zdetronizowany i zepchnięty na pozycję obserwatora, ma w zachwycie wskazywać wszystkim pogubionym niedościgły wzór swego następcy. Groźba ta dotyczy każdego, niezależnie od wieku, pozycji w hierarchii społecznej czy kościelnej, przynależności partyjnej, zamożności, narodowości lub koloru skóry.

Jak rozpoznać tego typu zagrożenie? Pulsujące światła ostrzegawcze powinny się włączyć, kiedy tylko zaczynamy się porównywać z innymi.

Na czym polega niebezpieczeństwo porównywania się z innymi ludźmi?

KARA MI SIĘ NALEŻY

A lud stał i patrzył. Lecz członkowie Wysokiej Rady drwiąco mówili: „Innych wybawiał, niechże teraz siebie wybawi, jeśli On jest Mesjaszem, Wybrańcem Bożym". Szydzili z Niego i żołnierze; podchodzili do Niego i podawali Mu ocet, mówiąc: „Jeśli Ty jesteś królem żydowskim, wybaw sam siebie". Był także nad Nim napis w języku greckim, łacińskim i hebrajskim: „To jest Król Żydowski". Jeden ze złoczyńców, których [tam] powieszono, urągał Mu: „Czy Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw więc siebie i nas". Lecz drugi, karcąc go, rzekł: „Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż tę samą karę ponosisz? My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił". I dodał: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do swego królestwa". Jezus mu odpowiedział: „Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju" (Łk 23, 35-43).

Wielokroć odwiedzałem ludzi w zakładach karnych, niektórych nawet przez długie lata. Poznałem wielu więźniów. Nie zdarzyło mi się nigdy usłyszeć, aby któryś z nich powiedział, że ponosi słuszną karę, choć nie wątpię, że tacy ludzie gdzieś istnieją. Każdy deklarował niewinność albo podkreślał krzywdzącą nieadekwatność otrzymanego wyroku.

Na krzyż, na tę najdotkliwszą karę, raczej nie skazywano poczciwych ludzi, którym się w życiu powinęła noga, ale prawdziwych bandytów. Zatem jakim cudem wiszący na krzyżu wijący się z bólu przestępca mógł się zdobyć na tak prawe słowa: „My

przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki…”? Zawsze mnie to dziwiło.

Słowa te wypowiedziane w chwili największego cierpienia nie pojawiły się na jego wargach spontanicznie, pod wpływem chwili. On wyraził to, co nosił w sobie. Czy człowiek, będąc przestępcą, może być jednocześnie aż tak prawy? Papież Franciszek twierdzi, że każdy z nas jest złożoną mieszaniną światła i cienia. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy dwubiegunowi. Biegunowi dobra odpowiada biegun zła, ale być może działa to też w drugą stronę – biegunowi mroku towarzyszy biegun światła. I właśnie owo światło zabłysło, gdy zbrodniarz umierał na krzyżu. Jak to możliwe, że pojawiło się ono w takich warunkach? Czy wystarczyła obecność Chrystusa, by odezwało się w człowieku ogarniętym mrokiem? Przecież drugi bandyta złorzeczący Chrystusowi nie wisiał wcale dalej od Niego, a jednak nie powstrzymało go to przed powiedzeniem ostrych, raniących słów… Zatem Dobry Łotr nosi w sobie jakąś tajemnicę. Być może ktoś go tak wychował lub też własnym wysiłkiem i pracą nauczył się prawidłowo oceniać swoje położenie. Proste przyjmowanie krytyki na co dzień, wysłuchiwanie uwag, a nawet ganienia stało się świetnym treningiem zdobywania cnoty, która otwarła mu bramy nieba. No i jak na dłoni widać – takowa nauka, takowy trening przynoszą niebywałe skutki. Warto było.

Może trochę gdybam i racjonalizuję, ale próbuję sobie odpowiedzieć na pytanie, skąd się bierze tyle prawości w człowieku, który źle postępował. I upieram się przy szukaniu rozwiązania, bo jestem nim

żywo zainteresowany. Ta sprawa dotyczy także mnie i kto wie, może nie jestem w tym osamotniony.

Jak na co dzień reaguję na krytykę, negatywne uwagi i ataki? Czy widzę w takich sytuacjach szansę na wypracowanie zachowań, które mogą stać się bardzo przydatne?

STANIE SIĘ NA KOŃCU CZASÓW

A zwłaszcza rozumiejcie chwilę obecną: teraz nadeszła dla was godzina powstania ze snu. Teraz bowiem zbawienie jest bliżej nas, niż wtedy, gdyśmy uwierzyli. Noc się posunęła, a przybliżył się dzień. Odrzućmy więc uczynki ciemności, a przyobleczmy się w zbroję światła! Żyjmy przyzwoicie jak w jasny dzień: nie w hulankach i pijatykach, nie w rozpuście i wyuzdaniu, nie w kłótni i zazdrości. Ale przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa i nie troszczcie się zbytnio o ciało, dogadzając żądzom (Rz 13, 11-14).

W Księdze Izajasza opisana jest wizja przedstawiająca narody, które przekuwają swe miecze na lemiesze[2], a włócznie na sierpy, połączona z lekko patetycznym obrazem Boga jako rozjemcy pomiędzy ludami, to zapewne szczyt naszych ludzkich marzeń. Pragnienia pokojowego zjednoczenia całej ludzkości wydają się czystą mrzonką i utopią, ale takie słowa brzmią zupełnie inaczej w ustach proroka. Św. Paweł w 13 rozdziale Listu do Rzymian uważa, że na spełnienie tych przepowiedni nie trzeba czekać, że ich wizją można żyć już teraz, natychmiast. Zbawienie jest naszym udziałem. To optymistyczne rozumienie dziejów świata jest jak przebudzenie ze snu albo przybranie zbroi światła, która odbija wszelkie katastroficzne i czarne scenariusze, przerywa projekcję najbardziej dramatycznych filmów o zbliżającej się zagładzie ludzkości. Oczywiście św. Paweł nie proponuje biernego wyczekiwania nadciągającej

[2] Dla młodego pokolenia: lemiesz to robocza dolna część korpusu pługa odcinająca poziomo skibę od gleby.

katastrofy. Wręcz przeciwnie – powtarzam – chodzi tu o przebudzenie się ze snu i odważne, twórcze postępowanie, w którym nie ma już miejsca na uczynki ciemności, na czele z zazdrością, kłótniami czy inną perwersją. Oczywiście nie musimy precyzyjnie rozumieć poetyckiego zwrotu: „przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa", ważne, że zarysowany kierunek jest czytelny.

Jak podchodzę do katastroficznych wizji zbliżającego się końca świata? Jaką rolę w starciu z nimi odgrywa, według mnie, świadomość istnienia opatrzności Bożej?

PO CO?

Niech się rozweselą pustynia i spieczona ziemia,
niech się raduje step i niech rozkwitnie!
Niech wyda kwiaty jak lilie polne,
niech się rozraduje, skacząc i wykrzykując z uciechy.
Chwałą Libanu ją obdarzono,
ozdobą Karmelu i Saronu.
Oni zobaczą chwałę Pana,
wspaniałość naszego Boga.
Pokrzepcie ręce osłabłe,
wzmocnijcie kolana omdlałe!
Powiedzcie małodusznym:
„Odwagi! Nie bójcie się!
Oto wasz Bóg, oto – pomsta;
przychodzi Boża odpłata;
On sam przychodzi, by zbawić was».
Wtedy przejrzą oczy niewidomych
i uszy głuchych się otworzą.
Wtedy chromy wyskoczy jak jeleń
i język niemych wesoło krzyknie.
Bo trysną zdroje wód na pustyni
i strumienie na stepie;
spieczona ziemia zmieni się w pojezierze,
spragniony kraj w krynice wód;
badyle w kryjówkach, gdzie legały szakale – na trzcinę z sitowiem (Iz 35, 1-7).

„Pokrzepcie ręce osłabłe" (Iz 35, 3). Dlaczego osłabłe? Skąd to zmęczenie? Co robiły te ręce? I jeszcze kolana omdlałe? Od czego? Od klęczenia na miękkim wyściełanym klęczniku czy od jazdy cichą windą,

która pozwala ominąć wspinaczkę po schodach? A jednak słowa Izajasza są ciągle aktualne. Pomimo wszelkich ułatwień związanych z postępem technologicznym nadal się męczymy.

Całe lata na ścianie na moim poddaszu wisiała kartka z zagiętymi rogami i myślą Pani Szymborskiej: „Żyjemy dłużej, ale mniej dokładnie i krótszymi zdaniami". Może to brak dokładności wysysa z nas życiodajne soki? Zatem po co wszystkie codzienne starania i wydeptywane ścieżki – do pracy i z powrotem, z przystankiem w przedszkolu, do dyskontu z sympatycznym owadem lub płazem, gdzie wszystko jest w jednym miejscu, i do wygodnego fotela, przed ekran z serialem, który teraz można oglądać o dowolnej porze. Co nas nuży? Co nas męczy? Brak dokładności w nazywaniu sensu tych mrówczych ruchów, wykonywanych po części bezwiednie w rytm wystukiwany przyzwyczajeniem, życiowym nawykiem? Nic nie jest tak ciężkim kamieniem u szyi jak brak poczucia sensu. Morowe powietrze utkane ciszą rozrastającą się wokół jednego krótkiego pytania: „Po co?".

Zatem – „Pokrzepcie ręce osłabłe, wzmocnijcie kolana omdlałe..." – przychodzi Ten, który odsłania sens zwykłego życia turkoczącego rytmem dni, tygodni, miesięcy i lat. Niewidome oczy przejrzą. Zdrętwiały język wyskoczy jak jeleń i wyrecytuje sensowne słowa. Jego przyjście zbiera wszelkie pajęczyny i odsłania sens, którego kotwica tkwi po innej stronie życia.

Oczywiście wciąż aktualne pozostaje pytanie, które tysiące lat temu zanotował św. Mateusz: „Czy Ty

jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego mamy oczekiwać?". Czy to już ten Adwent, czy jeszcze na inny przyjdzie nam czekać? Czy już teraz, czy dopiero w bożonarodzeniowych uniesieniach pozwolę Jezusowi zrobić błoto z codzienności i nałożyć je sobie na oczy, by wreszcie ujrzeć sens tej całej życiowej krzątaniny?

Jaki sens mają moje zabieganie i wszelkie życiowe starania?

NIECAŁA PRAWDA O MODLITWIE

Gdy Jezus przebywał w jakimś miejscu na modlitwie i skończył ją, rzekł jeden z uczniów do Niego: „Panie, naucz nas się modlić, jak i Jan nauczył swoich uczniów". A On rzekł do nich: „Kiedy się modlicie, mówcie: Ojcze, niech się święci Twoje imię; niech przyjdzie Twoje królestwo! Naszego chleba powszedniego dawaj nam na każdy dzień i przebacz nam nasze grzechy, bo i my przebaczamy każdemu, kto nam zawini; i nie dopuść, byśmy ulegli pokusie". Dalej mówił do nich: „Ktoś z was, mając przyjaciela, pójdzie do niego o północy i powie mu: «Przyjacielu, użycz mi trzy chleby, bo mój przyjaciel przyszedł do mnie z drogi, a nie mam, co mu podać». Lecz tamten odpowie z wewnątrz: «Nie naprzykrzaj mi się! Drzwi są już zamknięte i moje dzieci leżą ze mną w łóżku. Nie mogę wstać i dać tobie». Mówię wam: Chociażby nie wstał i nie dał z tego powodu, że jest jego przyjacielem, to z powodu jego natręctwa wstanie i da mu, ile potrzebuje. I Ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą. Jeżeli którego z was, ojców, syn poprosi o chleb, czy poda mu kamień? Albo o rybę, czy zamiast ryby poda mu węża? Lub też gdy prosi o jajko, czy poda mu skorpiona? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec z nieba da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą" (Łk 11, 1-13).

Przysłowie „jak trwoga, to do Boga" używane jest zazwyczaj w pejoratywnym znaczeniu. A przecież to zupełnie zdrowy odruch. Dziecko, które biega po podwórku i nagle bęc, leży jak długie, zbiera się i ze

łzami w oczach biegnie do mamusi, pokazując rączkę ze zdartym naskórkiem. Mamusia dmucha, całuje i od razu jest lepiej. Tak wygląda naturalna reakcja. A co, jeśli dziecko upadnie i skaleczy się, a na widok nadchodzącej mamy schowa rękę za siebie i zaciskając zęby, wymamrocze, że nic się nie stało? Taka sytuacja obnaża brak zaufania do matki, strach przed nią i do złudzenia przypomina zachowanie Adama, który w rajskim ogrodzie ukrywa się po krzakach przed przechadzającym się Stwórcą. Zatem postępowanie w myśl przysłowia „jak trwoga, to do Boga" pokazuje tylko, że mamy do Niego pełne zaufanie i niczego nie musimy przed Nim ukrywać. Właśnie do takiego bezgranicznego zaufania zachęca nas Chrystus w przypowieści o człowieku, który obudzony w środku nocy, wstaje i pożycza przyjacielowi chleb, tylko dlatego, że ten uparcie prosi. Wszystko wydaje się tu jasne jak słońce, a jednak coś nam nie pasuje i przeczuwamy, że pomijamy jakąś zasadniczą mądrość ludową zaklętą w przysłowiu.

Oczywiście, jeśli cierpię i coś mnie boli, to warto biec do Boga, ale należy bacznie uważać, by nie kierować do Niego swych kroków jedynie w takich sytuacjach. Kto chciałby mieć przyjaciela, który pojawia się na ganku naszego domu tylko wtedy, gdy przytrafia mu się jakieś nieszczęście i czegoś od nas potrzebuje? To, że w każdej kryzysowej sytuacji potrafi odszukać nasz adres mailowy, owszem, jest dowodem zaufania, jakim nas obdarza, ale trzeba przyznać, że to może być denerwujące. Takiego żerowania na czyjejś dobroci żadna przyjaźń nie wytrzyma. Przyjaźń potrzebuje też wspólnych radości,

zabawy, chwil spędzonych razem zupełnie bez powodu – tylko dlatego, że się lubimy. Tak, przyjaźń wymaga bezinteresowności, a nawet od czasu do czasu telefonu z miłym: „Mam wolną chwilę, może bym ci w czymś pomógł?”. Zatem Chrystus, owszem, mówi prawdę o modlitwie, ale niecałą, na resztę jeszcze przyjdzie czas.

Jak kształtuję swoją modlitwę, by zbudować więzi przyjaźni z Bogiem?

ZNAK MARKOWY

O, wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody,
przyjdźcie, choć nie macie pieniędzy!
Kupujcie i spożywajcie, {dalejże, kupujcie} bez pieniędzy
i bez płacenia za wino i mleko! (Iz 55, 1)

Mieszkałem z nim w akademiku w czasie studiów geodezyjnych. Z czasem zrobił potężny biznes i stał się właścicielem ogromnej firmy, a co za tym idzie, człowiekiem niezwykle zamożnym. Odwiedził mnie w duszpasterstwie, gdy studenci właśnie kończyli przygotowania do obiadu i spora gromadka miała zasiadać do stołu.

– A ta stołówka to dobry biznes? – zagadnął.

– Żaden biznes. Studenci robią sobie obiady, by razem je zjeść – tłumaczyłem.

– A ile płacisz tym gotującym?

– Nikomu nic nie płacę. Tu każdy robi wszystko bezinteresownie.

– To bardzo niedobrze. Tak nie wolno – oburzał się.

Coś jeszcze mruczał o psuciu ludzi i w ogóle... Im dłużej o tym myślał, tym bardziej rosło jego zdziwienie. Powtarzał, że tak nie wolno. Wrócił po kilku dniach i zaproponował, żeby ci wszyscy, którzy tak się angażują, przychodzili do niego co sobotę, a polatają sobie jego helikopterem i zjedzą jakieś dobre śniadanie. Przez kilka tygodni w każdy sobotni ranek kolejne grupki chodziły polatać nad Wrocławiem, dziwiąc się i zastanawiając przy tym, co to wszystko ma znaczyć.

Wobec napiętej atmosfery wokół ulicznych protestów kobiet i nasilającego się chłodu studenci

postanowili zrobić coś miłego dla innych. Wystawili stolik na ulicę i rozdawali gorącą herbatę przechodniom. Podeszła elegancka pani w średnim wieku:

– O, herbatka?... Po ile? – zagadnęła ucieszona.

– Za darmo. Proszę bardzo – odparł z uśmiechem chłopak i podał jej kubek.

– A to z jakiej okazji? – zapytała kobieta nieufnie.

– Dlatego, że się ochłodziło, proszę pani – wyjaśnił grzecznie student.

Kobieta na to:

– Aj, coś reklamujecie, nie dam się nabrać.

– Oddaliła się spiesznie.

Jedną z twarzy naszego Boga jest bezinteresowność. Pisze o tym prorok Izajasz: „Wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody, przyjdźcie, choć nie macie pieniędzy! Kupujcie i spożywajcie, dalejże, kupujcie bez pieniędzy i bez płacenia za wino i mleko!". I właśnie bezinteresowność była zawsze i nadal jest cechą charakterystyczną chrześcijan. Po niej można ich rozpoznać. Im więcej w naszym codziennym życiu jest bezinteresowności, tym bliżej centrum chrześcijańskiego życia się lokujemy.

Po jakich bezinteresownych zachowaniach daję się rozpoznać jako żyjący Ewangelią chrześcijanin?

TREŚĆ I FORMA

A światło Boże jeszcze nie zagasło. Samuel zaś spał w przybytku Pańskim, gdzie znajdowała się Arka Przymierza. Wtedy Pan zawołał Samuela, a ten odpowiedział: „Oto jestem". Potem pobiegł do Helego mówiąc mu: „Oto jestem: przecież mię wołałeś". Heli odrzekł: „Nie wołałem cię, wróć i połóż się spać". Położył się zatem spać. Lecz Pan powtórzył wołanie: „Samuelu!" Wstał Samuel i poszedł do Helego mówiąc: „Oto jestem: przecież mię wołałeś". Odrzekł mu: „Nie wołałem cię, synu. Wróć i połóż się spać". Samuel bowiem jeszcze nie znał Pana, a słowo Pańskie nie było mu jeszcze objawione. I znów Pan powtórzył po raz trzeci swe wołanie: „Samuelu!" Wstał więc i poszedł do Helego, mówiąc: „Oto jestem: przecież mię wołałeś". Heli spostrzegł się, że to Pan woła chłopca. Rzekł więc Heli do Samuela: „Idź spać! Gdyby jednak kto cię wołał, odpowiedz: Mów, Panie, bo sługa Twój słucha". Odszedł Samuel, położył się spać na swoim miejscu. Przybył Pan i stanąwszy zawołał jak poprzednim razem: „Samuelu, Samuelu!". Samuel odpowiedział: „Mów, bo sługa Twój słucha". Samuel dorastał, a Pan był z nim. Nie pozwolił upaść żadnemu jego słowu na ziemię (1 Sm 3, 3b-10.19).

Z Pierwszej Księgi Samuela możemy się dowiedzieć, że Bóg ma do Helego przykrą i trudną sprawę. I zamiast bezpośrednio wszystko mu wyłożyć wciąga w tę historię młodego chłopca, robiąc z niego pośrednika. Dlaczego tak się dzieje? Czym wytłumaczyć takie postępowanie? Czyżby Heli nie umiał słuchać? Ale poinstruować chłopca, jak to się robi, jednak potrafił. On przecież dobrze wiedział, jak się zachować, gdy Pan się odezwie, musiał więc

mieć jakieś doświadczenie w rozmowach z Nim. Ten trop to zatem niechybnie ślepa uliczka. A może Heli najzwyczajniej nie był ciekaw, co też Bóg ma mu do powiedzenia? Oj, nie może być. Ciekaw był, i to bardzo. Przecież kazał chłopcu wszystko opowiedzieć i niczego nie ukrywać: „Niech cię Bóg ukarze, jeśli cokolwiek zataisz…" (1 Sm 3,17). Dlaczego zatem Pan przemawia do Helego przez chłopca? Czemu nie porozmawia z nim bezpośrednio? Otóż nie mam pojęcia, dlaczego wybrał taką, a nie inną drogę. Wiem za to, że łatwo jest wpaść w sidła, które samemu się zastawia, i miast skupiać się na treści Bożej myśli przewodniej, można cały wysiłek włożyć w rozbieranie na części pierwsze samej formy przekazu. Dziwić się, wydymać wargi, stroić miny i niczego istotnego nie usłyszeć.

Studenci pytali mnie, co mają zrobić, jeśli do naszego kościoła wejdą protestujący ludzie z ulicy i zaczną krzyczeć. Po dłuższym namyśle wyjaśniłem, że moim zdaniem należy im na to pozwolić, nawet jeśli nastąpi to w czasie mszy i z tego powodu będzie nas to dodatkowo bolało. Sam nieraz krzyczałem do Boga, a nawet na Boga. Byłem zbuntowany, ba, wściekły na Niego. Świetnie to pamiętam. Zatem rozumiem tych, którzy są w takiej właśnie sytuacji. A jeśli oni nie Boga się czepiają, tylko mają obiekcje w stosunku do Kościoła? Tym bardziej nie mogli lepiej trafić. Są u celu, we wspólnocie, której chcą coś zarzucić, i to na pewno nie ręce na szyję, ale raczej jakieś oskarżenia, napomnienia, krytykę, a może zwykłe anse. Zamiast chodzić po opłotkach, wylewać żale i wypłakiwać się w rękawy sąsiadów znacznie lepiej powiedzieć prosto w oczy, a nawet

wykrzyczeć. A my – dobrze, jeśli będziemy ciekawi uwag i sugestii protestujących. Mogą przecież być dla nas niezwykle cenne. Reasumując, może najlepszym przywitaniem nieoczekiwanych gości będą słowa: „Mówcie, a my będziemy słuchać". Tak jak Heli doradził Samuelowi i obaj dobrze na tym wyszli.

W jakich sytuacjach udało mi się spokojnie wysłuchać uwag wypowiadanych w emocjach, a nawet wykrzyczanych i przyjąć je? Jakie były tego dobre rezultaty?

NAJKRÓTSZE KAZANIE

Pan przemówił do Jonasza po raz drugi tymi słowami: „Wstań, idź do Niniwy, wielkiego miasta, i głoś jej upomnienie, które Ja ci zlecam". Jonasz wstał i poszedł do Niniwy, jak powiedział Pan. Niniwa była miastem bardzo rozległym – na trzy dni drogi. Począł więc Jonasz iść przez miasto jeden dzień drogi i wołał, i głosił: „Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa zostanie zburzona". I uwierzyli mieszkańcy Niniwy Bogu, ogłosili post i oblekli się w wory od największego do najmniejszego. Zobaczył Bóg czyny ich, że odwrócili się od swojego złego postępowania. I ulitował się Bóg nad niedolą, którą postanowił na nich sprowadzić, i nie zesłał jej (Jon 3, 1-5.10).

W mojej rodzinnej parafii był bardzo lubiany, a wręcz uwielbiany ksiądz wikary. Ludzie cenili go za wyjątkowo krótkie kazania. Wypowiadał czasami tylko jedno zdanie, za to każdy mógł je zapamiętać i odtworzyć przy niedzielnym obiedzie.

Jonasz wygłasza chyba najkrótsze kazanie świata: „Jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa zostanie zburzona". Zaledwie siedem słów. I tyle wystarczyło. Nawracają się wielcy grzesznicy – niniwici – znani z wielkiego okrucieństwa. Na wojnach z niewolnikami postępowali niemiłosiernie, wyłupując im oczy i boleśnie okaleczając. Na słowo „Niniwa" skóra cierpła jeszcze bardziej niż dziś na słowo „Al-Ka'ida". Nic zatem dziwnego, że Jonasz więcej niż niechętnie udał się na tę wyprawę. Ale cóż to za kazanie wygłosił. Żadnych wezwań do nawrócenia, tylko krótka informacja o wyroku, a w zasadzie proklamowanie daty jego wykonania. Jeszcze czterdzieści dni, a przyjdzie

ogień, dym i siarka. Koniec wszelkich nieprawości, koniec z tym strasznym miejscem. Tymczasem król Niniwy złapał się strzępków nadziei. Wypowiedział ledwo słyszalne: „Kto wie? Być może Bóg się zlituje". Zarządził ekspiacje: worki pokutne, popiół, ścisły post, nawet dla zwierząt. I wobec bezwzględnego wyroku proroka niepewne: „Kto wie?" króla okazało się ocalające.

Warto też nadmienić, że w tym najkrótszym kazaniu hebrajskie słowo *hepak* można tłumaczyć jako „zburzona", ale filologowie zwracają uwagę, że oznacza ono też „postawić coś na głowie", „wywrócić do góry nogami". Inaczej mówiąc, prorok głosił, że jeszcze czterdzieści dni, a Niniwa będzie postawiona na głowie, nie będzie już Niniwą, a czymś zupełnie odmiennym. Być może król dopatrzył się w prorockiej mowie właśnie tego skrawka nadziei. Wywąchał, wyśledził to, co sam prorok zapewne chciał ukryć. I uczepił się swojej intuicji. Przeciwstawił pewności proroka swoje niepewne: „Kto wie?", swoje: „Być może...".

Warto stawiać sobie żywo przed oczami to opowiadanie, gdy słuchamy różnych współczesnych nam proroków pewnych swych skrajnych opinii, a nawet ogłaszających różne daty wszelkich egzekucji.

W jakich sytuacjach udało mi się uchwycić jakiegoś strzępka nadziei wobec zdecydowanych werdyktów potępienia?

NIEJEDNO UCHO

Pan, Bóg twój, wzbudzi ci proroka spośród braci twoich, podobnego do mnie. Jego będziesz słuchał. Właśnie o to prosiłeś Pana, Boga swego, na Horebie, w dniu zgromadzenia: „Niech więcej nie słucham głosu Pana, Boga mojego, i niech już nie widzę tego wielkiego ognia, abym nie umarł". I odrzekł mi Pan: „Dobrze powiedzieli. Wzbudzę im proroka spośród ich braci, takiego jak ty, i włożę w jego usta moje słowa, będzie im mówił wszystko, co rozkażę. Jeśli ktoś nie będzie słuchać moich słów, które on wypowie w moim imieniu, Ja od niego zażądam zdania sprawy. Lecz jeśli który prorok odważy się mówić w moim imieniu to, czego mu nie rozkazałem, albo wystąpi w imieniu bogów obcych – taki prorok musi ponieść śmierć" (Pwt 18, 15-20).

Sprawa słuchania to nie zagadnienie obijające się po marginesach głównego nurtu życia, ale kwestia pryncypialna. Oczywiście zasadnicze pytania brzmią: czego słuchamy i kogo słuchamy. Każdy ma swego proroka, z którego ust spija nauki. Choć zdarzają się ludzie będący sami sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Pławią się oni w wierszach swojego autorstwa, tekstach, które wyszły spod ich pióra, i myślach zrodzonych we własnej głowie. Na szczęście jednak większość z nas rozgląda się w poszukiwaniu swojego autorytetu. Co jakiś czas Bóg wzbudza nowego proroka dla wspólnoty Kościoła. Westchnienie, które wyszło z ust Mojżesza, zanotowane w Księdze Powtórzonego Prawa, jest wciąż aktualne: „Bóg wzbudzi dla ciebie proroka spośród twoich braci..." (Pwt 18, 15). I dobrze być w pełni

świadomym, kto jest aktualnie moim prorokiem, ale równie istotna jest świadomość własnego ucha. Bo można, i tu ocieram się o truizm, słuchać na różne sposoby. Przeglądając ostatnio materiały formacyjne ruchu Spotkań Małżeńskich i przypominając sobie zasady dialogu, natrafiłem na wymienione tam cztery płaszczyzny czy też przestrzenie, które nasze słuchanie penetruje. Mamy ucho rzeczowe – ono ugania się tylko za czystą informacją, komunikatem, wiadomością. Kolejnym uchem poszukujemy tego wszystkiego, czym mówiący ujawnia, zdradza, wyjawia siebie samego. Jest ono bardzo ciekawe drugiego człowieka – przydatne wszystkim terapeutom. Następnie ucho drażliwe, niezwykle wrażliwe na własnym punkcie. Ono wszystko, co tylko usłyszy, od razu odnosi do siebie. Wszędzie węszy elementy krytyki, cechuje się podejrzliwością. I mamy w końcu takie ucho, które w każdej wypowiedzi dopatruje się komunikatu, prośby i apelu. Błyskawicznie odczytuje stawiane wymagania i oczekiwania, nawet wtedy, gdy nie było to intencją mówiącego.

By móc z jak największym pożytkiem usłyszeć swego proroka, warto zadać sobie trochę trudu i przeanalizować pracę własnych uszu. Oprócz oczywistego stwierdzenia, że mamy ich dwoje: lewe i prawe, poszerzyć tę konstatację o elementy nieco bardziej wyrafinowane intelektualnie i choć troszkę dać się zakwalifikować.

Kogo uważam za proroka naszych czasów i kogo słucham jako swego osobistego proroka? Jakim uchem go słucham?

Czyż nie do bojowania podobny byt człowieka? Czy nie pędzi on dni jak najemnik? Jak niewolnik, co wzdycha do cienia, jak robotnik, co czeka zapłaty. Zyskałem miesiące męczarni, przeznaczono mi noce udręki. Położę się, mówiąc do siebie: Kiedyż zaświta i wstanę? Lecz noc wiecznością się staje i boleść mną targa do zmroku. Czas leci jak tkackie czółenko i przemija bez nadziei. Wspomnij, że dni me jak powiew. Ponownie oko me szczęścia nie zazna (Hi 7, 1-4.6-7). Nie jest dla mnie powodem do chluby to, że głoszę Ewangelię. Świadom jestem ciążącego na mnie obowiązku. Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii! Gdybym to czynił z własnej woli, miałbym zapłatę, lecz jeśli działam nie z własnej woli, to tylko spełniam obowiązki szafarza. Jakąż przeto mam zapłatę? Otóż tę właśnie, że głosząc Ewangelię bez żadnej zapłaty, nie korzystam z praw, jakie mi daje Ewangelia. Tak więc, nie zależąc od nikogo, stałem się niewolnikiem wszystkich, aby tym liczniejsi byli ci, których pozyskam. Dla słabych stałem się jak słaby, by pozyskać słabych. Stałem się wszystkim dla wszystkich, żeby w ogóle ocalić przynajmniej niektórych. Wszystko zaś czynię dla Ewangelii, by mieć w niej swój udział (1 Kor 9, 16-19.22-23).

Kiedy czytam w Księdze Hioba, że los człowieka podobny jest do bojowania, do nieustannej walki, to świetnie rozumiem te słowa. Ale jeśli chodzi o poczucie obowiązku głoszenia Ewangelii, o którym pisze św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian, nie bardzo wiem, co ma na myśli. Czyż ów obowiązek nie spoczywa na najróżniejszych strukturach

organizacyjnych Kościoła? Czyż nie powinni tego robić ludzie odpowiednio przygotowani, znający teologię i poprawnie rozumiejący prawdy wiary? Jednym słowem – profesjonaliści! Świat wypełnił się ekspertami, fachowcami, wyjadaczami w swojej dziedzinie, specjalistami i ludźmi kompetentnymi. Chociażby ze względu na to, czy i my – chrześcijanie – nie powinniśmy postawić na pełen profesjonalizm? Św. Paweł jest specjalistą i w dodatku pierwszorzędnym, w co nikt nie wątpi. Dlaczego zatem to, co mówi o sobie, tak łatwo odnosimy do siebie, szeregowych wyznawców Chrystusa, którzy rozumieją niedokładnie, grzęzną w braku precyzji i niejednokrotnie nie potrafią przekuć swego przekonania w zgrabny wywodzik intelektualny? Zupełny brak profesjonalizmu. Zatem może lepiej tych słów nie odnosić do siebie...

Ktoś kiedyś powiedział: „Głoszenie Ewangelii jest jak rozmowa dwóch głodnych żebraków o tym, gdzie znaleźć chleb". Ich kompetencje są wysokie. To fachowcy najwyższej klasy, eksperci. Świetnie znają się na swym żebraczym rzemiośle i doskonale wiedzą, co to ssanie w dołku. Tylko od żebraka można precyzyjnie dowiedzieć się, gdzie i w jakich godzinach w danym mieście wydawane są bezpłatne posiłki.

Każdy z nas jest świetnym specjalistą i ekspertem od swych życiowych boleści. Każdy ma swoje wodopoje i zioła, które leczą życiowe rany. Jeśli znaleźliśmy lekarza, obrońcę, oswobodziciela, który może wyrwać nas z czeluści zagłady, jesteśmy specjalistami.

A samo chrześcijaństwo i Dobra Nowina to kilka prostych stwierdzeń: Bóg tak ukochał człowieka, że

stał się jednym z nas. Z miłości oddał za nas swoje życie i otworzył przed nami drogi ocalenia, także przed śmiercią. Kocha nas i potrafi w swej miłości być bardzo skuteczny. Ot, cała Dobra Nowina.

Jak pomagam towarzyszom mojej życiowej wędrówki w odnalezieniu chleba dającego siłę do dalszej podróży?

WSPÓŁCZESNY TRĄD

Dalej powiedział Pan do Mojżesza i Aarona: „Jeżeli u kogoś na skórze ciała pojawi się nabrzmienie albo wysypka, albo biała plama, która na skórze jego ciała jest oznaką trądu, to przyprowadzą go do kapłana Aarona albo do jednego z jego synów kapłanów. Trędowaty, który podlega tej chorobie, będzie miał rozerwane szaty, włosy w nieładzie, brodę zasłoniętą i będzie wołać: „Nieczysty, nieczysty!" Przez cały czas trwania tej choroby będzie nieczysty. Będzie mieszkał w odosobnieniu. Jego mieszkanie będzie poza obozem (Kpł 13, 1-2.45-46).

Okazuje się, że zasady izolacji i kwarantanny nie są odkryciami ery koronawirusa. Już w Księdze Kapłańskiej zapisano, jak należy postępować z zakaźnie chorymi. Mają oni wyróżniać się wyglądem, ostrzegać wszystkich o swojej chorobie, a co najważniejsze, izolować się. Trąd to straszna choroba, bolesna i okrutna. Człowiek każdego dnia przygląda się swojemu obumierającemu ciału, które gnije i odpada. Ból przynosi odosobnienie, wykluczenie z własnej rodziny, ze świata znajomych i przyjaciół. Chorzy skazani są na pustynne życie, w samotności, ewentualnie w grupie podobnie cierpiących ludzi. Przerażająca perspektywa.

Istnieje też trąd duchowy. Myślę tu o samopoczuciu, które uniemożliwia normalne funkcjonowanie. Z czasem wyklucza cierpiącego ze struktur społecznych i popycha w pogłębiającą się samotność. Taki człowiek staje się nieczytelny dla swoich najbliższych, którzy z niedowierzaniem patrzą na jego życiową bezsilność i często doradzają, by wziął się

w garść, zapanował nad swoim życiem, pozbierał się i wrócił do utraconej aktywności. To tylko rozbudowuje poczucie winy i obciąża odpowiedzialnością za zaistniały stan rzeczy. Tymczasem choroba się rozwija, a szukanie winnego w niczym nie pomaga. Ma ona znamiona swoistej zaraźliwości, bo przenosi się na funkcjonowanie całej rodziny, a nawet bliższych i dalszych znajomych. Często taki człowiek ląduje na pustyni i zatopiony w samotności przygląda się, jak znika z tego świata, obumierając fragment po fragmencie.

Co począć wobec tak niebezpiecznej choroby? Należy koniecznie skorzystać z pomocy specjalistów, którzy wiedzą, jak postępować. Gdy bolą nas nerki – idziemy do nefrologa, gdy szwankuje nasze serce – szukamy kardiologa, a gdy „nawala" nam kolano – zapisujemy się na wizytę u ortopedy. Tak samo, gdy pojawiają się problemy psychiczne, należy niezwłocznie skontaktować się z psychiatrą. Podobnie jak w sprawach duchowych zwracamy się o pomoc do kapłanów. Czasami te sfery są splecione, oddziałują na siebie i wtedy wymagają postępowania dwutorowego, a czasem nawet jeszcze szerszego, z udziałem innych lekarzy. Jedno jest pewne – trzeba się leczyć.

W jaki sposób próbuję pomagać ludziom przechodzącym przez stany depresyjne czy załamania nerwowego? Jak proponuję skorzystanie z pomocy medycznej?

BEZ KOTURNÓW

Potem wszedł do Jerycha i przechodził przez miasto. A [był tam] pewien człowiek, imieniem Zacheusz, zwierzchnik celników i bardzo bogaty. Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest, ale nie mógł z powodu tłumu, gdyż był niskiego wzrostu. Pobiegł więc naprzód i wspiął się na sykomorę, aby móc Go ujrzeć, tamtędy bowiem miał przechodzić. Gdy Jezus przyszedł na to miejsce, spojrzał w górę i rzekł do niego: „Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu". Zeszedł więc z pośpiechem i przyjął Go rozradowany. A wszyscy, widząc to, szemrali: „Do grzesznika poszedł w gościnę". Lecz Zacheusz stanął i rzekł do Pana: „Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnie". Na to Jezus rzekł do niego: „Dziś zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło" (Łk 19, 1-10).

„Zejdź prędko!". Nie czekaj i złaź od razu. Po co zwlekać? Oto propozycja Chrystusa skierowana do człowieka opisanego w 19 rozdziale Ewangelii według św. Łukasza. Przyznajmy szczerze – jego problemem nie był wzrost, lecz ograniczenie, jakie sam w nim widział. Zacheusz, podobnie jak wielu z nas, próbuje sobie jakoś radzić. Ile razy zdarza nam się, że małość i kompleksy rekompensujemy zadzieraniem nosa... Uruchamiamy samonapędzającą się machinę: byleby tylko spojrzeć z góry, podskoczyć, wznieść się. Próbujemy usadowić się ponad wszystkimi i prowadzić obserwacje z miejsca uprzywilejowanego. Ale ileż można siedzieć na tych wysokościach? To

przecież męczy. Tam nie da się zadomowić – na szczęście. Chrystus zwraca się do Zacheusza i do każdego z nas, mówiąc: „Złaź z tych koturnów, ze swych wysokości, ze swego nadęcia, z tego, jaki to jesteś ważny, z wielkiego mniemania o sobie, z obowiązku bycia kimś. Zejdź na dół, bo Ja, Chrystus, już tutaj na ciebie czekam. W dolinach twojego życia, na płaskich terenach, gdzie ukryte to wszystko, co wstydliwe". W Wielkopolsce funkcjonuje porzekadło: „O tym, co w domu, nie mów nikomu". I właśnie w naszym domu Chrystus chce się z nami spotkać. Na nizinach szarej codzienności, ze wszystkimi jej wstydliwymi sekretami, których nie wolno wyjawiać, bo zagrażają naszej dobrej opinii; tam, gdzie chodzimy w kapciach i niczego nie udajemy.

Dawno temu zaprosiliśmy na rekolekcje do naszego duszpasterstwa brata Morisa ze wspólnoty Małych Braci Karola de Foucauld. Chcąc nam uświadomić, jak wielka jest pokora Jezusa i Jego uniżenie, zaproponował całonocną Adorację Najświętszego Sakramentu. Niepomierne było nasze zdziwienie, gdy wchodząc do kaplicy adoracji, znaleźliśmy Najświętszy Sakrament stojący w kustodium bezpośrednio na posadzce, na rozłożonym tam śnieżnobiałym korporale. Każdy z nas słyszał ciche zaproszenie: „Nie bój się zejść w dół, do najniższych pokładów swego serca. Patrz, Ja – Twój Bóg –jestem tu i czekam. Niżej już się nie da". Wielu z nas zrozumiało tej nocy, dlaczego Zacheusz zszedł z pośpiechem z drzewa i przyjął Go rozradowany. To wielka ulga, gdy nie trzeba niczego udawać.

W jaki sposób na co dzień próbuję pozbywać się nadęcia i swojej wielkości? Co mi w tym pomaga?

Tak rzekł Bóg do Noego i do jego synów: „Oto Ja zawieram przymierze z wami i z waszym potomstwem, które po was będzie; z wszelką istotą żywą, która jest z wami: z ptactwem, ze zwierzętami domowymi i polnymi, jakie są przy was, ze wszystkimi, które wyszły z arki, z wszelkim zwierzęciem na ziemi. Zawieram z wami przymierze, tak iż nigdy już nie zostanie zgładzona wodami potopu żadna istota żywa i już nigdy nie będzie potopu niszczącego ziemię". Po czym Bóg dodał: „A to jest znak przymierza, które Ja zawieram z wami i każdą istotą żywą, jaka jest z wami, na wieczne czasy: Łuk mój kładę na obłoki, aby był znakiem przymierza między Mną a ziemią. A gdy rozciągnę obłoki nad ziemią i gdy ukaże się ten łuk na obłokach, wtedy wspomnę na moje przymierze, które zawarłem z wami i z wszelką istotą żywą, z każdym człowiekiem; i nie będzie już nigdy wód potopu na zniszczenie żadnego istnienia" (Rdz 9, 8-15).

Bodajże do 1872 roku za najstarszą księgę świata uważano Biblię. Wówczas, na posiedzeniu Towarzystwa Biblijnej Archeologii w Londynie, George Smith ogłosił, że w ruinach starożytnej Niniwy odnalazł tabliczki z pismem klinowym, których treść uderzająco przypominała tekst biblijny. Był to fragment wielkiego *Eposu o Gilgameszu* opowiadającego także o potopie. Autorzy biblijni nie tylko znali ten tekst, ale obficie z niego korzystali, adaptując fragmenty do własnych potrzeb. Posiłkowali się też akadyjskim *Eposem o Atra-hasisie*. Zatem biblijna opowieść o potopie to kontaminacja historii Gilgamesza i Atra-hasisa, sparafrazowana tak, by wyrazić najważniejsze treści teologiczne. W Biblii przyczyną

potopu jest ludzka nieprawość, podczas gdy w *Eposie o Gilgameszu* nikt się nad przyczynami nie zastanawia. W *Eposie o Atra-hasisie* bóg Enlil postanawia zgubić ludzi, a bóg Ea zdradza im ten zamiar. W Biblii jest jeden Bóg, który z jednej strony zsyła potop za karę, ale z drugiej strony lituje się nad człowiekiem i pomaga mu go przetrwać. Noe zostaje wybrany ze względu na swą prawość i staje się symbolem ocalenia prawych, zaś bohaterowie wspomnianych wcześniej eposów, budując łódź za namową boga Ea, oszukują nazbyt ciekawych pobratymców. W opisie biblijnym widać niezwykle czułą troskę Boga, który osobiście zamyka drzwi za uroczystą procesją wkraczającą do arki. Dokonuje się oczyszczenie świata. Arka Noego majestatycznie pływa po wzburzonych wodach potopu, stając się zapowiedzią przyszłego Kościoła – nowej arki ocalenia. Nad wszystkim czuwa Bóg, którego fale powodzi nie dosięgają.

Zupełnie inaczej wygląda to w poematach bliskowschodnich. Bogowie Mezopotamii płaczą nad losem świata i nad swoją nieprzemyślaną decyzją. Przerażeni rzucają się do ucieczki. Inaczej też kończą się obie wcześniej wspomniane opowieści. Bohater *Eposu o Gilgameszu*, Utnapisztim, zostaje obdarzony nieśmiertelnością i przeniesiony w świat mitu, Noe zaś otrzymuje błogosławieństwo, które jest zarazem nakazem płodności i zaludnienia ziemi. Tak oto człowiek współpracuje z Bogiem w dziele ocalenia.

Jak próbuję przełożyć na „język codzienności" swą współpracę z Bogiem w dziele ocalenia?

SŁABOŚĆ WIELKIEGO PIELGRZYMA

A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: „Abrahamie!". A gdy on odpowiedział: „Oto jestem" – powiedział: „Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę". A gdy przyszli na to miejsce, które Bóg wskazał, Abraham zbudował tam ołtarz, ułożył na nim drwa i związawszy syna swego Izaaka położył go na tych drwach na ołtarzu. Potem Abraham sięgnął ręką po nóż, aby zabić swego syna. Ale wtedy Anioł Pański zawołał na niego z nieba i rzekł: „Abrahamie, Abrahamie!". A on rzekł: „Oto jestem". [Anioł] powiedział mu: „Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyń mu nic złego! Teraz poznałem, że boisz się Boga, bo nie odmówiłeś Mi nawet twego jedynego syna". Abraham, obejrzawszy się poza siebie, spostrzegł barana uwikłanego rogami w zaroślach. Poszedł więc, wziął barana i złożył w ofierze całopalnej zamiast swego syna. Po czym Anioł Pański przemówił głośno z nieba do Abrahama po raz drugi: „Przysięgam na siebie, wyrocznia Pana, że ponieważ uczyniłeś to, a nie oszczędziłeś syna twego jedynego, będę ci błogosławił i dam ci potomstwo tak liczne jak gwiazdy na niebie i jak ziarnka piasku na wybrzeżu morza; potomkowie twoi zdobędą warownie swych nieprzyjaciół. Wszystkie ludy ziemi będą sobie życzyć szczęścia [takiego, jakie jest udziałem] twego potomstwa, dlatego że usłuchałeś mego rozkazu" (Rdz 22, 1-2.9-13.15-18).

Przedstawiony w Księdze Rodzaju Abram, później nazywany Abrahamem, jest wielkim przywódcą religijnym i narodowym, mistykiem obdarzonym niezwykłym węchem politycznym i społecznym,

człowiekiem odważnym i prawym, ale jednocześnie postacią tragiczną i rozdartą wewnętrznie w życiu rodzinnym. Na bieg jego losów cieniem kładzie się opisany w apokryfach konflikt z ojcem. Jak sugeruje Anselm Grün, benedyktyński mnich i znawca psychologii z opactwa w Münsterschwarzach, wyjście z Ur Chaldejskiego nie jest dla Abrama tylko wyruszeniem na pielgrzymi szlak ku ziemi obiecanej, ale także ucieczką z domu rodzinnego. Mężczyźnie, który musi udowadniać ojcu, że jest dostatecznie silny, trudno przychodzi znalezienie swojej własnej ścieżki życiowej.

Abraham ma dwóch synów. Ukochany, dziki i pełen energii Izmael, którego spłodził z niewolnicą Hagar, wdał się w ojca. Też lubi wyprawy i przestrzenie. Drugi, ze związku z Sarą, dużo bardziej związany jest z matką, na tle brata wydaje się zniewieściały.

Losy obu były dramatyczne. Jednego z nich ojciec skazuje na wygnanie, nie udzielając ani jemu, ani jego matce żadnego wsparcia, a drugiego – Izaaka – próbuje zabić, polewając wszystko sosem religijnym. Oczywiście, interpretacja ta jest być może nieco przejaskrawiona, ale wydobywa na światło dzienne największy problem Abrahama. Nie układa mu się życie małżeńskie, a bezpłodność jego związku wydaje się to obrazować. Wygnanie Izmaela jest ceną, jaką Abraham płaci za święty spokój w domu. Tego po prostu domaga się żona, rozkochana w Izaaku. Czy zatem próba zamordowania chłopca jest aktem zemsty na Sarze? To pozostaje w sferze domysłów, ale mają one swoje uzasadnienie.

Obaj synowie cierpią z powodu braku ojca, są przez niego opuszczeni. Wielki przywódca nie daje

dzieciom oparcia. Temu, który jest odpowiedzialny za naród brakuje sił, by unieść swoją rodzinę i małżeństwo. Wielki wizjoner okazuje się ślepy na potrzeby najbliższych.

Oczywiście Izaak, pozbawiony obecności ojca, nie potrafi sam wyruszyć w życie. To ojciec zleca słudze przyprowadzenie synowi żony, żeby stała się dla chłopaka pociechą po stracie matki, z którą był nadmiernie związany.

I co nas to wszystko obchodzi? Otóż ta historia powtarza się na naszych oczach w niejednym domu.

W jaki sposób uwolniłem się od obciążeń dzieciństwa i młodości, które wyniosłem z domu rodzinnego, lub jak zamierzam to zrobić?

Z NIEWOLI DO WOLNOŚCI

W owych dniach mówił Bóg wszystkie te słowa: „Ja jestem Pan, Bóg twój, który cię wyprowadził z ziemi egipskiej, z domu niewoli" (Wj 20, 1).

Te słowa wyjęte z Księgi Wyjścia są nieustannie aktualne. Cały czas mamy do czynienia z Bogiem, który ratuje z jakiejś niewoli. Naród wybrany nieustannie pakuje się w różne tarapaty, a Pan – z podziwu godną cierpliwością – za każdym razem wyciąga rękę i wyprowadza go ku wolności. Oto cała historia zbawienia. I ona trwa także w mikrokosmosie naszego życia. Każdy z nas zna to doskonale – przed kratkami konfesjonału skruszeni powtarzamy sobie i Bogu, że nigdy więcej, a za kilka tygodni zjawiamy się ponownie z tymi samymi grzechami. Z czasem jesteśmy umęczeni i zrezygnowani nieustannymi powrotami. Jednakże najbardziej dziwi nas to, że Jego to nie zniechęca ani nie męczy. W swoim małym rozumku, z którego czasami bywamy tak dumni, nie zawsze potrafimy sobie poukładać, że On dokładnie tą samą miłością obdarza nas zarówno wtedy, gdy czekamy w kolejce do kratek konfesjonału, jak i gdy odchodzimy z rozgrzeszeniem. Co więcej, dokładnie z tą samą czułą miłością traktuje tych, którzy do kolejki już nie dochodzą, gdyż brakuje im sił, by ponownie stanąć z wciąż tym samym przewinieniem, albo stracili sens tych poczynań.

Bóg jest piewcą wolności. Nie ugasi knotka, w którym wygasa nadzieja. Nie złamie trzciny szarpanej życiem, które szaleje, bo wyrwało się spod jakiejkolwiek kontroli. Mówią o tym niezliczone biblijne

obrazy. On zawsze wybiega na spotkanie marnotrawnego syna. Nie pozostaje bierny, skraca dystans. Pojawia się w pół drogi. Rzuca się na szyję i całuje. Jego miłosierdzie nie zna kresu i zachodu. To słońce, które świeci nad nami nieustannie. Opromienia życie każdego z nas i wyprzedza wszelkie, nawet najbardziej oczywiste i trafne katalogi moralne. Dopiero na tym gruncie mogą zostać wypowiedziane słowa: „Ja jestem Pan, Bóg twój, który cię wyprowadził […] z domu niewoli". A dopiero później przykazania – elementarna konstrukcja moralna, bez zbędnych szczegółów i dzielenia włosa na czworo. Za tym kryje się zaufanie, że zdołamy dobrze zinterpretować i zrozumieć ten ogólny kierunek. To tylko i aż dyszel pozwalający prowadzić wóz życia. Dziesięć zwartych punktów.

Co czuję, gdy dociera do mnie, jak bardzo Bóg pragnie mojej wolności?

ŁASKĄ ZBAWIENI

Bracia: Bóg, będąc bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował, i to nas, umarłych na skutek występków, razem z Chrystusem przywrócił do życia – łaską bowiem jesteście zbawieni – razem też wskrzesił i razem posadził na wyżynach niebieskich – w Chrystusie Jezusie, aby w nadchodzących wiekach przeogromne bogactwo swej łaski okazać przez dobroć względem nas, w Chrystusie Jezusie. Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił. Jesteśmy bowiem Jego dziełem, stworzeni w Chrystusie Jezusie do dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili (Ef 2, 4-10).

„Najważniejsze to być dobrym człowiekiem!" – znamy ten wyświechtany slogan, powtarzany może zbyt często. Oczywiście stoi za nim przekonanie, że jeśli po zamknięciu oczu na tym świecie ruszymy w kierunku światła, a przed nami będą maszerowały wyprostowane jak struna rozliczne dobre uczynki, wówczas bramy nieba się otworzą i zostanie nam wskazane miejsce – usłane i starannie przygotowane.

Tymczasem to bardzo ludzka wizja, wyhodowana na ludzkiej logice, a może też nadziei, bo jednak wolimy, gdy coś zależy od nas, niż jeśli my jesteśmy zależni od kogoś. Dlatego niektórym mniej wygodnym, a raczej naruszającym ową logikę zdaniom, trudno znaleźć drogę do naszych uszu. Ot, choćby to stwierdzenie z Listu św. Pawła do Efezjan: „Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił" (Ef 2, 9). Jak to tak? Nie da

rady uzbierać na tyle dużo dobrych uczynków, by zrobić z nich taran na bramę niebieską? Ano nie.

Zawsze dziwiły mnie słowa Psalmu 37, że zbawienie prawych pochodzi od Pana. A więc nie z ich prawości? No właśnie nie. Nawet najbardziej prawi są zbawieni przez Boga. Jeśli próbujemy sobie niezdarnie wyobrazić moment przestąpienia progu nieba, to trzymanie się obrazu bramy może nie być najszczęśliwszym pomysłem. Lepiej postawić tam osobę Chrystusa, który wyciąga do nas rękę z pytaniem: „Kochasz mnie, przyjacielu?". Bo źródłem zbawienia może okazać się przyjaźń z Bogiem, a na to nie trzeba czekać aż do śmierci. Można być zbawionym już dziś.

Co zatem z uczynkami? Czy one nie mają żadnego znaczenia? Bezpośrednio do zbawienia mają się nijak, ale człowiek, który żyje w przyjaźni z Jezusem, nabiera ogromnej wrażliwości. Gorąco pragnie kochać i być kochanym i staje się to coraz bardziej konkretne. Wystarczy tylko włożyć nos w biografię jakiegoś świętego, by się o tym przekonać. W chrześcijaństwie moralność jest wtórna. No, a grzechy? One będą odpuszczone. Nasz Przyjaciel oczyści nas i przyodzieje nam tak lśniącą szatę, że żaden człowiek własnym wysiłkiem bardziej wybielić jej nie zdoła.

Dlaczego staram się być dobrym człowiekiem?

ZNAK ROZPOZNAWCZY

Oto nadchodzą dni – wyrocznia Pana – kiedy zawrę z domem Izraela <i z domem judzkim> nowe przymierze. Nie jak przymierze, które zawarłem z ich przodkami, kiedy ująłem ich za rękę, by wyprowadzić z ziemi egipskiej. To moje przymierze złamali, mimo że byłem ich Władcą – wyrocznia Pana. Lecz takie będzie przymierze, jakie zawrę z domem Izraela po tych dniach – wyrocznia Pana: „Umieszczę swe prawo w głębi ich jestestwa i wypiszę na ich sercu. Będę im Bogiem, oni zaś będą Mi narodem. I nie będą się musieli wzajemnie pouczać, jeden mówiąc do drugiego: «Poznajcie Pana!». Wszyscy bowiem od najmniejszego do największego poznają Mnie – wyrocznia Pana, ponieważ odpuszczę im występki, a o grzechach ich nie będę już wspominał" (Jr 31, 31-34).

Co ma być znakiem rozpoznawczym, dzięki któremu wszyscy od największego do najmniejszego rozpoznają Pana? Ano to, że – jak pisze prorok Jeremiasz – On odpuści nasze występki. Z jednej strony widzimy więc, że nasz Bóg nie jest pamiętliwy, a wręcz przeciwnie – skłonny do przebaczania; a z drugiej, że ma On wszelkie kompetencje, by darować dług. Jest w stanie splamione szaty, nawet gdyby były upaprane jak szmata, wybielić nad śnieg, czego nikt inny zrobić nie potrafi.

Zawsze doznaję głębokiego wzruszenia, ilekroć słyszę przy kratkach konfesjonału: „Idź w pokoju, Bóg odpuścił ci wszystkie twoje grzechy". To chyba najodważniejsze słowa, na jakie zdobywa się człowiek. Żródło niebywałej nadziei. W świecie, w którym całe zastępy ludzi, także chrześcijan, zbierają na

siebie haki, słowa te są jak światłość, która w ciemności świeci i ciemność nie może jej ugasić, jak otwarte okno w słoneczny wiosenny dzień, przez które wpada nie tylko świeże powietrze, ale cała witalność przyrody porywająca nas do życia.

Tak objawia się „Chwała Pana" opisywana przez stare hebrajskie słowo – *kawod Jahwe*, która nie rodzi się z jakiejś ideologii, nie jest wydumana czy gdzieś wyczytana, ale wypływa z doświadczenia obcowania z Bogiem Narodu Wybranego, prostego narodu pasterzy i nomadów – o czym mówi ks. Grzywocz w książce *Jak smakować życie?*. Bóg daje świadectwo o sobie samym. To doświadczenie trwa do dziś i jest niezwykle realne. „Chwała Pańska" objawia się nam nieustannie. Bóg może w sposób rzeczywisty odpuścić nasze winy. I jest w tym lekkość i piękno. Za Jego zaufaniem do ludzi nie kryje się moc, siła czy potęga, ale Osoba z całym swoim urokiem i dobrem. Bóg nie pozwoli zginąć żadnej owieczce, pogubioną z całą czułością bierze na ramiona. Nie ma grzechu, który mógłby to zniszczyć.

Jak „Chwała Boga" objawia się w moim życiu?

CZY ZNAJDZIE WIARĘ?

Amalekici przybyli, aby walczyć z Izraelitami w Refidim. Mojżesz powiedział wtedy do Jozuego: „Wybierz sobie mężów i wyruszysz z nimi na walkę z Amalekitami. Ja jutro stanę na szczycie góry z laską Boga w ręku". Jozue spełnił polecenie Mojżesza i wyruszył do walki z Amalekitami. Mojżesz, Aaron i Chur wyszli na szczyt góry. Jak długo Mojżesz trzymał ręce podniesione do góry, Izrael miał przewagę. Gdy zaś ręce opuszczał, miał przewagę Amalekita. Gdy ręce Mojżesza zdrętwiały, wzięli kamień i położyli pod niego, i usiadł na nim. Aaron zaś i Chur podparli jego ręce, jeden z tej, a drugi z tamtej strony. W ten sposób aż do zachodu słońca były ręce jego stale wzniesione wysoko. I tak zdołał Jozue pokonać Amalekitów i ich lud ostrzem miecza (Wj 17, 8-13).

Jozue walczy jako żołnierz, jednakże wynik zmagań zależy nie tyle od jego dzielności, taktyki, sprytnych posunięć, co od wzniesionych do Boga rąk Mojżesza. Zrozumienie tej zależności stanowi przewrót kopernikański i większość z nas jeszcze nie doświadczyła go w swoim życiu. Głęboko wierzymy, że w zasadzie wszystko zależy od naszych zabiegów, projektów o znaczeniu lokalnym i globalnym. Gdzieś tam ten Bóg może i jest i ma wielką siłę, ale przecież jej nie użyje. Jeśli sami chleba nie napieczemy, to On go nie namnoży. Tak więc siedzimy po nocach i piszemy wspaniałe projekty rozwoju, plany zagospodarowania, programy duszpasterskie. Jak człowiek nie napisze, nie wymyśli, to skąd by miało się coś pojawić. Gdybyśmy faktycznie uznali siłę wzniesionych do nieba rąk Mojżesza, tobyśmy nie ustawali

w modlitwie, prosząc Boga o zatrzymanie galopującego procesu zmian klimatycznych. Ale to są przecież potężne, globalne siły, mające swe źródło być może nawet w tym, co dzieje się na Słońcu. Nie bądźmy śmieszni. Wiadomo, Bóg sobie z tym nie poradzi. Dlatego toczymy niezbyt dobrze zorganizowaną walkę w samotności, a precyzyjniej, w opuszczeniu wypływającym z palącej potrzeby niezależności od kogokolwiek większego od nas i naszej cywilizacji.

Pewnie czujemy się wstrząśnięci, gdy słyszymy dramatyczne pytanie kapiące z Ewangelii: czy Chrystus znajdzie wiarę, gdy przyjdzie. Ale co zrobić, jeśli wiary brakuje? Jest i znika. Wyparowuje jak kamfora.

Gdy do Chrystusa podszedł pewien człowiek z prośbą o uzdrowienie, Ten zapytał go, czy wierzy, że Jezus może to uczynić. Człowiek krzyknął: „Wierzę, – ale zaraz na jednym oddechu dodał – zaradź memu niedowiarstwu". Zatem może właśnie tak trzeba. Nie udawać herosów, ale znając uwarunkowania, po prostu pokornie dopominać się o wiarę.

W jakich sytuacjach ostatnio modliłem się o wiarę? Jakie były tego owoce?

OTWORZYŁ MI UCHO

Pan Bóg Mnie obdarzył
językiem wymownym,
bym umiał przyjść z pomocą
strudzonemu, przez słowo krzepiące.
Każdego rana pobudza me ucho,
bym słuchał jak uczniowie.
Pan Bóg otworzył Mi ucho,
a Ja się nie oparłem
ani się cofnąłem (Iz 50, 4-5).

Wymowny język, krzepiące słowo i otwarte uszy, a nawet więcej – otwarta postawa, aż po gotowość przyjęcia agresji. Zdumiewająca zapowiedź uniżonego Mesjasza, który nie skorzysta ze sposobności, aby być na równi z Bogiem, ale da się zawiesić na krzyżu.

Najbardziej krzepiącym słowem wypowiedzianym przez Boga jest Jezus Chrystus, Słowo, które stało się ciałem i rozbiło namiot między nami, jak wyraził to dosłownie w tekście oryginalnym św. Jan w Prologu do swojej Ewangelii. W zasadzie jest to jedyne Słowo Ojca. W Nim zawarte zostało wszystko. Chrystus jest tak bardzo wsłuchany w Ojca, ma na Niego tak dalece otwarte ucho, że staje się Jego Słowem. Nie ma w Nim niczego, co by nie pochodziło od Ojca. Całym sobą daje świadectwo o Nim. Ale dalej bardzo poruszające pozostaje dla mnie zestawienie wymownego języka z otwartym uchem, na które wskazuje prorok Izajasz. Być może największe wsparcie, jakie człowiek może okazać drugiemu, to

pomóc mu otworzyć się na słuchanie, które stanie się darem dla wszystkich jego bliskich.

Do swojej później starości odwiedzał mnie, a w zasadzie nas wszystkich mieszkających razem w duszpasterstwie, benedyktyn, ojciec Karol Meissner. Zauważyłem, że na śniadaniach ze studentami w jego obecności zawsze toczyła się ożywiona rozmowa i wszyscy chętnie się odzywali. On jakoś umiał zagadać. Po śniadaniu zostawaliśmy sami na kawę i dłuższą pogawędkę. Sprawiało mi to wielką frajdę. Często odkrywałem, że sam też mam coś do powiedzenia i mówię nie od rzeczy. Samozadowolenie rosło. Aż pewnego dnia, czytając książkę Michaela Ende, znalazłem przepiękną historię o dziewczynce drobnej postury, z rozwichrzonymi i czarnymi jak smoła lokami, o imieniu Momo. Nie miała ona nic na własność, oprócz tego, co dostała w prezencie. Nosiła starą męską marynarkę z podwiniętymi rękawami. Zaprzyjaźniła się z ludźmi, którzy przyjęli ją do siebie mimo ciasnoty w domu i licznej gromadki własnych dzieci. Szybko okazało się, że nie potrafią się bez niej obejść, a to dlatego, że dziewczynka miała niesamowity dar, który wyróżnia bardzo niewielu ludzi. Był to dar słuchania. Potrafiła tak słuchać, że nawet głupcom przychodziły do głowy bardzo mądre myśli. Gdy przeczytałem to zdanie, zrozumiałem bardzo wiele, także sekret ojca Karola Meissnera. Czy właśnie o tym pisze Izajasz?

Jak i od kogo uczę się słuchać?

EWANGELIA W CZASACH NOWOCZESNOŚCI

Wcale nie macie się czym chlubić! Czyż nie wiecie, że odrobina kwasu całe ciasto zakwasza? Wyrzućcie więc stary kwas, abyście się stali nowym ciastem, jako że przaśni jesteście. Chrystus bowiem został złożony w ofierze jako nasza Pascha. Tak przeto odprawiajmy święto nasze, nie przy użyciu starego kwasu, kwasu złości i przewrotności, lecz – przaśnego chleba czystości i prawdy (1 Kor 5, 6b-8).

Co to znaczy teraz, w naszych czasach, odrzucić stary kwas, jak tego chce św. Paweł, i przyjąć nowość Ewangelii? Jest ona nowością ze swej natury i powinno jej być bliżej do nowoczesności niż do okrzepłych form kultu, a nawet, bądźmy szczerzy, ich karykatury. Ludzkość nieustannie kroczy drogą rozwoju. Spoglądając na jej dzieje z pewnej perspektywy, zauważamy ten postęp. Długi czas Kościół szedł w pierwszym szeregu, niosąc kaganek oświaty, odważnie zaglądając w przyszłość i penetrując nowe ścieżki. Choć paradoksalnie w tym samym czasie nie brakowało głosów krytyki wewnętrznej i źle rozumianego przywiązania do tradycji i form, które przestają przystawać do współczesności i sprawiają, że człowiek, nie tylko młody, czuje się w nich jak w muzeum, które mówi o wielkich sprawach przeszłości, ale jednocześnie staje się niezbitym dowodem na to, że życie odjechało w przyszłość o dziesiątki lat. Jak dziś powinniśmy rozumieć niezwykle obrazowe słowa, że nie wlewa się młodego wina do starych bukłaków? Ewangelia ma w sobie gigantyczną siłę nowości, a Duch Zmartwychwstałego nieustannie wszystko

czyni nowym. Skąd zatem pojawiające się wśród nas przekonanie, że świat zmierza w złym kierunku i nie ma w nim już miejsca na Boga?

Zanim nastąpiło zmartwychwstanie, Chrystus na krzyżu wyszeptał te przejmujące słowa: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?". Szwajcarska mistyczka Adrienne von Speyr zaryzykowała stwierdzenie, że jest to moment, w którym ich poczucie bliskości i tożsamości było u szczytu, a mogli się na to zdobyć dzięki niezwykłej miłości wzajemnej. Czasami, gdy przeżywamy czyjeś oddalenie, gdy zżera nas tęsknota, uświadamiamy sobie, jak bardzo osoba, której brakuje, jest nam bliska. Zbyt daleko idący antropomorfizm? No niestety, inaczej myśleć nie potrafię. Przestrzeń, która się pojawiła między Ojcem a Synem, to miejsce narodzin Kościoła, jak zauważył Hans Urs von Balthasar[3]. Warto o tym pamiętać, gdy żyjąc we współczesności, czujemy się przez Boga opuszczeni. Przecież właśnie nowoczesność staje się miejscem najbardziej predysponowanym do rozwoju Ewangelii. To nie Bóg jest w Kościele, ale Kościół jest ukryty między Ojcem a Synem.

Jak wlać stare wino Ewangelii do nowych bukłaków naszej nowoczesności?

---

[3] Teolog szwajcarski, duchowny katolicki, mianowany kardynałem przez Jana Pawła II, sługa Boży Kościoła katolickiego. Henri de Lubac nazwał go „największym erudytą XX wieku".

DALEKO POSUNIĘTA IDEALIZACJA?

Jeden duch i jedno serce ożywiały wszystkich wierzących. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne. Apostołowie z wielką mocą świadczyli o zmartwychwstaniu Pana Jezusa, a wszyscy oni mieli wielką łaskę. Nikt z nich nie cierpiał niedostatku, bo właściciele pól albo domów sprzedawali je i przynosili pieniądze [uzyskane] ze sprzedaży, i składali je u stóp Apostołów. Każdemu też rozdzielano według potrzeby (Dz 4, 32-35). Każdy, kto wierzy, że Jezus jest Mesjaszem, z Boga się narodził, i każdy miłujący Tego, który dał życie, miłuje również tego, który życie od Niego otrzymał. Po tym poznajemy, że miłujemy dzieci Boże, gdy miłujemy Boga i wypełniamy Jego przykazania, albowiem miłość względem Boga polega na spełnianiu Jego przykazań, a przykazania Jego nie są ciężkie. Wszystko bowiem, co z Boga zrodzone, zwycięża świat; tym właśnie zwycięstwem, które zwyciężyło świat, jest nasza wiara. A kto zwycięża świat, jeśli nie ten, kto wierzy, że Jezus jest Synem Bożym? Jezus Chrystus jest tym, który przyszedł przez wodę i krew, i Ducha, nie tylko w wodzie, lecz w wodzie i we krwi. Duch daje świadectwo, bo <Duch> jest prawdą (1 J 5, 1-6).

Czy to daleko posunięta idealizacja przebija z Dziejów Apostolskich? „Jeden duch i jedno serce ożywiały wszystkich, którzy uwierzyli. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne". Co musiałoby się stać, by taka sielanka mogła się ziścić w naszym świecie, ba, w naszym Kościele? Czy wystarczy list Episkopatu

z wytycznymi o jednomyślności i pomocy wzajemnej w parafiach? Może i by się przydał, ale zapewne dużo by nie zmienił.

Pewne światło rzuca fragment Pierwszego Listu św. Jana. Apostoł proponuje na nowo się narodzić – z Boga. Ale co to znaczy? Chodzi o jakiś nowy sposób widzenia świata, ludzi, siebie samego...? A może jeszcze szerzej, nie tylko widzenia, ale i rozumienia. Coś, co wyznacza także sposoby reagowania, postępowania; buduje postawy i daje odwagę do realizowania zamierzeń, które mogą być zupełne niezrozumiałe, a nawet oburzające i budzące dezaprobatę wśród pozostałych ludzi – tych, którzy takiego narodzenia nie przeszli. Jednakże, jak twierdzi św. Jan, wywołany przez narodzenie się z Boga wewnętrzny przewrót jest w stanie zwyciężyć logikę przyjętą przez świat. Tą nową filozofią ma być miłość, ale bardzo określona miłość, rozumiana tak, jak widzi ją Bóg, który jest gotów oddać dla dobra każdego człowieka nawet swego Syna. Na czym polega dychotomia między tym, co światowe, a tym, co narodziło się z Boga? Najprościej ująłbym to tak: nowe narodzenie umożliwia trwałe porzucenie egoizmu i egocentryzmu. Wyjście poza swój własny interes i otwarcie ogromnych pokładów wrażliwości na innych, aż po gotowość do dzielenia się, a nawet poświęcenia. Jak powiedział papież Franciszek: „Jedynie dzięki temu spotkaniu lub ponownemu spotkaniu z Miłością Bożą, które przemienia się w pełną szczęścia przyjaźń, jesteśmy uwolnieni od wyizolowanego sumienia i skoncentrowania na sobie". Zatem u podstaw leży pełna szczęścia przyjaźń z Bogiem. Przy-jaźń – jaźń przy

jaźni, serce przy sercu, głębia przy głębi… Darem ze strony Boga nie jest jedynie uwolnienie od śmierci, ale coś znacznie ważniejszego.

Jak w moim życiu realizuje się wizja Kościoła z Dziejów Apostolskich: „Jeden duch i jedno serce ożywiały wszystkich…”?

ŚWIADKOWIE ZMARTWYCHWSTANIA

Bóg naszych ojców, Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, wsławił Sługę swego, Jezusa, wy jednak wydaliście Go i zaparliście się Go przed Piłatem, gdy postanowił Go uwolnić. Zaparliście się Świętego i Sprawiedliwego, a wyprosiliście ułaskawienie dla zabójcy. Zabiliście Dawcę życia, ale Bóg wskrzesił Go z martwych, czego my jesteśmy świadkami. Lecz teraz wiem, bracia, że działaliście w nieświadomości, tak samo jak zwierzchnicy wasi. A Bóg w ten sposób spełnił to, co zapowiedział przez usta wszystkich proroków, że Jego Mesjasz będzie cierpiał. Pokutujcie więc i nawróćcie się, aby grzechy wasze zostały zgładzone (Dz 3, 13-15.17-19).

„Zabiliście Dawcę życia" – mocne słowa z Dziejów Apostolskich. Jest jednak pewne „ale". Bóg wskrzesił Go z martwych. Ciekawe, że Piotr uważa się za świadka zmartwychwstania, a nie za świadka dramatycznego morderstwa. Myślę, że to niezwykle ważna kwestia, która pozwala zastanowić się, o czym najchętniej świadczę. O zwycięstwie życia, człowieka, dobra, miłości czy o paśmie porażek, klęsk i dramatów? Jaką nowinę głoszę? Idę przez życie, rozglądam się i co widzę? Nieustanną walkę dobra ze złem, która również we mnie się toczy. Jakie myśli wówczas przychodzą mi do głowy? Może z autentyczną troską i obawą zastanawiam się, co w tej walce zwycięży – potęga zła czy dobro, które czasami wydaje się rachityczne i zbyt nieśmiałe. Piotr nie ma najmniejszych wątpliwości. Oni – pierwsi apostołowie – są świadkami zwycięstwa Chrystusa zmartwychwstałego.

W mrokach II wojny światowej, w czasie gdy zło święci tryumfy, młoda Chiara Lubich, której dom rodzinny został zbombardowany, spotyka kobietę, przeżywającą właśnie stratę czworga swoich dzieci. Dzięki temu rodzi się ruch Focolari. Zapala się płomień Zmartwychwstałego. W tym samym czasie w Burgundii młody Roger Schutz, ukrywając Żydów przed nazistami, zastanawia się, jak jego życie może stać się przypowieścią o komunii i wspólnocie, która mogłaby zainspirować pojednanie wśród chrześcijan. Tak powstaje Wspólnota z Taizé. Rychło staje się ona źródłem nadziei, świadczącym o zwycięstwie Zmartwychwstałego.

Zapewne zabrakło by stron, aby przytoczyć wszystkie tego rodzaju historie. Zatem poprzestanę na tych dwóch. Wielu z nas czuje, jakbyśmy żyli w mroku. Epidemia, brak wzajemnego zaufania, tempo życia, na które trudno nam się zgodzić, upadek autorytetu Kościoła i towarzyszące temu skandale. Słusznie rodzi się pytanie: co w naszych mrokach przyniosą świadkowie zmartwychwstania? Jakie nowe światła nadziei zapłoną? A może już świecą?

Jak na co dzień staram się być świadkiem zmartwychwstania?

ŻYCIE NIE JEST NAJWAŻNIEJSZE

Siedmiu braci razem z matką również zostało schwytanych. Bito ich biczami i rzemieniami, gdyż król chciał ich zmusić, aby skosztowali wieprzowiny zakazanej przez Prawo. Jeden z nich, przemawiając w imieniu wszystkich, tak powiedział: „O co pragniesz zapytać i czego dowiedzieć się od nas? Jesteśmy bowiem gotowi raczej zginąć, aniżeli przekroczyć ojczyste prawa". W chwili, gdy oddawał ostatnie tchnienie, powiedział: „Ty, zbrodniarzu, odbierasz nam to obecne życie. Król świata jednak nas, którzy umieramy za Jego prawa, wskrzesi i ożywi do życia wiecznego". Po nim był męczony trzeci. Na żądanie natychmiast wysunął język, a ręce wyciągnął bez obawy i mężnie powiedział: „Od Nieba je otrzymałem, ale dla Jego praw nimi gardzę, a spodziewam się, że od Niego ponownie je otrzymam". Nawet sam król i całe jego otoczenie zdumiewało się odwagą młodzieńca, jak za nic miał cierpienia. Gdy ten już zakończył życie, takim samym katuszom poddano czwartego. Konając tak powiedział: „Lepiej jest nam, którzy giniemy z ludzkich rąk, w Bogu pokładać nadzieję, że znów przez Niego będziemy wskrzeszeni. Dla ciebie bowiem nie ma wskrzeszenia do życia" (2 Mch 7, 1-2.9-14).

Perspektywa zmartwychwstania daje ogromną siłę życiową. Wyraźnie widać to w opowiadaniu o siedmiu braciach z Drugiej Księgi Machabejskiej. Siła ta nie zapewnia przeżycia, ale umożliwia zachowanie godności i wierności po śmierć, a w zasadzie poza śmierć. Taka wiara stawia wszystko w zupełnie innej perspektywie i przerzuca przez moment śmierci kładkę prowadzącą do prawdziwego spełnienia. Zakotwicza sens życia po drugiej stronie jego

trwania, wyrywając swych wiernych z objęć doczesności. Otwarte bramy niekończącej się komunii z Bogiem umożliwiają młodym ludziom, o których mówi ten fragment Biblii, dokonanie wyborów prawdziwie bohaterskich. Dla nich jest coś ważniejszego od życia, jest inna, dalece bardziej atrakcyjna perspektywa.

Gdy wybuchła wojna na Ukrainie, podejrzewałem, że sytuacja może stać się bardzo niebezpieczna i grozić poważnym konfliktem zbrojnym także dla Polski. Zastanawiałem się wówczas, co mówić studentom, młodym ludziom, których życie w takiej sytuacji może być narażone. Zadzwoniłem wtedy do ojca Karola Meissnera, benedyktyna. Człowiek ten stracił znaczną część swojej rodziny w pierwszych dniach II wojny światowej. „Karolu – spytałem – co mam powiedzieć studentom wobec możliwości wybuchu wojny?". On zastanowił się przez chwilę i odparł: „Powiedz im, że życie nie jest najważniejsze". Zapewne to właśnie mówiła matka swym siedmiu synom Machabeuszom. I być może taka katecheza jest nam bardzo potrzebna, niezależnie od zagrożenia wojennego.

W jaki sposób perspektywa życia wiecznego wpływa na moje codzienne wybory?

ADOPTOWANI

Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi: i rzeczywiście nimi jesteśmy. Świat zaś dlatego nas nie zna, że nie poznał Jego. Umiłowani, obecnie jesteśmy dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni, bo ujrzymy Go takim, jakim jest (1 J 3, 1-2).

Znajomi adoptowali dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Od początku stawiali sprawy jasno. Dzieci wiedziały o swoim pochodzeniu. Udało im się zbudować dobrą więź rodzinną, z dużym wzajemnym zaufaniem. Chłopak miał szesnaście lat, gdy zaczął przebąkiwać, że chce szukać swoich biologicznych rodziców. Matka sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Uważała, że to spore ryzyko i może lepiej nie ruszać tematu. Zdawała sobie sprawę, że za tymi poszukiwaniami mogą kryć się bolesne kwestie. Delikatnie mu odradzała. On jednak się uparł. Drążył. Po kilku latach poszukiwań wiedział już, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że jego biologiczna matka nie żyje. Otwarta pozostawała sprawa ojca. Dowiedział się o nim sporo w trochę niezwykłych okolicznościach. Okazało się, że ojciec był Żydem, muzykiem, który wyjechał do Ameryki. Ślad się urwał, ale pozostało zdjęcie. Chłopak zawiesił je nad łóżkiem. Matka zapytała go pewnego dnia: „I co ci to dało?”. A on jej wyjaśnił, że dzięki temu lepiej może zrozumieć siebie samego, swoje rysy twarzy, kolor oczu, zdolności i zamiłowanie do muzyki.

Świat jest tak niezwykle skonstruowany, że gdy wyjdziemy za miasto i staniemy na polu albo nad morzem, to zawsze na wysokości oczu będziemy mieli linię horyzontu. Tę cienką nitkę łączącą dwa światy – niebo z ziemią. Czasami wydaje mi się, że jest ona postawiona przed naszymi oczyma, byśmy ją kontemplowali, bo to samo, co na horyzoncie, dzieje się w nas. Z jednej strony jesteśmy biologiczni, związani z materią ożywioną, której jesteśmy cząstką. Ale z drugiej strony, będąc adoptowanymi przez ten świat, często przeczuwamy, że każdy z nas wykracza poza ramy cudownych i fascynujących praw biologicznych, że nosimy w sobie tajemnicę, i próbujemy się z nią zmierzyć. Organizujemy własne poszukiwania. I tak natrafiamy na poruszające zdanie św. Jana: „zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi i rzeczywiście nimi jesteśmy". Coś się nam zaczyna układać. Dopiero gdy dotrzemy do tego drugiego Ojca, zaczyniemy lepiej rozumieć samych siebie.

Jak przeżywam swoje podwójne pochodzenie – to, że jestem cząstką świata biologicznego, ale jednocześnie wykraczam poza ten świat – noszę w sobie tajemnicę dziecięctwa Bożego?

TAK POWINNO BYĆ

Dzieci, nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą! Po tym poznamy, że jesteśmy z prawdy, i uspokoimy przed Nim nasze serce. A jeśli nasze serce oskarża nas, to Bóg jest większy od naszego serca i zna wszystko. Umiłowani, jeśli serce nas nie oskarża, mamy ufność wobec Boga, i o co prosić będziemy, otrzymamy od Niego, ponieważ zachowujemy Jego przykazania i czynimy to, co się Jemu podoba. Przykazanie zaś Jego jest takie, abyśmy wierzyli w imię Jego Syna, Jezusa Chrystusa, i miłowali się wzajemnie tak, jak nam nakazał. Kto wypełnia Jego przykazania, trwa w Bogu, a Bóg w nim; a to, że trwa On w nas, poznajemy po Duchu, którego nam dał (1 J 3, 18-24).

Chrześcijaństwo jest religią czynu. Nie chodzi w nim o wielkie wzruszenia, piękne słowa, ckliwe pieśni wprawiające nas w podniosły nastrój, kościół zalany dymem kadzidła czy liturgię, dzięki której dotykamy bram nieba. To wszystko też jest nam potrzebne, tak jak przygaszone światło i zapalona świeca podczas spotkania zakochanych, jak poświata księżyca i kwitnący sad na wiosennej randce, ale przecież ta otoczka nie stanowi sedna tego, co dzieje się wówczas między dwojgiem ludzi. W zasadzie powinniśmy zadać sobie bardzo proste pytanie: jeśli udało mi się przeżyć piękne i podniosłe Triduum Paschalne, niepozbawione uniesień i wzruszeń, to jakie korzyści z tego przeżycia będą mieli moja żona, mój mąż, moje dzieci, sąsiedzi, przyjaciele z pracy? Konkretnie. Bo jak przypomina św. Jan w swoim pierwszym liście: „[...] nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą". Miłość to nie jest

uczucie, przynajmniej ta, o której mówi apostoł. To postawa objawiająca się czynem. Miłości mogą towarzyszyć najróżniejsze uczucia. Czasami są one przyjemne, z motylkami w brzuchu włącznie, a czasami bywają nieprzyjemne, niekochane – jak je nazywał ks. Grzywocz. Załóżmy, że matka po raz ósmy wstaje w nocy do swojego dziecka. Miała nadzieję, że choć dwie godziny nad ranem prześpi, a tu płacz, a tu ryk... Jakie uczucia jej towarzyszą? Spełnienie? Wdzięczność za dar macierzyństwa? Podziw dla ojca, który smacznie śpi? Zachwyt, że może być potrzebna? Często chyba jednak czuje inne: frustrację, bezsilność, złość, a nawet rozpacz i wściekłość. Z tymi uczuciami bierze dziecko na ręce, tuli i całuje. I to jest miłość. Ona objawia się konkretnym czynem.

Właśnie miłość wzajemna była znakiem rozpoznawczym pierwszych chrześcijan i robiła niesłychane wrażenie. Inni, widząc to, byli gotowi sprzedawać swoje majątki, byle tylko się do nich przyłączyć.

Teraz, gdy wychodzimy z naszych kościołów, ludzie powinni wisieć na balkonach i w oknach, powinni nawzajem się nawoływać: „Chodźcie, chodźcie prędko zobaczyć. Chrześcijanie wyszli. Boże, jak oni się miłują, jak oni się kochają!". Tak powinno być.

Jakimi konkretnymi czynami objawia się moja miłość?

A kiedy Piotr wchodził, Korneliusz wyszedł mu na spotkanie, padł mu do nóg i oddał mu pokłon. Piotr podniósł go ze słowami: „Wstań, ja też jestem człowiekiem". Wtedy Piotr przemówił w dłuższym wywodzie: „Przekonuję się, że Bóg naprawdę nie ma względu na osoby. Ale w każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje sprawiedliwie". Kiedy Piotr jeszcze mówił o tym, Duch Święty zstąpił na wszystkich, którzy słuchali nauki. I zdumieli się wierni pochodzenia żydowskiego, którzy przybyli z Piotrem, że dar Ducha Świętego wylany został także na pogan. Słyszeli bowiem, że mówią językami i wielbią Boga. Wtedy odezwał się Piotr: „Któż może odmówić chrztu tym, którzy otrzymali Ducha Świętego tak samo jak my?". I rozkazał ochrzcić ich w imię Jezusa Chrystusa. Potem uprosili go, aby zabawił <u nich> jeszcze kilka dni (Dz 10, 25-26.34-35.44-48).

Żyjemy zakotwiczeni w logice sakramentów i płynącej z tego pedagogice, w uporządkowanym świecie teologii, w sformalizowanej społeczności Kościoła. Zapewne dlatego łapiemy się za głowę, śledząc wydarzenia z Dziejów Apostolskich. Poganie otrzymują dary Ducha Świętego, zatem św. Piotr proponuje, aby ich ochrzcić. Ale my wiemy lepiej – najpierw chrzest, później bierzmowanie. Pokusa formalizowania jest widoczna już u samego początku Kościoła, ale Duch Boży tym bardziej się jej wymyka i działa po swojemu. Czy w tym kontekście nie byłoby dobrze przemyśleć tak silnego zaufania do formalizowania i kontroli życia Kościoła, z karteczkami do spowiedzi na czele, a nawet poddawaniem pod świecką ochronę prawną najróżniejszych rozwiązań rodzących

się we wspólnocie chrześcijan? Oczywiście zupełnie inaczej wygląda, gdy prawo świeckie nie radzi sobie z problemami i szukając inspiracji, zwraca się do świata chrześcijańskiego o pomoc. Taka kolejność jest jak najbardziej w porządku.

Sformalizowane nauczanie religii w naszych szkołach raz po raz woła o większe wsparcie, postulując nawet możliwość wyboru religii jako przedmiotu maturalnego, co w sposób oczywisty pociąga za sobą precyzyjniejsze określenie ram formalnych. Ośmielę się jednak pójść w zupełnie innym kierunku. Czy aby wydarzenie opisane w Dziejach Apostolskich, gdy Duch Święty działa swobodnie również w sercach pogan, nie zachęca nas do pozostawienia jak największej przestrzeni otwartej i niebetonowania katechezy jeszcze ściślejszymi regulacjami? Może lepiej zupełnie zrezygnować z ocen, a lekcję religii uczynić areopagiem wymiany myśli i doświadczeń w przestrzeni duchowej? Owszem, wiedza jest ważna, ale całe nauczanie Jezusa, będące absolutną podstawą chrześcijaństwa, było przygodne, takie jakby przy okazji tego, co się działo, zawsze zakotwiczone w bieżących wydarzeniach. Zapewne jakieś ramy programowe są potrzebne, ale nie bardziej niż swoboda w odchodzeniu od nich na rzecz poszukiwania odpowiedzi na palące, bieżące pytania. Wydaje mi się, że czujemy pokusę stworzenia świetnego systemu nauczania, oderwanego od codzienności.

Tak jakoś mnie naszło, być może zbyt praktycznie, jak to bywa u prostego chłopaka z Wielkopolski.

Jakie szanse i obawy widzę w nauczaniu religii w szkole?

OD SASA DO LASA

A zatem zachęcam was ja, więzień w Panu, abyście postępowali w sposób godny powołania, jakim zostaliście wezwani, z całą pokorą i cichością, z cierpliwością, znosząc siebie nawzajem w miłości. Usiłujcie zachować jedność Ducha dzięki więzi, jaką jest pokój. Jedno jest Ciało i jeden Duch, bo też zostaliście wezwani do jednej nadziei, jaką daje wasze powołanie. Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich, który [jest i działa] ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich. Każdemu zaś z nas została dana łaska według miary daru Chrystusowego. Dlatego mówi Pismo: Wstąpiwszy do góry wziął do niewoli jeńców, rozdał ludziom dary. Słowo zaś „wstąpił" cóż oznacza, jeśli nie to, że również zstąpił do niższych części ziemi? Ten, który zstąpił, jest i Tym, który wstąpił ponad wszystkie niebiosa, aby wszystko napełnić. I On ustanowił jednych apostołami, innych prorokami, innych ewangelistami, innych pasterzami i nauczycielami dla przysposobienia świętych do wykonywania posługi, celem budowania Ciała Chrystusowego, aż dojdziemy wszyscy razem do jedności wiary i pełnego poznania Syna Bożego, do człowieka doskonałego, do miary wielkości według Pełni Chrystusa (Ef 4, 1-13).

Niektórzy widzą w tym niebywałe bogactwo Kościoła, inni zaś istne szaleństwo – od Sasa do Lasa. Najróżniejsze charyzmaty, grupy, wspólnoty – od skrajności do skrajności i aż trudno uwierzyć, że to wszystko mieści się w jednym Kościele katolickim. A i periodyki rozciągają się od katolewicy do katoprawicy, poprzez te zalatujące egzorcyzmem, ezoteryzmem, rzadziej gnozą. Są tacy, którzy uważają, że przez to Kościół jest najbardziej

liberalną organizacją w Polsce. Bo jaka inna społeczność mogłaby pomieścić z jednej strony Życińskiego i Pieronka, a Rydzyka i Okę z drugiej? Zatem wezwanie św. Pawła z Listu do Efezjan: „Usiłujcie zachować jedność…" brzmi w tych okolicznościach zupełnie absurdalnie. Apostoł uważa, że podstawą tej jedności jest pokój. Jak to rozumieć? Nie wiem. Pojmuję jednak propozycję, by z całą pokorą, cichością i cierpliwością znosić siebie nawzajem w miłości. Znosić, czyli tolerować, zgadzać się na siebie, ale chyba i więcej – spoglądać na siebie z życzliwością, dostrzegając wszelkie szlachetne postawy i zachowania. Owszem, wymaga to bardzo rozwiniętej duchowości, wielkiego serca i dobrotliwych oczu, ale czy nie o to właśnie chodzi w chrześcijaństwie? Choć muszę przyznać, że czasami się gubię i sam nie wiem, jakimi strumykami płynie ewangeliczne życie. Przysłuchując się na przykład rozmowie pani Jaruzelskiej z panem Braunem, sam nie wiem, komu do Ewangelii bliżej. Dziennikarce, która podaje się za agnostyczkę, czy politykowi, który nie rozpocznie swej wypowiedzi inaczej niż od „Szczęść Boże". Oj, bardzo się w tym wszystkim gubię. A tu jeszcze św. Paweł uparcie twierdzi: „Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich". I pewnie bym już musiał żyć w tym swoim zagubieniu, gdyby nie słowa, które wyjaśniają bardzo wiele, a odnoszą się do samego Boga, „który jest i działa ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich". Tak, to bardzo wiele wyjaśnia. Dziękuję, św. Pawle, bardzo dziękuję.

Jak odnajduję się w ogromnej różnorodności Kościoła w Polsce? Jak usiłuję to w sobie zintegrować?

WIARA CAŁEGO KOŚCIOŁA

Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić (Dz 2, 1-11).

Te detale są dla mnie ważne. A może się mylę, bo to nie są detale – to clou sprawy. Nie spoczął na nich jeden wspólny ogień, ale na każdym osobny, jednostkowy. Całe potężne w swym oddziaływaniu zjawisko obecności Ducha Świętego tak naprawdę dzieje się w indywidualnej przestrzeni konkretnego człowieka. Przenika do jego prywatnego życia, staje się częścią jego intymności.

Liturgia godzin – nieustannie szeptana modlitwa Kościoła – wypowiadana jest tysiącami, a kto wie czy nie milionami, ust należących do konkretnych ludzi. Staje się ona częścią ich indywidualnego losu. Kształtuje go i przemienia, oddziałując na ich bliższych i dalszych znajomych. Tak oto powstaje przestrzeń Kościoła – mistycznie obecnego między nami zmartwychwstałego Chrystusa. Zostajemy pobudzeni do konkretnych zachowań. Nasze postawy zyskują źródło inspiracji. Tworzy się nadprzyrodzona łączność.

Podobnie Kościół karmi się Eucharystią, spożywaną przez siostry i braci. Budowana przez nich więź ze Zmartwychwstałym staje się Jego obecnością

w Kościele. Wiele cienkich, czasami nawet rachitycznych niteczek splata się w mocną linę, na której wiszą losy świata.

W czasie każdej mszy świętej tuż przed komunią z niezmiennym wzruszeniem i jednocześnie wielką nadzieją wypowiadam te przejmujące słowa: „Prosimy Cię, nie zważaj na grzechy nasze, lecz na wiarę swojego Kościoła". Każdy z nas, w swej indywidualnej przygodzie z Chrystusem, staje się drobną cząstką większej całości. Jesteśmy od siebie zależni. Nasze indywidualne i intymne życie wewnętrzne jest na dobrą sprawę publiczne i ma szerokie oddziaływanie. Szeptane po nocach modlitwy, których nikt nie słyszy, a czasami nawet nie przeczuwa ich istnienia, a także postawy inspirowane Ewangelią – wszystko to buduje wiarę całego Kościoła. I właśnie tak wygląda Kościół – Lud Wierny.

Co czuję, gdy uświadamiam sobie, jak wielkie oddziaływanie na innych ma moja indywidualna więź z Chrystusem?

WARTOŚĆ CZEKANIA

Było to w piętnastym roku rządów Tyberiusza Cezara. Gdy Poncjusz Piłat był namiestnikiem Judei, Herod tetrarchą Galilei, brat jego Filip tetrarchą Iturei i Trachonitydy, Lizaniasz tetrarchą Abileny; za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza skierowane zostało słowo Boże do Jana, syna Zachariasza, na pustyni. Obchodził więc całą okolicę nad Jordanem i głosił chrzest nawrócenia dla odpuszczenia grzechów, jak jest napisane w księdze mów proroka Izajasza: „Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, prostujcie ścieżki dla Niego! Każda dolina zostanie wypełniona, każda góra i pagórek zrównane, drogi kręte staną się prostymi, a wyboiste drogami gładkimi! I wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże". (Łk 3, 1-6)

Pewnego razu zamierzałem wymienić opony w samochodzie. Odwiedzając kolejne warsztaty, odkryłem, że musiałbym tkwić w kolejce około sześciu godzin. Wolałem więc pojechać do małego miasteczka oddalonego o 70 kilometrów, byle tylko załatwić sprawę szybko.

Jan Chrzciciel uosabia całą historię Izraela, której fundamentalnym rysem było wyczekiwanie. W tym proroku jak w soczewce skupia się Stary Testament. Oczekiwanie Jana jest skutkiem wiary w obietnicę, ale jednocześnie warunkiem jej wypełnienia. Bóg jak gdyby zwleka ze swoim przyjściem do momentu, gdy będzie w pełni oczekiwany. Jan nie tylko oczekuje, ale i każdego do takiej postawy zaprasza. Nie tylko członków narodu żydowskiego, lecz także pogan spod panowania Tyberiusza, który – jak się wydawało – rządził całym światem.

Wszyscy jesteśmy wezwani do oczekiwania. Przy czym nie chodzi tu o bierne wyczekiwanie jak w kolejce przed gabinetem lekarskim, ale dynamiczne, które skutkuje przemianą wewnętrzną. Drogi kręte mają być wyprostowane.

Umiejętność czekania ma ogromne znaczenie dla naszego życia duchowego. Gdy byłem młodym świeżo nawróconym chłopakiem, postanowiłem „zaliczyć" wszystkie roraty w adwencie. Każdego dnia chodziłem na szóstą rano do kościoła, a że miałem spory kawałek do przejścia, pobudka była przed piątą. Co to oznaczało dla studenta, można sobie wyobrazić. A jeszcze na dodatek byłem trochę niedouczony i nie wiedząc, że roraty odprawiane są od poniedziałku do soboty, w niedzielę też zrywałem się na szóstą. To były najbardziej wyczekane przeze mnie święta. I doprawdy okazały się piękne, jak wszystko, na co musimy czekać, począwszy od tak banalnych rzeczy jak wakacje, randka czy koncert ulubionego zespołu, a skończywszy na małżeństwie.

Gdy w czasie ślubu młodzi stają przed ołtarzem, od razu widać, czy jest to ślub wyczekany – czy wytrzymali z zamieszkaniem i ze współżyciem do tego właśnie momentu. Czekanie daje im niezwykły dynamizm, ogromną, autentyczną radość i ten niepowtarzalny błysk w oku, które udzielają się wszystkim w kościele i pozostają jako posag na całe życie. Takie czekanie potrafi wyprostować niejedną krętą drogę.

Co pomaga mi w zdobywaniu cennej umiejętności cierpliwego czekania? Kiedy ostatnio udało mi się na coś czekać bez zbędnego kapryszenia?

KWIATY PUSTYNI

Tak mówi Pan Bóg: „Ja także wezmę wierzchołek z wysokiego cedru i zasadzę, z najwyższych jego pędów ułamię gałązkę i zasadzę ją na górze wyniosłej i wysokiej. Na wysokiej górze izraelskiej ją zasadzę. Ona wypuści gałązki i wyda owoc i stanie się cedrem wspaniałym. Wszystko ptactwo pod nim zamieszka, wszystkie istoty skrzydlate zamieszkają w cieniu jego gałęzi. I wszystkie drzewa polne poznają, że Ja jestem Pan, który poniża drzewo wysokie, który drzewo niskie wywyższa, który sprawia, że drzewo zielone usycha, który zieloność daje drzewu suchemu. Ja, Pan, rzekłem i to uczynię" (Ez 17, 22-24).

Księga Ezechiela uważana jest za jedną z najtrudniejszych w Starym Testamencie. Mimo przejrzystego układu i łatwej do uchwycenia treści poszczególne partie znacząco różnią się między sobą formami literackimi i stylem, a w słownictwie uwidaczniają się wpływy języka aramejskiego i akadyjskiego. Na to wszystko nakłada się jeszcze rys babiloński.

Oczywiście wiemy, że opowieść o zasadzonej na wysokiej górze ułamanej gałązce cedrowej, która staje się wspaniałym drzewem dającym schronienie ptactwu, należy rozumieć alegorycznie. Ale czego dotyczy ta alegoria? W przeszłości mogła być rozumiana w sposób polityczny. Tak jak dwa orły z tego samego 17 rozdziału uważało się za symbol dwóch wielkich władców: Nabuchodonozora w Babilonii i faraona Chofry w Egipcie, podobnie majestatyczny cedr libański miał symbolizować dynastię Dawida, zaś zasadzona gałązka z tego drzewa – Jojakina, ostatniego władcę niepodległej monarchii.

Dla nas jednak najbardziej oczywisty jest mesjanistyczny sens tej alegorii. Jahwe sadzi młodą gałązkę symbolizującą Mesjasza – Jezusa Chrystusa, potomka Dawida. On to daje początek nowemu królestwu, które rozrośnie się, stając się schronieniem dla rzeszy ludzi. Poniżenie drzewa wysokiego i wywyższenie niskiego, a także obraz zielonego, które usycha, i uschłego pokrywającego się zielenią to motywy znane z pieśni uwielbienia Maryi: „Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych" (Łk 1, 52), jedne z wielu paradoksów chrześcijaństwa.

W dzieciństwie byłem świadkiem bardzo dziwnego wydarzenia. Mieliśmy w domu roślinkę w doniczce, w zasadzie był to wyschnięty patyk wysokości może niecałego metra. Rodzice chcieli go wyrzucić, babcia jednak ubłagała ich, aby tego nie robili. Stwierdziła krótko: „Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści". Podobno na dno doniczki włożyła jajko i podlewała regularnie. I faktycznie, w końcu pojawiły się pierwsze listki, a po roku roślina była imponująca. To jest moja alegoria, i Chrystusa, i chrześcijaństwa, i mojego serca. Nasz Bóg z jakiegoś powodu upodobał sobie, żeby na terenach pustynnych pojawiały się kwiaty. To, co we mnie wyschłe, może okazać się wartościowe. Pozostaje pytanie – jak to podlać.

Jakie martwe rejony mojego serca ożyły za sprawą Bożej troski?

PO CO TEN SPACEREK?

Albowiem miłość Chrystusa przynagla nas, pomnych na to, że skoro Jeden umarł za wszystkich, to wszyscy pomarli. A właśnie za wszystkich umarł <Chrystus> po to, aby ci, co żyją, już nie żyli dla siebie, lecz dla Tego, który za nich umarł i zmartwychwstał. Tak więc i my odtąd już nikogo nie znamy według ciała; a jeśli nawet według ciała poznaliśmy Chrystusa, to już więcej nie znamy Go w ten sposób. Jeżeli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, minęło, a oto <wszystko> stało się nowe (2 Kor 5, 14-17).

Pani Maja Komorowska przytacza bardzo interesującą rozmowę czteroletniej wnuczki z babcią.

Dziewczynka pyta:

– Babciu, a gdzie ja byłam, zanim się urodziłam?

– W niebie, serdeńko – odpowiada kobieta.

– A gdzie będę, gdy umrę? – docieka dalej wnuczka.

– W niebie oczywiście – wyjaśnia jej cierpliwie babcia.

– To po co ten spacerek?

Wydaje mi się że ta dziewczynka w swoim prostym zdziwieniu zadaje zasadnicze pytanie. Po co spaceruję przez życie? Cui bono? Po co to wszystko? Można żyć, nie zadając sobie tego typu pytań, ale – odwołując się do pani Szymborskiej – czy, nie robiąc tego, można owocować?

Św. Paweł stawia sprawę jasno: nikt z nas nie żyje dla siebie. Co to znaczy?

Wielki teolog, jezuita Karl Rahner stwierdził: „Człowiek musi się kiedyś zdobyć na to, by się od siebie oderwać". Gotowość oderwania uwagi od

siebie samego i rozejrzenia się dookoła jest czymś niezwykle cennym, ale św. Pawłowi chodzi o coś więcej niż o życie wzniosłą myślą przewodnią, ideą, o której można przeczytać, a następnie realizować ją na drodze osiągania szlachetnych celów. Mimo że takie rozumienie życia dla innych jest wspaniałe i wielkoduszne, to jednak Apostoł Narodów ma na myśli coś innego. Życie dla Chrystusa nie polega na realizacji cennej idei, ale nieustannym poszukiwaniu komunii z Nim, w głębokim przekonaniu, że On żyje i aktywnie uczestniczy w naszym ludzkim losie (to tak, jak życie z dynamiczną, aktywną osobą. Trudno przewidzieć, jak się zachowa). Mamy do czynienia z nieustanną interakcją i koniecznością aktualizacji. Stąd tak ważna jest potrzeba nieustannego rozwoju doktryny, by mogła ona nadążać za dynamizmem nieprzerwanie rozwijającego się świata. Chrystus wprowadzi nas na nowe drogi, tak jak prowadził dotąd całe pokolenia chrześcijan. Chrześcijaństwo ze swej natury wcale nie jest konserwatywne, a wręcz przeciwnie – niezwykle nowoczesne, bo sam Jezus ciągle na nowo działa w świecie.

Co to dla mnie znaczy żyć dla Chrystusa? Do czego On mnie wzywa i zaprasza?

Śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się z zagłady żyjących. Stworzył bowiem wszystko po to, aby było, i byty tego świata niosą zdrowie: nie ma w nich śmiercionośnego jadu ani władania Otchłani na tej ziemi. Bo sprawiedliwość jest nieśmiertelna. Do nieśmiertelności Bóg stworzył człowieka – uczynił go obrazem swej własnej wieczności. A śmierć weszła w świat przez zawiść diabła i doświadczają jej ci, którzy do niego należą (Mdr 1, 13-15; 2, 23-24).

Przekonanie, że „nie wszystek umrę", że nasze życie nie ogranicza się tylko do czasu trwania w fizycznym ciele towarzyszy wielu ludziom. Objawia się ono na różne sposoby w rozmaitych, odległych od siebie kulturach, jednak zadziwiająca jest jego zgodność co do istoty: nie wszystek umrę. Księga Mądrości mówi wprost: „Śmierci Bóg nie uczynił [...]. Stworzył bowiem wszystko po to, aby było [...]". Życie nie zgaśnie jak zdmuchnięta świeca, ono się przeobrazi – niczym gąsienica owinięta w kokon, która wreszcie wyfrunie jako motyl.

Ostatnio byłem na pogrzebie księdza Stanisława Orzechowskiego zwanego „Orzechem". Był on wieloletnim duszpasterzem akademickim we Wrocławiu. Odegrał bardzo ważną rolę w moim życiu i w życiu wielu moich przyjaciół, a nawet całego naszego miasta. I mimo że wydawało się, jakby ostatnimi laty choroba oddaliła go od naszej codzienności, to w czasie uroczystości pogrzebowych okazało się, że był w niej dalej żywo obecny. Pogrzeb przerodził się w tętniącą śpiewem manifestację oczywistego przekonania, że życie się nie kończy. Na wejście podczas

mszy zabrzmiały słowa pieśni: „Wody Jordanu weselcie się, nasz Zbawiciel przychodzi...". Nigdy jeszcze nie słyszałem bardziej radosnego „Alleluja". Przy równie pogodnych śpiewach ruszył kondukt na cmentarz, a tysiące przyjaciół oklaskami żegnało swego duszpasterza. Na niebie pojawiła się tęcza. Mogiłę spowiły polne kwiaty, które zmarły szczególnie lubił. Przy wyjściu z cmentarza zbierano zaoszczędzone na wieńcach środki, by przekazać je siostrom karmelitankom. Za bramą czekały zupa, ciasto, kawa i koncert. Wszystko zakończyło się potańcówką. Radość przeplatała się ze łzami wzruszenia. I tak jak w Dziejach Apostolskich przyjaciele Pawła płakali przy jego odjeździe, smucąc się, że już nigdy go nie zobaczą, tak i tu żal gdzieś się przewijał, ale życie tryumfowało. Wyrażał to też zawieszony nad wejściem na cmentarz płócienny transparent, a którym napisano sprejem : „Szerokości".

Co czuję, gdy myślę o swojej śmierci?

OŚCIEŃ

Bracia: Aby nie wynosił mnie zbytnio ogrom objawień, dany mi został oścień dla ciała, wysłannik Szatana, aby mnie policzkował – żebym się nie unosił pychą. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby odszedł ode mnie, lecz mi powiedział: „Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali". Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa. Dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny (2 Kor 12, 7-10).

Czytając ten fragment z Pisma Świętego, myślę o bezsilności, z jaką stajemy wobec swoich słabości, a może lepiej powiedzieć: defektu, przewiny, skazy. Każdy ma coś osobistego, skrojonego na własną miarę i dokuczającego z tak spersonalizowanym wdziękiem, że żyć się odechciewa. Św. Paweł nazywa to ościeniem. Wielu snuło najróżniejsze domysły, czym ów oścień jest, kierując swe podejrzenia najczęściej w stronę trudności seksualnych. Proszę mi wybaczyć, że nie pójdę w ich ślady, myśląc sobie, że jeśli apostoł chce o tym problemie mówić w przypowieściach i nie dąży do zbyt daleko idącego ekshibicjonizmu, to należy to uszanować. Niemniej problem był na tyle doskwierający i św. Paweł czuł się tak bardzo upokorzony, że prosił Pana, aby ten odszedł od Niego, nawet trzykrotnie.

W dzieciństwie przyjechał do mnie kuzyn z Kanady. Byłem w niego wpatrzony jak w obrazek – z Kanady... Na część naszego ogrodu, gdzie

były warzywa i drzewa owocowe, przedostała się kwoka naszej sąsiadki z pisklakami. Kuzyn wytłumaczył mi, że warzywniak jest śmiertelnie zagrożony, bo takie pisklaki mają gigantyczny apetyt i mogą w okamgnieniu pożreć wszystko, co zielone. Stanęliśmy ramię w ramię do walki w obronie ogrodu. Wybiliśmy kamieniami wszystkie pisklęta, a kurę dobiliśmy cegłówką. Dumny jak bohater wracałem do domu. Na wszelki wypadek jednak, przeczuwając, że mogę mieć kłopoty, schowałem się pod łóżkiem w pokoju rodziców. Przyszła sąsiadka i opowiadała babci, jak to ktoś bez serca powybijał jej pisklęta i kwokę. Przez wiele tygodni nie byłem w stanie pokazać się sąsiadce na oczy. Ona nie wiedziała, że to moja wina, ale ja wiedziałem. Czułem się tak upokorzony tym haniebnym czynem, że było mi trudno żyć dalej.

Każdy z nas ma swój oścień, swoje wybite pisklaki. Każdy z nas chowa się gdzieś po krzakach, a Bóg nas szuka, rozpytując: „Adamie, gdzie jesteś?" i mówiąc: „Wystarczy ci mojej łaski...". I jaka moc ma się doskonalić w tych słabościach? Ano właśnie ta pokora – wystarczy mi Jego łaski.

Co jest moim ościeniem? Jaka z niego korzyść? Jaką moc on doskonali?

KOCHAŁBYM CIĘ, GDYBYŚ BYŁ INNY

Odtąd zaczął Jezus wskazywać swoim uczniom na to, że musi iść do Jerozolimy i wiele cierpieć od starszych i arcykapłanów, i uczonych w Piśmie; że będzie zabity i trzeciego dnia zmartwychwstanie. A Piotr wziął Go na bok i począł robić Mu wyrzuty: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie". Lecz On odwrócił się i rzekł do Piotra: „Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki" (Mt 16, 21-23).

Kilka lat temu w kościele akademickim św. Macieja we Wrocławiu powstały dwa witraże przedstawiające scenę Mistycznej Wieczerzy. Kompozycja nawiązywała do wspaniałej ikony szkoły nowogrodzkiej, która ugrzęzła w magazynach muzealnych w Kijowie i stojąc w długiej kolejce wspaniałych dzieł, zapewne nieprędko ujrzy światło dzienne. Jest to przedstawienie bogate w symbolikę, a jednocześnie pełne prostoty. Zupełnie inne niż zachodnie obrazy ostatniej wieczerzy w rodzaju tej namalowanej przez Leonarda da Vinci ze swym scenicznym przedstawieniem uczniów siedzących po jednej stronie stołu z Chrystusem pośrodku oraz widzami oglądającymi obraz z drugiej strony stołu – jak w teatrze. Na ikonie szkoły nowogrodzkiej uczniowie siedzą wokół okrągłego stołu, przy którym nie ma miejsc uprzywilejowanych, a Chrystus jest odsunięty lekko na bok, oczywiście z Janem ułożonym na Jego kolanach. I właśnie takie usytuowanie postaci Jezusa może wzbudzać zdziwienie i zachęcać do refleksji. Nasz Zbawiciel został tu ukazany jako baranek paschalny:

„samiec jednoroczny oddzielony od stada", jak nakazuje prawo (Wj 12, 5). Tym, co oddziela Jezusa od uczniów, jest zapowiedź Jego męki. W Ewangelii według św. Mateusza, gdy Chrystus wspomina uczniom o swej wyprawie do Jerozolimy, gdzie będzie musiał wiele wycierpieć, Piotr natychmiast bierze Go na bok i zaczyna robić mu wyrzuty. Próbuje nawet prorokować, że nigdy nic podobnego się nie wydarzy. Dochodzi między nimi do ostrej wymiany zdań.

Być może każdego z nas coś innego oddziela od Boga, choćby niezgoda na fakt, że deszcz pada na dobrych i na złych, podobnie też świeci słońce, a On spokojnie na to patrzy. Albo oburza nas to, że pozwala rosnąć razem chwastom i zbożu aż do żniwa i nie oczyszcza na bieżąco poletka, jak byśmy sobie tego życzyli. A może jeszcze inne fragmenty Ewangelii, z którymi się nie zgadzamy i wzdychamy w głębi serca: „Oj Boże, mój Boże, jak ja bym Cię kochał, gdybyś był trochę inny!". A może to nasze stałe, dyżurne westchnienie, które uruchamia się, gdy patrzymy na każdego, nawet najbliższego nam człowieka?

Co oddala mnie od Chrystusa, jakie Jego cechy, zapatrywania, opinie, działania? Jak rozumiem miłość bezwarunkową?

NA ZDROWY ROZUM

I rzekł Amazjasz do Amosa: „«Widzący», idź, uciekaj sobie do ziemi Judy! I tam jedz chleb, i tam prorokuj! A w Betel więcej nie prorokuj, bo jest ono królewską świątynią i królewską budowlą". I odpowiedział Amos Amazjaszowi: „Nie jestem ja prorokiem ani nie jestem uczniem proroków, gdyż jestem pasterzem i tym, który nacina sykomory. Od trzody bowiem wziął mnie Pan i rzekł do mnie Pan: «Idź, prorokuj do narodu mego, izraelskiego!»" (Am 7, 12-15).

No to mamy konflikt między prorokami. Amos pochodzi z miasteczka Tekoa leżącego na południe od Betlejem. Zajmuje się pasterstwem i hodowlą sykomor, którymi żywi się biedniejsza ludność. Działa w okolicach Betel, gdzie pojawia się też inny, wrogi mu, samozwańczy prorok Amazjasz, który przegania Amosa. W kraju za panowania Jeroboama panuje pokój i dobrobyt, ale nie idzie z nimi w parze wysoki poziom religijno-moralny. Po sąsiedzku niepokojąco rośnie w potęgę Asyria. Amos próbuje swym rodakom otworzyć oczy na te zagrożenia. Piętnuje formalizm w kulcie i synkretyzm religijny. Oni pozostają jednak lekkomyślni.

Bez większego trudu znaleźlibyśmy w tej historii wiele analogii do współczesności. Prorok Amos, mówiąc o sobie, że jest tym, który nacina sykomory, być może myśli alegorycznie. Owoce sykomory podobne do fig są gorzkie i dlatego zanim dojrzeją, nacina się je, co zdecydowanie polepsza ich smak.

Bywa tak, że jakieś słowa wydają się ostre, a nawet raniące, ale odpowiednio przyjęte zmieniają jakość naszego życia, usuwając jego gorycz. Oczywiście

pozostaje jeszcze rozróżnić, który z proroków w naszych czasach jest tym prawdziwym, a który fałszywym. Łatwo się w tym pogubić. Szczepić się czy nie? Słuchać oświadczeń watykańskich czy miejscowego episkopatu? Jak widać, niektóre problemy towarzyszą ludzkości nieustannie, powracając jak morska fala.

Czasem, szukając sposobu na poradzenie sobie z trudnościami, ludzie podejmują najróżniejsze terapie i zdarza się, że mają wątpliwości co do podejmowanych tam działań. Poprosiłem o pomoc doświadczoną psycholożkę z naszego Uniwersytetu Wrocławskiego i zapytałem: „Jak rozpoznać, czy terapia przebiega we właściwy sposób, czy nie schodzi na niebezpieczne tory?". Odpowiedziała mi zadziwiająco prosto: „Nigdy nie należy wyłączać zwykłego, zdroworozsądkowego myślenia. Jeśli wszystko jest z nim zgodne, to istnieje duże prawdopodobieństwo prawidłowego przebiegu terapii. Ale jeśli zaczynamy od niego odchodzić, obawy są słuszne".

W jaki sposób staram się posługiwać w życiu zdrowym rozsądkiem?

PASTERZ

Apostołowie zebrali się u Jezusa i opowiedzieli Mu wszystko, co zdziałali i czego nauczali. A On rzekł do nich: „Pójdźcie wy sami osobno na pustkowie i wypocznijcie nieco". Tak wielu bowiem przychodziło i odchodziło, że nawet na posiłek nie mieli czasu. Odpłynęli więc łodzią na pustkowie, osobno. Lecz widziano ich odpływających. Wielu zauważyło to i zbiegli się tam pieszo ze wszystkich miast, a nawet ich wyprzedzili. Gdy Jezus wysiadł, ujrzał wielki tłum. Zlitował się nad nimi, byli bowiem jak owce niemające pasterza. I zaczął ich nauczać o wielu sprawach (Mk 6, 30-34).

Kiedyś w gablotce duszpasterskiej zobaczyłem dwa wiszące obok siebie plakaty. Pierwszy z patrzącą bezczelnie prosto w oczy owcą głosił: „Nie bądź baran, jedź na rekolekcje do Piwnicznej!". Drugi reklamował książkę ks. Piotra Pawlukiewicza *Becz i dzwoń dzwoneczkiem*! Widząc to zestawienie – zbaraniałem.

Obraz stada i pasterza jest bardzo stary. Niewątpliwie przemawiał do wyobraźni pasterskich ludów. Dla współczesnych natomiast staje się coraz mniej czytelny. Nie tak dawno, przy okazji czytań liturgicznych poruszających ten temat, zapytałem studentów, czy ktoś z nich widział kiedykolwiek na własne oczy pasterza. Na kilkuset zgłosiło się dwóch. Gdy spytałem o elektrycznego pastucha, ledwie kilkoro nie widziało.

Pasterze byli twardymi, trochę dzikimi ludźmi, żyjącymi na co dzień ze swymi zwierzętami. Z nimi spędzali całe dnie i z nimi spali w nocy. Tak dobrze znali reakcje swych zwierząt, że wystarczało im jedno

spojrzenie, by zrozumieć wszystko. Byli ludźmi, ale jakby stojącymi okrakiem między dwoma światami. I faktycznie, na odległość cuchnęli zwierzęciem, byli nim przesiąknięci. Obraz ten świetnie pasuje do postaci Chrystusa, Boga wcielonego, który porusza się na granicy dwóch światów. Będąc Bogiem, jest jednocześnie człowiekiem. Żyje w dwóch rzeczywistościach. Obraz skrojony dokładnie na jego miarę. Ale równie często odnosi się go do roli, jaką w Kościele przypisuje się kapłanom. I tu, moim zdaniem, powstają pewne zakłócenia. Proboszcz – duszpasterz, a do tego oczywiście owczarnia, czyli parafianie. Nawet stwierdzenie papieża Franciszka, że pasterz powinien pachnieć owcami, nie osłabia moich wątpliwości, a nawet je potęguje. No bo ontologicznie rzecz biorąc, czym my, księża różnimy się od wszystkich członków stada? Święceniami? Owszem. A co one powodują? A to, że możemy być szafarzami sakramentów i powinniśmy głosić i objaśniać Dobrą Nowinę o zmartwychwstaniu. No i jeszcze powinniśmy być sługami komunii w naszych wspólnotach, ale nadal będąc członkami tego stada. „Z ludu wzięty, do ludu posłany". Trudno mi wyjaśnić samemu sobie, na czym polega nasza wyjątkowość i odmienność. Dlatego czasami nie wiem, co począć, gdy studenci mówią do mnie – „duszpasterzu".

Jaki rodzaj wzruszenia wywołuje we mnie obraz pasterza użyty w stosunku do Jezusa Chrystusa?

WIELKIE KWANTYFIKATORY

A zatem zachęcam was ja, więzień w Panu, abyście postępowali w sposób godny powołania, jakim zostaliście wezwani, z całą pokorą i cichością, z cierpliwością, znosząc siebie nawzajem w miłości. Usiłujcie zachować jedność Ducha dzięki więzi, jaką jest pokój. Jedno jest Ciało i jeden Duch, bo też zostaliście wezwani do jednej nadziei, jaką daje wasze powołanie. Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich, który [jest i działa] ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich (Ef 4, 1-6).

I po co te wielkie kwantyfikatory? Bezpieczniej byłoby powiedzieć: „w wielu" i „przez wielu", ale Paweł jedzie grubym ściegiem i upiera się, że: „Jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich, który jest i działa ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich". Ewidentnie Apostołowi Narodów nie zależy na bezpiecznej, łatwej do obronienia tezie. Nie sądzę też, by chciał szokować. O co mu zatem chodzi? Może zwyczajnie o prawdę? Może jest tak, jak pisze? Ten, który był sieczony rózgami, zamykany w więzieniach, doświadczył losu rozbitka na morzu, doznał wiele zła od ludzi – on odkrył, że jednak Bóg działa ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich. Taki sposób widzenia świata i rozumienia zdarzeń to jest właśnie mistyka chrześcijan. Czy tego rodzaju podejście do życia niesie za sobą jakieś konkretne reperkusje, wpływa bezpośrednio na postawy i zachowania?

Paweł i Sylas w Tiatyrze uwolnili od złego ducha pewną niewolnicę. Pokrzyżowało to interesy wpływowych ludzi. Apostołowie zostali więc wtrąceni do

więzienia. Strażnik okazał się bardzo gorliwy, a nawet nadgorliwy, i nie dość, że ich zamknął, to jeszcze zakuł w dyby. Oczywiście pozycja więźniów była nie do pozazdroszczenia, jednakże nie przeszkadzało im to śpiewać po nocach. Zostali cudownie uwolnieni. Strażnik, gdy się obudził, odkrył z przerażeniem, że więzienie jest otwarte. Z rozpaczy chciał popełnić samobójstwo, na co Paweł zaczął krzyczeć z głębin lochu, by nie robił sobie żadnej krzywdy, bo wszyscy są na miejscu. Jaki był finał całej przygody? Okrutny strażnik ugościł w swoim domu prześladowanych i obmył im rany.

Mój wniosek może jest zbyt śmiały i uproszczony, ale myślę, że ów pozbawiony nawet cienia żalu czy pretensji, skierowany przez Pawła do jego prześladowcy apel, by ten nie wyrządzał sobie krzywdy, miał swoje źródło właśnie w przekonaniu, że Bóg działa ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich, bo jest Bogiem wszystkich.

Jak można wdrapać się na takie szczyty chrześcijańskiej mistyki? Jak zrobić miejsce w sercu, usuwając na bok swój rozum i rozbudowane „ja", by Bóg mógł wlać tam trochę łaski i światła? No właśnie, jak?

Co czuję, gdy uświadamiam sobie, że Bóg jest Bogiem wszystkich i takoż działa: przez wszystkich i we wszystkich?

TWARDY „TYŁEK”

Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił. Posłał mnie, abym głosił dobrą nowinę ubogim, bym opatrywał rany serc złamanych, żebym zapowiadał wyzwolenie jeńcom i więźniom swobodę; abym obwieszczał rok łaski Pańskiej. Ogromnie się weselę w Panu, dusza moja raduje się w Bogu moim, bo mnie przyodział w szaty zbawienia, okrył mnie płaszczem sprawiedliwości, jak oblubieńca, który wkłada zawój, jak oblubienicę strojną w swe klejnoty. Zaiste, jak ziemia wydaje swe plony, jak ogród rozplenia swe zasiewy, tak Pan Bóg sprawi, że się rozpleni sprawiedliwość i chwała wobec wszystkich narodów (Iz 61, 1–2a.10–11).

Słowa z księgi proroka Izajasza o tym, że Bóg posyła, aby opatrywać rany serc złamanych, bardzo często odnosimy do zapowiedzi Mesjasza. Bóg pośle Tego, który będzie głosił dobrą nowinę i zapowie wyzwolenie jeńcom. On Go namaści. Ale te słowa są też skierowane do każdego z nas.

Wspominałem już o młodym człowieku, który sześć ze swoich dwudziestu sześciu lat spędził w więzieniu. Byłem bodajże jego jedyną bratnią duszą. Wydawało mi się, że jesteśmy sobie bliscy, mimo że strażnicy w więzieniu czasami ostrzegali mnie, że nie wiem, z kim mam do czynienia. Gdy po kolejnej odsiadce wyszedł na wolność, stał się wobec mnie bardzo agresywny. Nie wytrzymałem. Porzuciłem go. Jak leczyć rany serc złamanych? Poniosłem pełną porażkę.

Ostatnio przyszedł do spowiedzi mężczyzna. Rozmawialiśmy. Mówił o swoich córkach.

– A ile ma pan córek? – zapytałem.

– Pięćdziesiąt jeden.

Syknąłem ze zdumienia.

– Sporo.

– Znam takich, co mają więcej.

– Niemożliwe! – odrzekłem z niedowierzaniem.

On na to:

– Choćby mój sąsiad, on ma pięćdziesiąt trzy.

Moje zdumienie rosło.

– Jak to? Pięćdziesiąt trzy córki? – wykrzyknąłem.

– Ksiądz oszalał. Jakie córki? Co ksiądz wygaduje? Pięćdziesiąt trzy lata!

Wydaje mi się, że czasami tak właśnie wygląda moja rozmowa z Bogiem, i podejrzewam, że nie jestem w tym osamotniony. On swoje, ja swoje. A potem rozdziawiam „gębę" ze zdziwienia.

Prorok mówi o opatrywaniu serc złamanych, a ja zaraz sobie imaginuję, że mógłbym uleczyć ludzkie serce. Ten młody chłopak został tak straszliwie poraniony w dzieciństwie, że najprawdopodobniej będzie kąsał przez całe życie. Mogę jedynie założyć jakiś opatrunek na jego rany, ale prędzej czy później krew przecieknie i trzeba będzie go zmienić. Wszystko zacznie się na nowo.

A co począć z ranami, jakie on mi zada? Bo przecież będzie mnie krzywdził. Prorok ogłasza uwolnienie jeńców i swobodę dla więźniów. Może to zapowiedź mojego oswobodzenia od nadmiernego przewrażliwienia na własnym punkcie. Kiedyś w duszpasterstwie

mawialiśmy, że aby mieć dobre serce, trzeba mieć też twardy „tyłek". Myślę, że to prawda. O, jaka to prawda! W jaki sposób staram się „opatrywać rany serc złamanych"? Jak w kierowaniu się dobrym sercem pomaga mi własna odporność na zranienia?

BRUDNE RĘCE DAWIDA

Gdy król zamieszkał w swoim domu, a Pan poskromił wokoło wszystkich jego wrogów, rzekł król do proroka Natana: „Spójrz, ja mieszkam w pałacu cedrowym, a Arka Boża mieszka w namiocie". Natan powiedział do króla: „Uczyń wszystko, co zamierzasz w sercu, gdyż Pan jest z tobą". Lecz tej samej nocy Pan skierował do Natana następujące słowa: „Idź i powiedz mojemu słudze, Dawidowi: To mówi Pan: Czy ty zbudujesz Mi dom na mieszkanie? A teraz przemówisz do sługi mojego, Dawida: To mówi Pan Zastępów: Zabrałem cię z pastwiska spośród owiec, abyś był władcą nad ludem moim, nad Izraelem. I byłem z tobą wszędzie, dokąd się udałeś, wytraciłem przed tobą wszystkich twoich nieprzyjaciół. Dam ci sławę największych ludzi na ziemi. Wyznaczę miejsce mojemu ludowi, Izraelowi, i osadzę go tam, i będzie mieszkał na swoim miejscu, a nie poruszy się więcej, a ludzie nikczemni nie będą go już uciskać jak dawniej. Od czasu kiedy ustanowiłem sędziów nad ludem moim izraelskim, obdarzyłem cię pokojem ze wszystkimi wrogami. Tobie też Pan zapowiedział, że ci zbuduje dom. Kiedy wypełnią się twoje dni i spoczniesz obok swych przodków, wtedy wzbudzę po tobie potomka twojego, który wyjdzie z twoich wnętrzności, i utwierdzę jego królestwo. Ja będę mu ojcem, a on będzie Mi synem, a jeżeli zawini, będę go karcił rózgą ludzi i ciosami synów ludzkich. Przede Mną dom twój i twoje królestwo będzie trwać na wieki. Twój tron będzie utwierdzony na wieki" (2 Sm 7, 1–5.8b–12.14a.16).

Dawid wpada na genialny pomysł, by wybudować wspaniałą świątynię dla Pana. Rozważnie radzi się proroka Natana. Ten, kierując się roztropnością i znajomością rzeczy, podtrzymuje króla w jego

postanowieniu i z lekka podlewa swą przychylność dla jego zamierzeń sosem religijnym, gwarantując mu, że Pan jest z nim.

Co jakiś czas pojawiają się ludzie, którzy, szarpani dylematami, proszą o radę. Sam wiem, jak trudno przejść z poziomu ludzkiej roztropności na poziom woli Bożej, choć nie zawsze muszą one stać w sprzeczności. Pewien znajomy ksiądz regularnie pomagał mi, spowiadając w kościele św. Macieja na wieczornych mszach. Na Boże Narodzenie pojechał do swojej rodziny. Zadzwonił jednak, czy ma przyjeżdżać, by spowiadać w drugi dzień świąt. Wyjaśniłem mu, że nie ma żadnego powodu, aby jechał te 120 kilometrów, bo wszyscy będą już wtedy wyspowiadani. Trzeba być roztropnym. Ze zdumieniem w czasie mszy zobaczyłem, jak zasiada do konfesjonału. Modliłem się, by ustawiła się kolejka. A tu nic. Jeden mężczyzna i to wszystko. Po mszy wolałem kolegi unikać, ale on sam mnie znalazł i wyjaśnił: „Coś mi mówiło, by wbrew zdrowemu rozsądkowi jednak pojechać. I dobrze zrobiłem. Znalazł się człowiek, który bardzo tego potrzebował. Warto było".

Prorok Natan otrzymuje nocne objawienie, w którym Pan, szanując dobroduszność Dawida, nie chce jednak, by ten budował Mu świątynię. Wymawia się, że do tej pory mieszkał w namiotach i było dobrze.

Dawid jednak będzie uważał to za dyplomację ze strony Pana i uzna, że jest inny powód Jego odmowy. Salomonowi w rozmowie wyjaśni, że Bóg nie chce się zgodzić, by Dawid budował Mu świątynię, bo na jego rękach jest zbyt wiele krwi (por. 1 Krn 22, 7-8).

Mam psa, który uwielbia pływać. Wskakuje do każdej napotkanej wody. Potrafi nawet nurkować. Wychodzi na brzeg, otrząsa się raz i drugi i po chwili jest suchy. Inaczej jest z nami. Konsekwencje naszych czynów często ciągną się za nami bardzo długo i trudno się z nich otrząsnąć. Zdarza się też, że mają one ogromny wpływ na to, jak widzimy Boga, jak interpretujemy Jego działania, zamierzenia i decyzje. Przypuszczam, że Dawid jest nam bardzo bliski.

W jaki sposób próbuję w życiu odczytać Bożą wolę? Kto mi w tym pomaga?

UFNOŚĆ

Pan tak powiedział do Abrama podczas widzenia: „Nie obawiaj się, Abramie, bo Ja jestem twoim obrońcą; nagroda twoja będzie sowita". Abram rzekł: „o Panie, mój Boże, na cóż mi ona, skoro zbliżam się do kresu mego życia, nie mając potomka; przyszłym zaś spadkobiercą mojej majętności jest Damasceńczyk Eliezer". I mówił: „Ponieważ nie dałeś mi potomka, ten właśnie, zrodzony u mnie sługa mój, zostanie moim spadkobiercą". Ale oto usłyszał słowa: „Nie on będzie twoim spadkobiercą, lecz ten po tobie dziedziczyć będzie, który od ciebie będzie pochodził". I poleciwszy Abramowi wyjść z namiotu, rzekł: „Spójrz na niebo i policz gwiazdy, jeśli zdołasz to uczynić"; potem dodał: „Tak liczne będzie twoje potomstwo". Abram uwierzył i Pan poczytał mu to za zasługę. Pan okazał Sarze łaskawość, jak to obiecał, i uczynił jej to, co zapowiedział. Sara stała się brzemienną i urodziła sędziwemu Abrahamowi syna w tym właśnie czasie, jaki Bóg wyznaczył. Abraham dał swemu synowi, który mu się urodził, a którego mu zrodziła Sara, imię Izaak (Rdz 15, 1-6, 21, 1-3).

Wracałem do domu cały w skowronkach. Właśnie dowiedziałem się, że jedna z moich siostrzenic jest w ciąży. Przed drzwiami spotkałem znajome małżeństwo. Spontanicznie podzieliłem się swoją radością. W nich jakby piorun strzelił. Dziewczyna zalała się łzami, a jej maż aż wygiął się z bólu. Zrozumiałem natychmiast swój nietakt.

Problem kłopotów z prokreacją nabrzmiewa. Niektóre małżeństwa przeżywają to bardzo mocno.

Wycofują się z życia towarzyskiego. Boją się pytań ze strony znajomych i krewnych. Unikają rodzin z małymi dziećmi i kontaktu z kobietami w ciąży. Wchodzą na ścieżkę izolacji. Z uczuciem wielkiego niezrozumienia samotnie niosą swój ból.

Możemy z łatwością wyobrazić sobie scenę, w której Abram zostaje wyprowadzony przed namiot, a Bóg, pokazując mu niebo, opowiada o jego potomstwie. Twardy, o, bardzo twardy musiał być z niego człowiek, że tkwiąc w dramatycznie beznadziejnej sytuacji, miał siłę rozmawiać na tak drażliwy i bolesny temat. Jak jednak zdobył się na zaufanie, aby uwierzyć w tę obietnicę, to już pozostanie tajemnicą. Niewyobrażalna, wielka i prosta wiara.

Nie wiem już, która to była wojna, pierwsza czy druga, choć raczej druga. Nadciągał front, zatem ludzie uciekali. Moja babcia z całą rodziną sadowiła się na wozie, pakując najbardziej potrzebne rzeczy. W środkowym pokoju dużego mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy położonej u zbiegu ulic przy rynku umieściła dużą figurę Chrystusa. Dom był ważnym punktem militarnym, wystawionym na spore niebezpieczeństwo. Babcia postawiła figurę i zostawiła drzwi domu otwarte. „Zamykanie, ryglowanie mieszkania – mawiała, opowiadając o tamtych czasach – byłoby aktem braku zaufania do Boga". Gdy wrócili po kilku tygodniach, wszystkie mieszkania dookoła były splądrowane. W ich mieszkaniu nie było nawet śladu wizyty. I można to wytłumaczyć logicznie – gdy złodziej natrafiał na otwarte drzwi, nie chciał wejść w obawie, że gospodarze są w środku, ale dla mojej babci sprawa

była jasna: „Jeśli Bóg domu nie upilnuje, na próżno wszelkie straże”.

Wiara to nie jest teoria na temat Pana Boga, ale zaufanie w praktyce.

Jak uczę się zaufania do Boga? Jak drobne akty ufności pomagają mi zbudować coraz większe, głębokie zaufanie?

POLECAMY TAKŻE

ks. Mirosław Maliński
Temperamenty – gdybym był inny, tobym siebie kochał

książka w sprzedaży
na sklep.2ryby.pl

Przeczytaj
fragment:

Autorzy anonimowi, zespół redakcyjny pod kierownictwem ks. Mirosława Malińskiego
Zaplątani w pożądanie

książka w sprzedaży
na sklep.2ryby.pl

Przeczytaj fragment:

ks. Krzysztof Grzywocz,
Monika i dk. Marcin Gajdowie
Otwarci na miłość

książka w sprzedaży
na sklep.2ryby.pl

Przeczytaj
fragment:

ks. Krzysztof Grzywocz
Jak smakować życie

książka w sprzedaży
na sklep.2ryby.pl

Przeczytaj
fragment:

ks. Piotr Pawlukiewicz
Becz i dzwoń dzwoneczkiem

książka w sprzedaży
na sklep.2ryby.pl

Przeczytaj
fragment:

ks. Piotr Pawlukiewicz
Seks – poezja czy rzemiosło

książka w sprzedaży
na sklep.2ryby.pl

Przeczytaj
fragment:

Wielu ludzi w osłuchanych już tekstach Biblii szuka niebanalnych znaczeń. Świadczy to o niebywałej żywotności słowa Bożego, które bez wytchnienia komentuje naszą codzienność i pozwala lepiej ją zrozumieć. W tej książce znajdą oni lapidarne i nietuzinkowe refleksje zakorzenione we fragmentach Pisma Świętego. A co najbardziej zaskakujące, myśli te, choć nie zawsze oczywiste, są jednak proste. Świetna lektura dla wszystkich, którzy szukają inspirującego przesłania ujętego w zgrabną formę literacką.

KS. MIROSŁAW MALIŃSKI – duszpasterz akademicki z Wrocławia, od ponad dwudziestu lat prowadzi Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego „Maciejówka" we Wrocławiu. Założyciel i redaktor naczelny portalu i wydawnictwa 2ryby.pl. Autor wielu audiobooków oraz książek: *Jonasz, Oswojone, Widokówki, Zatrzymaj się albo giń, Temperamenty – gdybym był inny, tobym siebie kochał.* Prowadzi cieszące się dużą popularnością kursy przedmałżeńskie. Na co dzień mieszka ze studentami. Drzwi ich domu są zawsze otwarte.

MACIEJÓWKA Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego
Aleteia.pl
fundacja Mathesianum
PRZEWODNIK KATOLICKI
GOŚĆ NIEDZIELNY